



NOBELS



Awiatorka, olej na płótnie, Andrzej Szejwejs
(24 kwietnia br. artysta otwiera w Opolu, przy ul. Krakowskiej 1, galerię autorską „Ramiarnia”)

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3
Prof. Franciszek Grucza doktorem h.c. UO	10
A zaczęło się od powtarzania matury..(laudacja wygłoszona przez prof. Marię K. Lasatowicz)	14
O rzeczywistych językach ludzkich, lingwistyce i germanistyce (fragment wykładu dr. h.c. UO prof. Franciszka Gruczy)	16
Wiersz Jana Goczoła	19
No to będę ten biedny Prospero (Irena Wyczółkowska o obrazach Andrzeja Sznejweisa)	20
Od zecera do milionera (Stanisław S. Nicieja)	22
Życzliwy wodnik, miła heksa?	28
O żołnierzu i skrzacie (Irena Wyczółkowska)	29
Za szybkie pisanie – 36 (Adam Wierciński)	31
Język w pampersie (Jakub Zuch)	34
Wiersze Joanny Matlachowskiej-Pali	35
Co piszczy w trawie (prace studentów Instytutu Sztuki UO)	36
To co najważniejsze (Bartłomiej Kozera)	38
Zeznania wesołego rewolucjonisty (Joanna Silska o spotkaniu z Krzysztofem Skibą)	39
Kwadrans akademicki (gość UO: dr Magdalena Ogórek)	43
Przedwojenne szepty opolskiego dworca (Krzysztof Spałek)	46
Zeszyt w szkocką kratę (Joanna Kern)	50
Zaćmienie Słońca nad Opolszczyzną (Marcin Szpanko)	55
Gwiazdy na niebie i ziemi, część I (Józef Musielok)	57
Szukanie pracy z bronią w rękę (Monika Kalla)	61
Władza pierwszego kontaktu (Stanisław Skakuj)	64
Gorzka kawa Szeherazady (Wojciech Dindorf)	68
Wczoraj i przedwczoraj w Bołszowcach (Adam Wierciński)	70
Walka o tron (Włodzimierz Kaczorowski)	73
Odeszli: prof. Stanisław Rogala	78
Odeszli: prof. Krystyna Dubel	80
Cytaty z importu	82
Nasz Trener (Zbigniew Zagórowski o Wojciechu Derezińskim)	84
Jubileusz „Radio-Sygnatów”: Narodziny pięćdziesięciolatka (Włodzimierz Kolman)	86
Jubileusz „Radio-Sygnatów”: Studiowanie przez mikrofon (Jolanta Mirosławska)	88
Dziesięć dni pod zamknięciem (Andrzej Hamada)	92
Listy, polemiki	95
Łańcuch nie połączył	97
Dokąd zmierzamy? (Ewa Szkic-Czech)	99
Kieszka uczeni	100
Znajomość języka za przewodnika (Magdalena Szyszka, Małgorzata Adams-Tukiendorf)	101
60 lat opolskiej matematyki (Jerzy Michael, Kamila Kowalska)	103
Trudna pamięć (Aleksandra Starczewska-Wojnar)	104
Piekło i raj w literaturze francuskiej XX wieku (Anna Ledwina)	105

Goście z Archiwum w Muzeum UO (Katarzyna Mazur-Kulesza)	107
Uczelnia kołem się toczy	108
Front u obozowych bram (Agata Malec, Elżbieta Roehr)	111
Między wrzątkiem a rozsądkiem (Jerzy Duda)	113
Półka Sułka: Z klasyką do łóżka (Witold Sułek)	115
Noty o autorach	117
Nowości wydawnicze	119

To ten Grotowski od Wendzikowskiej?



Tego, że Jerzy Grotowski wielkim reżyserem teatralnym był, nie wiedziała m.in. dziennikarka „Dzień Dobry TVN” Anna Wendzikowska. Jej niewiedzę obnażyła aktorka Si-gourney Weaver, która w czasie wywiadu zadała dziennikarce pytanie o słynnego polskiego reżysera. Od tego momentu, bo sprawa stała się bardzo głośna – cała Polska wreszcie wie, kim był Jerzy Grotowski. (b)

Fot. Jerzy Stemplewski

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Nakład: 550 egz.

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17

e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Skład komputerowy: Henryk Kobiela. Druk: ZAPOL Sobczyk, spółka jawna, Szczecin

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

Kronika uniwersytecka

■ **11 lutego.** Gościem rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji był Jarosław Wasik, dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu – przedmiotem rozmowy były plany współpracy Uniwersytetu Opolskiego i Muzeum Polskiej Piosenki.

■ **12 lutego.** Podczas spotkania z wiceprezydentem Opola Mirosławem Pietruchą rektor UO prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja poruszył kwestię ewentualnej rozbudowy wzgórza uniwersyteckiego. Tego dnia rektor był także gościem tegorocznych maturzystów, którzy na opolskim Rynku odtanńczyli tradycyjnego poloneza, wygłosił też wykład dla słuchaczy Uniwersytetu II Wieku na Politechnice Opolskiej.

■ **18 lutego.** Rektor UO prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z wicemarszałkiem woj. opolskiego Grzegorzem Sawickim – rozmawiano o konieczności podjęcia wspólnych działań dotyczących nauki, oświaty i kultury. Tego dnia rektor uczestniczył także w spotkaniu, w redakcji opolskiej „Gazety Wyborczej”, dotyczącym promocji miasta, a w rozgłośni Radia Opole czytał fragmenty swojej książki pt. „Kresowa Atlantyda” – w cyklu „Autor czyta swoje książki”.

● Wiceprezydent Opola Janusz Kowalski wziął udział w spotkaniu, które prowadził prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk, a które dotyczyło perspektyw rozwoju sportu akademickiego.

● Prezes Łukasz Litwinowicz i przedstawiciele Stowarzyszenia „Dąbrowskie Skarby” byli gośćmi prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr. hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak – rozmowa dotyczyła organizacji „Pikniku zamkowego”, planowanego na 5 lipca br.

■ **19 lutego.** Podczas spotkania z proboszczem parafii Matki Bożej Bolesnej i św. Wojciecha w Opo-



12 II 2015. Rozbudowa wzgórza uniwersyteckiego – to temat spotkania rektora prof. Stanisława S. Nicieji z wiceprezydentem Opola Mirosławem Pietruchą. Na zdjęciu (od lewej); kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz, Mirosław Pietrucha, rektor prof. Stanisław S. Nicieja i wicekanclerz Andrzej Kimla

lu ks. Markiem Trzeciakiem rektor prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja i prof. Marian Molenda rozmawiali o lokalizacji rzeźby Edmunda J. Osmańczyka. Tego dnia rektor spotkał się także z czytelnikami swoich książek w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy im. Elizy Orzeszkowej w rodzinnym Strzegomiu.

● Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr. hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak uczestniczyła w posiedzeniu Komisji Polity-

ki Regionalnej, Gospodarki i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego.

■ **20 lutego.** Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr. hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, kanclerz Ewa Rurynkiewicz i wicekanclerz Zbigniew Budziszewski byli gośćmi Grzegorza Soczyńskiego, prezesa Woj. Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Opolu. Spotkanie dotyczyło restauracji zespołu pałacowo-parkowego w Dąbrowie.



18 II 2015. Spotkanie dotyczące perspektyw rozwoju sportu akademickiego. Na zdjęciu (od lewej): Tomasz Lisiński (Wydział Kultury, Sportu i Turystyki), wiceprezydent Opola Janusz Kowalski, prorektor prof. Marek Masnyk

• Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Niciejca spotkał się z czytelnikami swoich książek w bibliotece „Pod Atlantami” w Wałbrzychu.

■ **23 lutego.** Na Uniwersytecie Opolskim obradowała II Opolska Konferencja Nauczycieli Języka Angielskiego poświęcona kulturze i realiom krajów anglojęzycznych. Zakład Językoznawstwa Stosowanego Instytutu Filologii Angielskiej zorganizował ją we współpracy z Miejskim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli (MODN) w Opolu oraz Konsulatem Generalnym Stanów Zjednoczonych w Krakowie. Przeszło 60 nauczycieli języka angielskiego z całego regionu uczestniczyło w wykładach i warsztatach. Konferencję otworzyły dr hab. Liliana Piasecka, prof. UO, oraz prodziekan ds. kształcenia i studentów dr Elżbieta Szymańska-Czaplak. Gości przywitała dyrektor Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Opolu Małgorzata Szelaąg. Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych w Krakowie reprezentowały: Maria Brzostek, doradca edukacyjny w Polsce, Joanna Wrześcińska oraz Zuzanna Lewandowska, wiceprezes The Kings Foundation, absolwentka prestiżowego University of Cambridge. Uczestnicy mieli m.in. okazję uczestniczyć w warsztacie *US National Parks – a theme for task-based activities* prowadzonym przez dr Katarzynę Molek-Kozakowską, wysłuchać prelekcji Stephena Dewsbury’ego na temat *Nostalgia is Not Dead: The Role of Nostalgia in the Life and Works of Bob Dylan* oraz zapoznać się z założeniami programu stypendialnego dla nauczycieli SUSI – Study of the US Institutes for Scholars, przedstawionymi przez Alicję Wujec-Kaczmarek (MODN).

■ **24 lutego.** Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się w opolskim Ratuszu z przewodniczącym Rady Miasta Marcinem Ociepą – rozmowa dotyczyła włączenia się naszej uczelni (organizacja sesji naukowej

w Instytucie Politologii) w planowane obchody 25-lecia samorządności w Opolu.

■ **25 lutego.** „Program umiędzynarodowienia szkolnictwa wyższego” – to temat spotkania w Warszawie z przedstawicielami Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w którym uczestniczyła prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

■ **26 lutego.** Obradował Senat UO.

• Oferta Uniwersytetu Opolskiego skierowana do uczniów szkół ponadgimnazjalnych była tematem spotkania z dziekanami wydziałów, które prowadziła prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

• Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Niciejca uczestniczył w zebraniu opolskiego oddziału Związku Literatów Polskich, którego jest członkiem, spotkał się także z prezesem ZLP Markiem Wawrzkiwiczem.

■ **27 lutego.** W Muzeum Ziemi Przemyskiej rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Niciejca spotkał się z czytelnikami swoich książek.

■ **28 lutego.** Na zamku w Sanoku rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Niciejca wygłosił prelekcję nt. Kresów dla grupy przewodników turystycznych.

■ **2 marca.** Gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji był poseł do Parlamentu Europejskiego Kazimierz Ujazdowski. Tego dnia rektor spotkał się także z ks. biskupem Andrzejem Czają i wziął udział w posiedzeniu Rady Programowej opolskiej TVP.

• Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w konferencji prasowej w opolskim Ratuszu, dotyczącej udziału opolskich spółek: Wodociągi i Kanalizacja oraz Zakładu Komunalnego w projekcie kształcenia dualnego.

■ **3 marca.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w Gali Młodego Naukowca, która odbyła się w SCK.

• Do Opola dotarła grupa młodzieży z Ukrainy, która podejmie studia na Uniwersytecie Opolskim w ramach Programu Erasmus +. Studentów powitała prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

• Prof. dr hab. Stanisław S. Niciejca był gościem prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego.

■ **6 marca.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w II spotkaniu Opolskiego Regionalnego Fo-



2 III 2015. Gościem rektora prof. Stanisława S. Nicieji był poseł do Parlamentu Europejskiego Kazimierz Ujazdowski



9 III 2015. „Wdrożenie dualnego systemu kształcenia na UO” – to tytuł konferencji zorganizowanej przez Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości w Collegium Civitas UO

rum Terytorialnego, poświęconym prezentacji wniosków z badań realizowanych w ramach działań Opolskiego Obserwatorium Terytorialnego, tj. analizy strategii lokalnych funkcjonujących w województwie opolskim oraz postępów w realizacji „Strategii rozwoju województwa opolskiego do 2020 roku”, jak również ekspertyzy z zakresu monitorowania i ewaluacji „Strategii rozwoju województwa opolskiego do 2020 roku”. Druga część obrad poświęcona była kwestiom związanym z ewaluacją polityk publicznych w nowym okresie programowania Unii Europejskiej w latach 2014–2020.

- Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz spotkały się z europosłanką Danutą Jazłowiecką. Celem spotkania było omówienie szans powołania na Uniwersytecie Opolskim kierunku lekarskiego.

- **9 marca.** „Wdrożenie dualnego systemu kształcenia na UO” – to tytuł konferencji zorganizowanej przez Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości w Collegium Civitas UO, podczas której władze Uniwersytetu Opolskiego reprezentowali: rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektorzy: prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. dr hab. Marek Ma-

nyk. W konferencji wzięli udział goście zagraniczni, władze miasta i regionu, przedsiębiorcy i studenci studiów dualnych. O doświadczeniach Duale Hochschule Baden-Württemberg Mannheim w zakresie wdrożenia i funkcjonowania systemu kształcenia dualnego mówił prof. Kay Wilding. Prelegenci podzielili się pierwszymi doświadczeniami w zakresie funkcjonowania systemu kształcenia dualnego z perspektywy uczelni i przedsiębiorcy. Zaprezentowano też wyniki badań dotyczących potrzeb rynku pracy w zakresie kształcenia dualnego na Uniwersytecie Opolskim.



9 III 2015. Prorektor ds. nauki i finansów prof. Janusz Słodczyk (na zdjęciu z prawej) gościł przebywającą w UO delegację Uniwersytetu St. Kliment Ohridski–Bitola w Macedonii. Na zdjęciu z lewej – kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk gościł przebywającą w UO delegację Uniwersytetu St. Kliment Ohridski–Bitola w Macedonii. Celem wizyty było omówienie warunków podpisania umowy o współpracy pomiędzy uczelniami.

- Poseł PiS prof. Jerzy Żyżyński był gościem rektora UO prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji, który w tym dniu wygłosił także wykład dotyczący Kresów w opolskim odziale NOT.

- **10 marca.** W dniu święta Uniwersytetu Opolskiego tytuł doktora honorowego naszej uczelni przyjął wybitny germanista prof. Franciszek Gruzca – językoznawca z Uniwersytetu Warszawskiego, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. W tym dniu, w Studentckim Centrum Kultury, odbył się koncert pt. „Historia piosenką pisana”, którego uczestnikami byli m.in. rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Więcej na str. 10.

- **12 marca.** Gościem prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowskiej-Stepaniak była radna sejmiku woj. opolskiego Violetta Porowska. Rozmowa dotyczyła możliwości poszerzenia dotychczasowej współpracy.

- **13 marca.** Podczas wielkiego



9 III 2015 Posel prof. Jerzy Żyżyński był gościem rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji

finału Zimowej Giełdy Piosenki na scenie Studenckiego Centrum Kultury zaprezentowało się 9 zespołów z całej Polski, które wykonały dwa utwory, w tym jeden do tekstu Wojciecha Młynarskiego (jego twórczości poświęcony był tegoroczny przegląd). Tegoroczną Zimową Giełdę Piosenki uświetnił koncert Meli Koteluk. Jury, w skład którego wchodził przedstawiciel ośrodków kultury z województwa opolskiego oraz Jarosław Wasik, Natalia Grosiak, Maciej Kochański, Hanna Kiec, Tomasz Ba-

zan oraz przedstawiciel opolskiego starostwa powiatowego, przyznało nagrody następującym zespołom: I miejsce (złoty wiatraczek) – Nandu, II miejsce (srebrny wiatraczek) – Meeow III miejsce (brązowy wiatraczek) – BAO. Specjalna nagroda Dobrodzieńskiego Ośrodka Kultury – Ponad Chmurami, specjalna nagroda Ośrodka Kultury w Niemodlinie – BAO, specjalna nagroda Domu Kultury w Krapkowicach – BAO, specjalna nagroda Miejskiego Domu Kultury w Oleśnie – Nandu, specjalna na-



14 IV 2015. Konferencja „60 lat matematyki akademickiej w Opolu”. Na zdjęciu (od lewej): prof. Katarzyna Hałkowska, dr Rościśław Rabczuk, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, mgr Halina Nicieja. W drugim rzędzie, od lewej: mgr Piotr Knosalla, dr Wiesław Szwiec, dr Jerzy Krawczyk, dr Andrzej Spakowski, dr Dymitr Slezion. W trzecim rzędzie (od lewej): mgr Błażej Ornatowski, dr Tomasz Weber, Maria Jasińska, prof. Zenon Jasiński

groda Domu Kultury w Ozimku – Ponad Chmurami, specjalna nagroda Nyskiego Domu Kultury - Chill-e-motion, nagroda Starosty Opolskiego – Mitochondrium, Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie – Grzeczni Chłopcy, Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie – Mitochondrium, nagranie teledysku – Meeow, Studio Nagrań Radia Sygnały – Nandu, Juwenalia we Wrocławiu – Nandu, Piastonia w Opolu – BAO, support w ramach Nocy Kultury w Opolu – Mitochondrium.

- Prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z wojewodą opolskim Ryszardem Wilczyńskim. Rozmowa dotyczyła możliwości uruchomienia żłobka-przedszkola dla dzieci studentów i kadry naukowej naszej uczelni.

- **14 marca.** W Studenckim Centrum Kultury UO matematycy świętowali jubileusz „60-lecia matematyki akademickiej w Opolu” – tak brzmiał tytuł zorganizowanej z tej okazji konferencji, której gośćmi byli także rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, a którą zorganizowali pracownicy Instytutu Matematyki i Informatyki UO. Więcej na str. 103.

- **16 marca.** Na Uniwersytecie Opolskim gościł konsul generalny Rosji Andrey Yakovliev, któremu towarzyszył prezes Opolskiego Oddziału Stow. Współpracy Polska-Wschód Eugeniusz Brudkiewicz. Gości przyjął rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. Więcej na str. 111.

- **16-17 marca.** W Studenckim Centrum Kultury UO obradowały dwie konferencje: Ogólnopolska Konferencja Naukowa „Współczesne wyzwania zrównoważonej produkcji i konsumpcji” i międzynarodowa konferencja „Transition to sustainable production and consumption systems in a globalising world”, które otworzył prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. Obie stanowiły kontynuację Ogólnopolskiej



16 III 2015. Podczas pobytu w Opolu konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu Andrey Yakovlev (na zdjęciu w środku) spotkał się z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją. Na zdjęciu z prawej – Eugeniusz Brudkiewicz, prezes Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód

Studenckiej Konferencji Naukowej „Chcę być zrównoważony!” oraz International Conference on Current Issues of Sustainable Development. Ich celem było stworzenie forum służącego prezentacji wyników badań, wymiany poglądów i doświadczeń, a także dyskusji dotyczącej podstaw, uwarunkowań oraz wyzwań związanych ze zrównoważonym rozwojem.

■ **17 marca.** W obradach inauguracyjnych działalność Komitetu Monitorującego Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego uczestniczyły, na zasadach członkiń: prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz.

● Gościem rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji był marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła.

■ **18–20 marca.** „Między moralnością a prawami rynku” – to tytuł konferencji, jaka odbyła się na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Udział w niej wzięli reprezentanci kadry kierowniczej instytutów i katedr prowadzących studia dziennikarskie z 17 uczelni. Uniwersytet Opolski reprezentowała prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Jej wystąpienie odnotowano jako ważny głos w dyskusji na temat, jak kształ-

cić dziennikarzy z misją. Podczas dyskusji mowa była głównie o roli i istocie przyszłej kadry medialnej, kształconej obecnie na kierunkach dziennikarskich.

■ **18–20 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w posiedzeniu KRUP na Uniwersytecie Gdańskim.

■ **20 marca.** W gdyńskiej bibliotece „Info-Box” odbyło się spotkanie autorskie z rektorem UO prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją, które prowadziła Agnieszka Guzek.

■ **20 marca – 8 kwietnia.** W Galerii ZPAP Pierwsze Piętro w Opo-

lu można było obejrzeć wystawę malarstwa i rysunku studentów z pracowni dr hab. Łucji Piwowar-Bagińskiej, dr Magdaleny Hlawacz i dr. Bartłomieja Trzosa, który był jednocześnie opiekunem artystycznym wystawy zatytułowanej – „Co piszczy w trawie”. Więcej na str. 36.

■ **23–27 marca.** Trwał Tydzień Germanistyki Opolskiej, podczas którego uczniowie zainteresowani poszerzeniem swoich umiejętności językowych oraz ciekawych nowych doświadczeń powiązanych z językiem niemieckim mogli obejrzeć ciekawe filmy i prezentacje, wziąć udział w warsztatach o tematyce obejmującej program studiów germanistycznych oraz olimpiadzie interpunkcyjnej.

■ **24 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk gościli prezydenta Uniwersytetu w Poczdamie prof. dr. hab. Olivera Günthera oraz prorektor ds. współpracy z zagranicą prof. Ulrike Demske, którzy przybyli do Opola na zaproszenie władz Wydziału Ekonomicznego UO. Prof. dr hab. Oliver Günther wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius UO wykład pt. „Jaki jestem piękny? Autoprezentacja i ocena przez innych w sieciach społecznościowych”.

● W tym dniu rektor UO spotkał



24 III 2015. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Oliver Günther, prezydent Uniwersytetu w Poczdamie – na zdjęciu z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją



26 III 2015. Gościem senatorów był dr hab. Kazimierz Ożóg z Instytutu Sztuki

się także z marszałkiem woj. opolskiego Andrzejem Bułą oraz z czytelnikami swoich książek w bibliotece w Wieluniu.

■ **24–25 marca.** Wizerunki kobiet i mężczyzn w reklamach, a także podtrzymywanie stereotypów płci w mediach – to tematy warsztatów zatytułowanych „Gender dla początkujących”, które zorganizowało Koło Naukowe Pedagogiki Międzykulturowej UO

■ **25 marca.** W Światowym Dniu Wody w Samodzielnej Katedrze Biotechnologii i Biologii Molekularnej Uniwersytetu Opolskiego odbyło się seminarium poświęcone zagadnieniom czystości wody na Opolszczyźnie.

■ **26 marca.** Obradował Senat UO. Gościem senatorów był dr hab. Kazimierz Ożóg z Instytutu Sztuki, który niedawno uzyskał stopień doktora habilitowanego.

● Proroktor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w posiedzeniu Komisji Polityki Regionalnej, Gospodarki i Turystyki Sejmiku Województwa Opolskiego. Tematem posiedzenia był m.in. potencjał badawczo-rozwojowy Opolszczyzny, w tym uczelni, dotychczasowy dorobek i sukcesy w zakresie B+R (patenty, wdrożenia, efekty współpracy z sektorem przedsiębiorstw, uczestnictwo w programach ramowych UE) oraz plany na przyszłość związane z rozwojem potencjału i usług B+R.

■ **26 marca.** W Auli Błękitnej Collegium Maius UO odbył się wieczór autorski poświęcony publikacji prof. dr hab. Krystyny Modrzejewskiej „L'enfer et le paradis terrestres dans la littérature française du XXe siècle”. Spotkanie prowadził mgr Tomasz Różycki. Więcej na str. 105.

■ **27 marca.** „Sukcesy badmintonistów Uniwersytetu Opolskiego w latach 2013–2015” – to tytuł wystawy w Muzeum UO, w której otwarciu uczestniczyli m.in. członkowie Akademickiej Drużyny Badmintona UO, w tym aktualni mistrzowie Polski, ich opiekunowie – Henryk Hołodnik i Dariusz Sobków, a także rektor UO prof. dr

hab. Stanisław S. Nicieja, prorektorzy: prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. dr hab. Marek Masnyk, kanclerz Ewa Rurynkiewicz, a także wiceprezydent Opola Mirosław Pietrucha. Goście spotkania mogli obejrzeć prace plastyczne Marty Momot, studentki Instytutu Sztuki UO (edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych), a także obejrzeć film o naszych badmintonistach.

■ **27 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, kanclerz Ewa Rurynkiewicz i asystent rektora Marcin Miga spotkali się z wiceprezydentem Mirosławem Pietruchą, architektem miejskim Zbigniewem Bomersbachem i miejskim ogrodnikiem Grażyną Rącką. Rozmowa dotyczyła planów przebudowy wzgórza uniwersyteckiego.

■ **28 marca.** Na zaproszenie dra Jacka Kozakiewicza, prezesa Śląskiej Izby Lekarskiej, podczas zjazdu lekarzy woj. śląskiego, który odbył się w Katowicach, rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił wykład nt. losów pochodzących z Kresów lekarzy, po wojnie osiadłych na Śląsku.

■ **31 marca.** Gościem rektora UO prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji była dr Magdalena Ogórek, absol-



27 III 2015. „Sukcesy badmintonistów Uniwersytetu Opolskiego w latach 2013–2015” – to tytuł wystawy otwartej w Muzeum UO. Na zdjęciu – nasi badmintoniści

wentka naszego uniwersytetu, kandydująca na urząd prezydenta RP (więcej na str. 43). Tego dnia rektor uczestniczył w zebraniu sprawozdawczo-wyborczym opolskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

● „Efekt motyla – przypadek czy konieczność ?” to tytuł wykładu, który prof. dr hab. Piotr Garbaczewski z Instytutu Fizyki UO wygłosił w Galerii Sztuki Współczesnej (czytelnia GSW - Artpunkt). Wykład towarzyszył wystawie prac Magdaleny Żołądz.

■ **1 kwietnia.** W Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach gościła delegacja Uniwersytetu Opolskiego w składzie: prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. dr hab. Adam Latała, kanclerz Ewa Rurynkiewicz i asystent rektora Marcin Miga, którym towarzyszył Adam Maciąg, sekretarz Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego. Wizyta miała na celu zapoznanie się z przygotowaniem kieleckiej uczelni do uruchomienia działającego w jej strukturze Wydziału Nauk o Zdrowiu. W trakcie pobytu w Kielcach przedstawiciele naszego uniwersytetu zwiedzili m.in. Wojewódzki Szpital Zespolony.

■ **3 kwietnia.** Koncepcja rozbudowy wzgórza uniwersyteckiego była przedmiotem rozmowy prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak z prezydentem Opola Arkadiuszem Wiśniewskim.

■ **8 kwietnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja udzielił wywiadu nt. swojej twórczości dla Redakcji Literackiej II Programu Polskiego Radia – rozmowa z red. Ewą Stecką-Kalinowską będzie emitowana w pięciu odcinkach, w cyklu „Świadkowie historii”.

■ **10 kwietnia.** W Polanicy obradowała Konferencja Rektorów Uniwersytetów Śląskich. Uniwersytet Opolski reprezentował rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**
Fot. **Jarosław Mokrzycki**

Prezydium Polskiej Akademii Nauk powołało prorektora UO ds. nauki i finansów **prof. dr hab. Janusza Słodczyka** w skład Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju przy Prezydium PAN.

Praca magisterska absolwentki filologii polskiej, a obecnie doktorantki Uniwersytetu Opolskiego, **Beaty Marcinowskiej** pt. „Kryminały przedwojennej Warszawy (Nasielski, Wotowski, Błażejowski). Próba monografii”, napisana pod kierunkiem **dr hab. Saby Brzozowskiej, prof. UO**, jako jedyna została wyróżniona w konkursie na najlepszą pracę magisterską, poświęconą zagadnieniom kultury popularnej w Polsce do 1939 roku (konkurs dotyczył prac dyplomowych powstałych w latach 2013–2014).

Absolwent Instytutu Socjologii Uniwersytetu Opolskiego **Adam Omorczyk** został laureatem VI Konkursu Polskiej Akademii Olimpijskiej za pracę magisterską pt. „Igrzyska olimpijskie a metamorfozy miast. Studia socjologiczne”, napisaną pod kierunkiem **prof. dr hab. Marka S. Szczepańskiego**.

Na zakończonych w Głubczycach eliminacjach Akademickich Mistrzostw Polski w Badmintonie – strefa południowa, reprezentacja Uniwersytetu Opolskiego zajęła I miejsce, wygrywając wszystkie mecze. Zwycięska ekipa: **Mateusz Dubowski, Agnieszka Wojtkowska, Mateusz Szydłowski, Kinga Haracz, Patryk Szymoniak, Marta Wójcik**. Opiekun i trener drużyny: **Henryk Hołodnik**.

Ukonstytuowała się lista pracowników naukowych tworzących Centrum Kompetencji Uniwersytetu Opolskiego, będącego pomysłem rzecznika **Marcina Migi**. Centrum Kompetencji zrzesza nauczycieli akademickich w celu nawiązania i pogłębienia współpracy z partnerami społeczno-gospodarczymi. Dziś zespół tworzy ponad

50 ekspertów z zakresu nauk społecznych i technicznych, w tym pracownicy naukowcy, uznawani w środowisku biznesowym i akademickim.

Prezydent Opola przyznał w tym roku 40 stypendiów za osiągnięcia naukowe, w tym działalność w kołach naukowych, publikacje, konferencje i działalność w organizacjach studenckich, samorządzie, mediach oraz stowarzyszeniach. 29 stypendiów trafiło do studentów Uniwersytetu Opolskiego, w tym 5 – do studentów Instytutu Sztuki.

Dyplomowy animowany wideoklip **Anny Pytlik** pt. „Pibloktoq” zrealizowany do utworu Marii Peszek pod tym samym tytułem znalazł się w selekcji konkursowej III edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Polskiej Animacji O!PLA. Wideoklip Pibloktoq zrealizowany został w roku 2014 jako artystyczny dyplom magisterski Anny Pytlik w Pracowni Multimediów Instytutu Sztuki UO. Promotorem pracy był **dr Bartosz Posacki**.

Anna Więcek, ubiegłoroczna absolwentka Instytutu Sztuki UO, została zwyciężczynią konkursu Nowe Opole zorganizowanego przez Galerię Sztuki Współczesnej w Opolu. Nagroda przyznana została za projekt fotograficzny *Bluecollection*.

Paulina Ornatowska, studentka II roku studiów magisterskich w Instytucie Sztuki UO, została laureatką pierwszej nagrody w dziedzinie fotografii w tegorocznej edycji ogólnopolskiego, prestiżowego konkursu Dolina Kreatywna. Organizatorem konkursu, podobnie jak w latach poprzednich, jest TVP. Nagrodzone prace powstały w Pracowni Fotografii prowadzonej przez **dr. Grzegorza Gajosa**.

Aleksandra Rodzik, studentka pierwszego roku studiów magisterskich Instytutu Sztuki, znalazła się w gronie artystów nagrodzonych na międzynarodowym festiwalu Cow Design Festival 2014 w kategorii ilustracja.

Prof. Franciszek Grucza doktorem *honoris causa* UO

Tajniki nie tylko glottodydaktyki

10 marca br., w dniu, w którym Uniwersytet Opolski świętował swoje 21. urodziny, godność doktora *honoris causa* naszej uczelni przyjął prof. dr hab. Franciszek Grucza, językoznawca, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, twórca glottodydaktyki, uczony podejmujący problematykę polsko-niemieckiej koegzystencji kulturowej, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

Kolejny doktor honorowy Uniwersytetu Opolskiego towarzyszy naszemu uniwersytetowi od początku jego powołania – przypominał rektor **prof. Stanisław S. Niciejka**, rozpoczynając uroczystość w Auli Błękitnej Collegium Maius. – Germanistykę tworzyliśmy niemal od zera. I to właśnie u profesora Franciszka Gruczy doktoryzowali się nasi pierwsi magistranci.

– Ja i Opole, i Uniwersytet Opolski przez tych 21 lat nosiłem i nadal noszę w swoim sercu i w głowie – zrewanżował się prof. Franciszek Grucza, dziękując za to wyróżnienie. – Mam tu wielu serdecznych kolegów. I z podziwem patrzę, jak wasz uniwersytet się rozwija.

Promotorem w honorowym przewodzie doktorskim profesora Gruczy była **prof. Maria Katarzyna Lasatowicz**,

dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej UO, która w laudacji przypomniała m.in., że przyszły badacz europejskich procesów językowo-kulturowych, dorastał na obszarze pogranicza etnicznego, konfesyjnego i społeczno-kulturowego – urodził się na krótko przed wybuchem II wojny światowej w Mostach koło Gdyni. Pomorze i Kaszuby stały się jego kolebką, a multikulturowe relacje kaszubsko-polsko-niemieckie wywarły wielki wpływ na jego przyszłe zainteresowania naukowe.

– Wszechstronne wykształcenie, studia slawistyczne i germanistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, równocześnie pogłębione na Uniwersytecie w Lipsku (germanistyka, onomastyka



Prof. Franciszkowi Gruczy towarzyszyła prof. Maria K. Lasatowicz (na pierwszym planie), która wygłosiła laudację i recenzentka prof. Iwona Bartoszewska z Uniwersytetu Wrocławskiego

i dialektologia), ukończone pracą magisterską napisaną pod kierunkiem wielkiego prof. Theodora Fringsa, współtworzącego podwaliny współczesnej dialektologii, nie pozostały bez wpływu na przemysłane, samodzielne, indywidualne wybory drogi naukowej profesora Gruczy. Kolejne stopnie naukowe uzyskał już jako pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza; początkowo asystent prof. Ludwika Zabrockiego, potem adiunkt (1966), a po czterech latach, w roku 1970, już jako doktor habilitowany (na podstawie rozprawy z zakresu językoznawstwa teoretycznego opartej na badaniach nad diakryzą językową), rozpoczął współpracę z Uniwersytetem Warszawskim, który wkrótce stał się jego macierzystą uczelnią.

Analizując dorobek naukowy prof. Franciszka Gruczy, laudatorka podkreśliła ogromne spektrum tematyczne – od opracowań teoretycznych, modeli językowych, popartych tworzeniem nowatorskich, cenionych w kraju i za granicą teorii językoznawczych, do formułowania metalingwistycznych koncepcji, będących

podstawą tworzenia nowych kierunków lingwistycznych.

– Profesor Grucza stworzył podwaliny naukowe lingwistyki stosowanej i glottodydaktyki, przyznając im rangę samodzielnych dyscyplin naukowych. Tym samym przyczynił się do opracowania nowej strategii polskiej edukacji na etapie studiów wyższych w zakresie nauki języków obcych, strategii zatwierdzonej



Goście uroczystości



Uniwersytet Opolski ma kolejnego doktora honorowego. Na zdjęciu (od lewej): dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej prof. Maria K. Lasatowicz, dziekan Wydziału Filologicznego prof. Andrzej Ciuk, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Franciszek Grucza i prof. Iwona Bartoszewska



Prof. Franciszek Grucza, doktor *honoris causa* UO i władze Uniwersytetu Opolskiego

na szczeblu rządowym. Systemowe zmiany w kształtowaniu programów nauczania, innowacyjny wymiar organizacji i metodyki nauczania języka obcego, konsekwentne przestrzeganie zasady prowadzenia zajęć w języku będącym przedmiotem studiów z uwzględnieniem specyfiki języka polskiego w ujęciu kontrastywnym spowodowały ogromne zmiany w podejściu do problematyki kształcenia nauczycieli i uczniów na wszystkich poziomach edukacji. Pod kierunkiem profesora Gruczy, we współpracy z naukowcami z Essen, powstały ponadto alternatywne podręczniki do nauczania języka niemieckiego, uzupełnione o słowniki, poradniki metodyczne i opracowania ćwiczeń. Profesor Grucza jest uznanym autorytetem naukowym w Polsce i w krajach niemieckiego obszaru językowego. Ogromna aktywność naukowa, której dowodzi fakt zasiadania w wielu międzynarodowych gremiach i towarzystwach naukowych, a do tego niebywała intuicja badawcza sprawiły, że stał się twórcą nowych germanistycznych kierunków w wymiarze interdyscyplinarnym. Dzięki niemu polska szkoła interlingwalnych tłumaczeń, translatoryka i translacja zostały włączone do samodzielnych badań naukowych, wychodząc tym samym naprzeciw ogromnemu zapotrzebowaniu na kształcenie kompetentnych tłumaczy w zakresie wielu grup zawodowych (tekst laudacji – na str. 14).

Podczas uroczystości prof. Franciszkowi Gruczy towarzyszyła recenzentka **prof. Iwona Bartoszevska** z Uniwersytetu Wrocławskiego (drugim recenzentem był **prof. Józef Darski** z Uniwersytetu im. Adama Mickie-

wicza w Poznaniu) oraz rodzina – **dr Barbara Grucza** (UW), synowie: **prof. Sambor Grucza** (UW) i **dr Radosław Grucza** (UW), synowa **Silvia Bonacchi** (UW), siostra **Janina Grucza** oraz bracia: **Bernard** i **Stanisław**. Pojawili się i naukowcy z wielu polskich ośrodków akademickich, m.in. **prof. Zofia Berdychowska** i **prof. Zenon Weigt** (UJ), **Barbara Skowronek** i **Władysław Zambrocki** (UAM), **prof. Henryk Ratajczak** (b. rektor UW), **prof. Ewa Żebrowska** (UWM), a także **Piotr Korczala**, dyrektor Biura CK ds. Stopni i Tytułów Naukowych i **Jan Mariański**, b. minister w Ministerstwie Edukacji Narodowej.

Opolskie uczelnie wyższe reprezentowali: **dr Krystyna Brzozowska**, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu i **prof. Krystyna Macek-Kamińska**, prorektor Politechniki Opolskiej. Gośćmi uroczystości byli także przebywający w Opolu przedstawiciele Uniwersytetu St. Kliment Ohridski-Bitola (Macedonia) oraz byli rektorzy naszej uczelni, profesorowie: **Franciszek Marek** i **Józef Musielok**.

Z rodzinnych stron profesora, z Kartuz, przyjechała **Janina Kwiecień**, starosta powiatu kartuskiego. Opolskie władze samorządowe reprezentowali: wojewoda **Ryszard Wilczyński**, wicemarszałek **Roman Kolek**, prezydent miasta **Arkadiusz Wiśniewski** i przewodniczący Rady Miasta **Marcin Ociepa**. Obecni byli także: wieloletnia senator RP, doktor *honoris causa* UO **prof. Dorota Simonides** i poseł **Ryszard Galla**, a także ówczesny przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim **Nor-**



bert Rasch, przedstawiciele opolskich szkół średnich oraz pracownicy i studenci naszej uczelni.

Tytuł wykładu prof. Franciszka Gruczy brzmiał: *O rzeczywistych językach ludzkich, lingwistyce i germanistyce*. A poprzedziła go bardzo osobista refleksja profesora dotycząca... roli pochwał.

– Spytałem kiedyś mojego ojca: dlaczego ty nigdy nas za nic nie chwaliisz? On mi na to: za co mam chwalić? Za to, że spełniamie swoje obowiązki? Ja nie jestem od pochwał, ja jestem od ganienia. Wiele lat później o to samo – o brak pochwał – mieli do mnie pretensje moi asystenci. Ale tak źle nie jest, czasem chwałę. Nawet zdarza mi się samego siebie pochwalić. Dziś jest taki dzień. Czy to ogromne wyróżnienie jest podsumowaniem mojej kariery naukowej? Nie! Obiecuję: jeszcze będą powody, żeby się ze mną spierać.

Refleksja kolejna, tym razem z samego wykładu: – Każdy człowiek, w szczególności każdy człowiek zajmujący się zawodowo poznawaniem świata, permanentnie dokonuje aktów lingwalizacji pozyskiwanej wiedzy. I na tej drodze nie tylko tworzy swój – osobisty – język, lecz permanentnie go zmienia, a zwłaszcza zmienia swój system semantyczny. Nie ma dwóch ludzi na świecie, o których można by zasadnie powiedzieć, że ich rzeczywiste języki są pod każdym względem identyczne. To smutna prawda, ale tak po prostu jest, że nikt nie jest w stanie nikogo zrozumieć do koń-

ca, że wszelkie międzyludzkie porozumiewanie się ma swoje granice. Ale każdy człowiek i każda wspólnota są w stanie uczynić wiele, by móc z innymi ludźmi i innymi wspólnotami porozumieć się lepiej aniżeli dotychczas. A pomóc ludziom osiągnąć ten cel może lingwistyka i to tym skuteczniej, im lepiej zda sobie sprawę z tego, że właściwy – prymarny – przedmiot jej badań stanowią konkretni ludzie, a nie wspomniane wzorce czy modele językowe, że jej głównym celem badawczym jest możliwie dokładne poznanie komunikacyjnych właściwości konkretnych żywych ludzi, a nie dążenie do ich unifikacji totalnej. Finalnym zadaniem lingwistyki jest pozyskiwanie wiedzy o tym, co zrobić, by ludzie byli w stanie wykorzystać lepiej niż dotychczas zarówno swoje potencjały lingwogeneratywne, jak i generatywne potencjały swoich języków.

Fragment wykładu prof. Franciszka Gruczy – na str. 16.

Podczas uroczystości wystąpił Akademicki Chór UO *Dramma per Musica*, którym kieruje **dr Elżbieta Trylnik**. W holu obok Auli Błękitnej można było obejrzeć wystawę poświęconą **prof. Franciszkowi Gruczy**, przygotowaną przez pracowników Biblioteki Głównej UO.

Barbara Stankiewicz
Fot. **Tadeusz Parcej**

A zaczęło się od powtarzania matury

(laudacja z okazji nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego prof. Franciszkowi Gruczy, wygłoszona przez prof. Marię Katarzynę Lasatowicz, dyr. Instytutu Filologii Germańskiej UO)

Franciszek Grucza urodził się na krótko przed wybuchem II wojny światowej w Mostach koło Gdyni. Pomorze i Kaszuby stały się jego kolebką, co nie pozostało bez wpływu na kształtowanie osobowości przyszłego badacza europejskich procesów językowo-kulturowych, wychowanego na obszarze pogranicza etnicznego, konfesyjnego i społeczno-kulturowego. W Jego osobisty los wpisał się obraz Kaszub w kontekście multikulturowych relacji kaszubsko-polsko-niemieckich.

Znajomość trzech języków, posługiwanie się nimi na co dzień, sprzyjało wszechstronnemu rozwojowi młodego Franciszka w myśl zasady, że z każdym językiem poszerzamy nasz obraz świata.

Początkowe zainteresowania naukowe Franciszka Gruczy skupiały się na matematyce; prałat Franciszek Grucza optował za tym, by bratanek podjął studia sławistyczne; germanistyka nie była brana pod uwagę. Trochę zawirowań w planach edukacyjnych spowodowała konieczność ponownego złożenia egzaminu maturalnego (przyczyna: spóźnił się na egzamin we właściwym terminie). Alternatywa – albo powołanie do marynarki wojennej, albo podjęcie studiów jako wolny słuchacz u prof. Ludwika Zabrockiego na Uniwer-

sytecie w Poznaniu – zdecydowała o przyszłej drodze zawodowej naszego Doktora Honorowego, który nie raz z przekorą stwierdzał, że germanistą został właściwie z przypadku.

Wszechstronne wykształcenie, studia sławistyczne i germanistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, równocześnie pogłębione na Uniwersytecie w Lipsku (germanistyka, onomastyka i dialektologia), ukończone pracą magisterską napisaną pod kierunkiem wielkiego prof. Theodora Fringsa, współtworzącego podwaliny współczesnej dialektologii, nie pozostały bez wpływu na przemyślane, samodzielne, indywidualne wybory drogi naukowej Pana Profesora Gruczy. Kolejne stopnie naukowe uzyskał już jako pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza; początkowo asystent prof. Ludwika Zabrockiego, potem adiunkt (1966), a po czterech latach, w roku 1970, już jako doktor habilitowany (na podstawie rozprawy z zakresu językoznawstwa teoretycznego opartej na badaniach nad diakryzą językową), rozpoczął współpracę z Uniwersytetem Warszawskim, który wkrótce stał się Jego macierzystą uczelnią.

Nie sposób omówić wszystkich dokonań naukowych Profesora Franciszka Gruczy, gdyż Jego dorobek naukowy obejmuje ogromne

spektrum tematyczne – od opracowań teoretycznych, modeli językowych, popartych tworzeniem nowatorskich, cenionych w kraju i za granicą teorii językoznawczych, do formułowania metalingwistycznych koncepcji, będących podstawą tworzenia nowych kierunków lingwistycznych. Pan Profesor Grucza stworzył podwaliny naukowe lingwistyki stosowanej i glottodydaktyki, przyznając im rangę samodzielnych dyscyplin naukowych. Tym samym przyczynił się do opracowania nowej strategii polskiej edukacji na etapie studiów wyższych w zakresie nauki języków obcych, strategii zatwierdzonej na szczeblu rządowym. Systemie



Laudację wygłosiła prof. Maria K. Lasatowicz

mowe zmiany w kształtowaniu programów nauczania, innowacyjny wymiar organizacji i metodyki nauczania języka obcego, konsekwentne przestrzeganie zasady prowadzenia zajęć w języku będącym przedmiotem studiów z uwzględnieniem specyfiki języka polskiego w ujęciu kontrastywnym spowodowały ogromne zmiany w podejściu do problematyki kształcenia nauczycieli i uczniów na wszystkich poziomach edukacji. Pod kierunkiem Pana Profesora Gruczy, we współpracy z naukowcami z Essen, powstały ponadto alternatywne podręczniki do nauczania języka niemieckiego, uzupełnione o słowniki, poradniki metodyczne i opracowania ćwiczeń. W uznaniu zasług Pana Profesora Uniwersytet w Essen uhonorował Go w roku 1999 tytułem doktora *honoris causa*.

Profesor Grucza jest uznanym autorytetem naukowym w Polsce i w krajach niemieckiego obszaru językowego. Ogromna aktywność naukowa, której dowodzi fakt zasiadania w wielu międzynarodowych gremiach i towarzystwach naukowych, a do tego niebywała intuicja badawcza sprawiły, że Pan Profesor stał się twórcą nowych germanistycznych kierunków badawczych w wymiarze interdyscyplinarnym. Polska szkoła interlingwalnych tłumaczeń, translatoryka, translacja, dzięki Panu Profesorowi Gruczy, zostały włączone do samodzielnych badań naukowych, wychodząc tym samym naprzeciw ogromnemu zapotrzebowaniu na kształcenie kompetentnych tłumaczy w zakresie wielu grup zawodowych.

Profesor Grucza zabrał ponadto głos w dyskursie naukowym dotyczącym roli i znaczenia kultury w procesie kształtowania komunikacji językowej. Tym samym zainicjował i promował wiele projektów naukowych, podejmujących ukierunkowane badania nad procesem akwizycji językowej, uwarunkowanej wykreowaną przez Niego lingwistyczną teorią kultury.

Jako założyciel i długoletni przewodniczący Stowarzyszenia Germanistów Polskich walnie przyczynił się do włączenia polskiej germanistyki do międzynarodowych, światowych gremiów badawczych. Jego teksty, jak również wystąpienia zawierające przemyślenia i refleksje na temat odrębności germanistyki zagranicznej, także polskiej, odbiły się szerokim echem wśród międzynarodowej społeczności germanistycznej i wpłynęły na nowe postrzeganie zadań filologii we współczesnym świecie. We wrześniu 2005 r. na walnym zebraniu Światowego Kongresu Germanistów w Paryżu Pan Profesor Grucza został wybrany, jako pierwszy uczyony z Europy Środkowej i Wschodniej, prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Germanistycznego. W zorganizowanym pod egidą Pana Profesora w roku 2010 w Warszawie kongresie wzięło udział blisko 2000 germanistów z wielu krajów, a ogłoszone referaty opublikowano w 15 tomach.

Z dużym zaangażowaniem włącza się Pan Profesor Grucza we wszystkie sprawy dotyczące polsko-niemieckiego sąsiedztwa, widząc w zbliżeniu obu narodów konieczność dziejową. W organizowanych między-

narodowych konferencjach naukowych podejmował trudną i złożoną problematykę wzajemnych uprzedzeń między Polakami a Niemcami. Szczególnie konferencja z roku 2000, której patronowali prezydenci Polski i Niemiec, zatytułowana „1000 lat stosunków polsko-niemieckich w języku, literaturze, kulturze i polityce”, stała się asumptem do podjęcia na forum międzynarodowym interdyscyplinarnej dyskusji naukowej.

Wyrazem ogromnego szacunku i uznania dla działalności Pana Profesora na rzecz rozwoju polsko-niemieckiej współpracy w zakresie nauki i kultury są przyznane Mu niemieckie wyróżnienia i odznaczenia, takie jak wielka nagroda badawcza im. Aleksandra von Humboldta (1993), Złoty Medal J.W. Goethego (2002) czy Krzyż Zasługi Pierwszej Klasy Orderu Zasługi RFN (2002).

Profesor Franciszek Grucza jest humanistą, którego głos wiele waży w uniwersyteckich środowiskach w kraju i za granicą. Z długiej listy polskich odznaczeń pozwolę sobie wymienić Krzyże – Kawalerski i Oficerski – Orderu Odrodzenia Polski, a także Medal Komisji Edukacji Narodowej i Honorowy Medal Uniwersytetu Warszawskiego. Profesor Grucza to nie tylko wielkiego formatu uczyony, ale i wspaniały pedagog o niezwykłej charyzmie, przyjaciel młodzieży i wychowawca dwóch pokoleń germanistów. Wypromował 35 doktorów, tworząc własną szkołę lingwistyczną o standardach pracy naukowej odpowiadających międzynarodowym wymogom. Wielu polskich germanistów średniego i młodszego pokolenia przyznaje, że Profesor wpłynął na ich rozwój intelektualny, i w tym sensie czują się Jego uczniami.

Również germanistyka opolska zaznała od warszawskiego językoznawcy dużo życzliwości; mam tu na myśli nie tylko recenzje naukowe, ale także wiele inspirujących rozmów, pomysłów konkretnych tematów badawczych, konsultacji przy powoływaniu nowych specjalizacji kierunkowych i studiów podyplomowych, czy wreszcie indywidualnych wskazówek udzielanych podczas konferencji naukowych.

Tutaj, na Opolszczyźnie, gdzie relacje wynikające z polsko-niemieckiego pogranicza kulturowo-etnicznego są tak znaczące, że wybijają się do rangi głównych tematów badawczych w wymiarze interdyscyplinarnym, niezmiernie ważne jest wsłuchanie się w humanistyczne przesłanie myśli Profesora Gruczy, by na nowo zbadać, poznać i zrozumieć istotę relacji trudnego sąsiedztwa i uczynić je znakiem lepszej przyszłości. Postawa badacza nastawionego na mądry dyskurs i porozumienie między narodami budzi najwyższy szacunek.

Za wszystko, co Pan, Panie Profesorze, zrobił dla nauki polskiej, dla polskiej germanistyki i naszego środowiska naukowego Uniwersytet Opolski składa Panu najwyższy hołd, przyznając to, co ma najdroższego – doktorat honorowy.

Maria Katarzyna Lasatowicz

O rzeczywistych językach ludzkich, lingwistyce i germanistyce

(fragment wykładu prof. dr. hab. Franciszka Gruczy, doktora *honoris causa* UO)

Przenoszenie wyników moich analiz lingwistycznych i metalingwistycznych na grunt rozważań germanistycznych i metagermanistycznych wywoływało co jakiś czas konieczność dokonywania coraz to dalej idących zmian tradycyjnego rozumienia germanistyki. Dziś nie będę przedstawiał poszczególnych etapów tego procesu, lecz zreferuję pokrótce tylko kilka jego rezultatów.

Zacznę od następującej uwagi. Współcześnie nazywanie germanistyki „filologią”, a tym bardziej traktowanie jej w taki sposób, jakby stanowiła jakąś część filologii, jest mało zasadne – szczególnie wtedy, gdy filologię traktuje się jako dziedzinę nauki o celach zgodnych z etymologicznym znaczeniem nazwy „filologia”. Żadna

praca naukowa nie polega bowiem na lubieniu ani tym bardziej na miłowaniu przedmiotu tej pracy. Nie ma też żadnego zawodu, którego wykonywanie polegałoby na miłowaniu czy lubieniu czegokolwiek. Starożytni Grecy w ogóle nikogo nie wyróżniali za pomocą wyrazu filolog z tego powodu, że lubi swój język, a tym bardziej jakiś język obcy (te nazywali językami barbarzyńców).

Pierwotnie Grecy wyróżniali za jego pomocą osoby lubiące mówić – zakochane w gadaniu, czyli osoby nazywane dziś gadułami – a ich przeciwieństwa, czyli tzw. milczków, wyróżniali za pomocą wyrażenia mizeolog. Wprawdzie później zaczęli wyrazu filolog używać dla wyróżniania osób wykazujących szczególne zamiłowanie do zajmowania się tekstami, ale używali go dla wyróżnienia osób chętnie zajmujących się starożytnymi tekstami pisanymi, a nie tekstami w ogóle. To ten sposób posługiwania się tym wyrażeniem został w pewnym momencie przeniesiony w obręb uniwersytetów nowożytnej Europy. W niektórych z nich zaczął



Doktor *honoris causa* UO prof. Franciszek Grucza

wykształcać się już w XVIII w. nowy typ uczonych – uczonych starających się wykazać, że również nowożytne języki mają swoją historię, swoje pisemne teksty zasługujące na studiowanie.

Nazywanie w owym czasie tych uczonych „neofilologami”, a uprawiane przez nich studia „neofilologią” lub „filologią germańską” można uznać za w jakiejś mierze uzasadnione. Jednakże już na początku XIX w. etymologiczne znaczenie tych nazw zaczęło w coraz mniejszym stopniu wiernie oddawać to, czym ówczesni germaniści zajmowali się naprawdę. Bowiem już wtedy do świadomości niektórych z nich zaczęło docierać, że winni zajmować się nie tylko tekstami pisanymi, lecz także tekstami mownymi, że nie mogą się ograniczać do analizy odpowiednich tekstów starożytnych. Potem, w drugiej połowie XIX w., większość z nich była przekonana, że ich głównym zadaniem jest poszukiwanie praw, które rządzą historycznymi zmianami językowymi. Nazywanie ich filologami wypada uznać za wręcz absurdalne, albowiem interesujące ich

prawa traktowali jako pewien rodzaj praw natury. W jeszcze większej mierze nazywanie wszystkich germanistów filologami przestało być zasadne, gdy część z nich włączyła w obręb przedmiotu swych badań także odpowiednie dialekty.

W każdym razie już dawno temu przestało być prawdą, jakoby wszystkie podmioty germanistyki zajmowały się wyłącznie (bądź głównie) analizą tekstów wytworzonych przez kogoś w jakimś niemieckim języku historycznym. Jednakże jako niefortunne oceniam nazywanie współczesnej germanistyki filologią przede wszystkim dlatego, że nazwa ta implikuje sugestię, jakoby współczesna germanistyka była jakąś dziedziną aktywności jednorodnych. Dziś nie sposób uznać jej za taką nawet wtedy, gdy weźmie się pod uwagę tylko realizowane przez jej podmioty badania naukowe. Polskiej germanistyki nie sposób uznać za taką tym bardziej, ponieważ od co najmniej drugiej połowy poprzedniego wieku, zadaniem jej (ale nie tylko jej) podmiotów jest też realizowanie zadań zbiorczo nazywanych kształceniem.

Germanistyka (podobnie jak inne dziedziny nazywane neofilologiami) nie jest dziedziną, o której można by zasadnie powiedzieć, że jej podmioty zajmują się badaniami dotyczącymi tego samego przedmiotu. I jest tak od czasu podzielenia się zbioru jej podmiotów na kilka podzbiorów, w szczególności na podzbiór podmiotów zajmujących się poznawaniem tego, co zbiorczo nazywa się (a) niemieckim językiem, (b) niemiecką literaturą i (c) niemiecką kulturą.

Nie będę powtarzał, dlaczego rzeczy wyróżniane za pomocą wyrażen „język niemiecki”, „niemiecka literatura” i „niemiecka kultura” nie stanowią zbioru rzeczy jednorodnych. Natomiast dopowiem, że podmioty należące do pierwszego zbioru zajmują się przede wszystkim rzeczywistymi językami ludzi traktujących siebie jako członków wspólnoty Niemców, a nie tylko ich modelem/wzorcem językowym. Że z uwagi na fakt, iż ani ich rzeczywiste języki, ani ich rzeczywiste kultury nie są żadnymi bytami samoistnymi, wypada uznać, iż niektóre podmioty zaliczające się do pierwszego i trzeciego podzbioru germanistów zajmują się poznawaniem pewnych istotnych właściwości (i zarazem wyróżników) wszystkich bądź tylko niektórych członków rzeczonyj wspólnoty z uwagi na wykonywaną przez nich pracę, zajmowane pozycje społeczne itd. I że podmioty tych części germanistyki zajmują się poznawaniem nie tylko ich rzeczywistych języków czy kultur uznawanych za zgodne z odpowiednimi standardami, lecz także ich regionalnych, zawodowych itd. języków i kultur.

Co się z kolei tyczy aktywności zbiorczo nazywanych germanistycznym kształceniem, to w tym miejscu ograniczę się do kilku tylko uwag. Zacznę od stwierdzenia, że już od dłuższego czasu aktywności te wymagają odrębnego, w tym także naukowego, namysłu. A to dlatego, że charakteru istotnego problemu nabrało germanistyczne kształcenie (podobnie zresztą jak wszelkie inne kształcenie akademickie) w momencie, w którym jego cele przestały być zbieżne z cela-



mi akademickich aktywności, które Niemcy zbiorczo wyróżniają za pomocą wyrażenia *akademische Lehre*, a ja roboczo nazywam wykładaniem pozyskanej wiedzy o badanym przedmiocie. W Polsce germanistyczne kształcenie nabrało charakteru pewnego istotnego problemu najpóźniej na początku drugiej połowy poprzedniego wieku. W tym samym czasie swą pierwotną zasadność zaczęło tracić tradycyjne twierdzenie o tzw. jedności (germanistycznej) nauki i (germanistycznego) kształcenia.

Zaczął się tak dziać w momencie, w którym edukacyjne zadania germanistyki, pierwotnie ograniczone do odtwarzania siebie samej, poszerzono o obowiązek kształcenia nauczycieli języka niemieckiego. Jednakże musiał minąć niemal wiek, zanim niektórzy neofilologowie zrozumieli, że filolog i nauczyciel języka niemieckiego (ojczystego) to dwa podmioty o zasadniczo różnych konstytutywnych właściwościach (kompetencjach). Jeszcze więcej czasu minęło, zanim przynajmniej niektórzy zrozumieli, że podobnie rzecz ma się w przypadku nauczyciela języka niemieckiego jako ojczystego i obcego. Również nie jest jeszcze powszechne zrozumienie, iż zupełnie inne właściwości musi rozwinąć w czasie studiów przyszły nauczyciel języka niemieckiego jako obcego, a inne międzyjęzykowy tłumacz, że w konsekwencji przygotowanie kogoś do profesjonalnego wykonywania tych czynności wymaga odmiennego kształcenia, że nie każdy germanista jest równie kompetentny w sprawach dotyczących każdego rodzaju germanistycznego kształcenia.

W ciągu XIX w. germanistyka była uprawiana na ówczesnych terenach polskich w taki sam sposób i w tym samym celu, co na terenach zamieszkałych przez ludność niemieckojęzyczną. Z konieczności zmiany tego stanu rzeczy niektórzy germaniści zatrudnieni na polskich uniwersytetach zaczęli sobie zdawać sprawę najpóźniej po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ale dokonane w okresie międzywojennym zmiany dotyczyły głównie germanistycznych badań. W każdym razie swoje programy kształcenia z własnej woli (a nie tylko z woli ówczesnych decydentów politycznych) polscy germaniści zaczęli zmieniać w istotny sposób dopiero po drugiej wojnie światowej, dokładniej – po 1956 r. Głównym promotorem tych zmian był niewątpliwie mój mistrz, prof. Ludwik Zabrocki.

To on wywołał we mnie przekonanie, że zadaniem germanisty jest nie tylko analiza wybranych germanistycznych zagadnień, lecz także permanentne poddawanie namysłowi całego zakresu akademickich aktywności germanistycznych oraz zabieganie o zmianę

– transformację – polskiej germanistyki w taki sposób, aby jej absolwenci, opuszczając mury uniwersyteckie, mogli sprostać swoim zadaniom zawodowym.

Dziś wiem, że uprawianie polskiej germanistyki dla realizacji wyłącznie tych samych celów, które realizuje germanistyka niemiecka, jest bezzasadne. I że społeczna zasadność jej uprawiania w jakimkolwiek kraju zależy przede wszystkim od tego, w jakiej mierze dostarcza ona swojemu społeczeństwu profesjonalnie, a nie tylko nominalnie, wykształconych specjalistów – nauczycieli języków obcych oraz tłumaczy, a także specjalistów w zakresie międzyludzkiego porozumiewania się. Dziś wiem również, że aby móc wykształcić jakiegokolwiek specjalistę na miarę jego praktycznych potrzeb, trzeba najpierw możliwie dogłębnie zrozumieć, jakie specyficzne umiejętności determinują efektywne wykonywanie danego rodzaju pracy. I że o akademickim kształceniu z prawdziwego zdarzenia można mówić tylko pod warunkiem, że zarówno jego program, jak i sposoby realizacji tego programu zostały wytworzone na podstawie odpowiednich badań naukowych. To w konsekwencji tych przekonań poświęciłem wiele lat pracy poznawczej konstituowaniu dziedzin nazywanych przeze mnie glottodydaktyką i translatoryką.

Dziś polską germanistykę odróżniają od germanistyki niemieckiej czy austriackiej w sposób zasadniczy nie tylko jej specyficzne zadania edukacyjne, lecz także jej specyficzne cząstkowe dziedziny badań – poza językoznawstwem, literaturoznawstwem i kulturoznawstwem składają się na nią też takie dziedziny cząstkowe, jak germanistyczna glottodydaktyka czy germanistyczna translatoryka. Innego rodzaju specyfika badawcza polskiej germanistyki polega na tym, że zajmuje się nie tylko niemieckim językiem Niemców czy Austriaków, lecz także niemieckim językiem Polaków, a także badaniem wszelkich śladów, jakie pozostawili członkowie wspólnoty niemieckiej (Niemcy) na terenie Polski lub w pamięci Polaków – zarówno językowych (np. nazewniczych), jak i niejęzykowych, ale nie tylko tych ocenianych negatywnie, lecz także tych, które wypada ocenić pozytywnie. Jednym z istotnych specyficznych zadań polskiej germanistyki jest podejmowanie badań w celu pozyskania naukowo uzasadnionych odpowiedzi na pytanie, co należy zrobić i czego należy unikać, jeśli chce się zwiększyć zakres możliwości wzajemnego rozumienia się Polaków i Niemców.

Franciszek Grucza
Fot. **Tadeusz Parcej**

Jan Goczoł

Wojciechowi Dindorfowi, z nasłuchów metafizycznych

* * *

W nieskalanej bieli od stóp do głowy
i do końca współłożonych skrzydeł
ten anioł urodzinowy z północno-wschodnich
stron nieba do mnie zesłany. Ramiona
podtrzymujące trąbkę z bezustannym
niesłyszalnym, choć słyszonym przejmująco
nawoływaniem do pracy, której ani początku
ani końca.

On z pewnością wie, ile można jeszcze
ode mnie oczekiwać, choć życie człowieka
nijak się ma do najdrobniejszej kruszyny wieczności.
Z czego zatem ten niesłyszalny a słyszany
dźwięk otuchy, że, póki co, jeszcze się
nie rozliczyłem z daru widzenia
w dzień i w nocy, nade wszystko zaś
z daru słyszenia wszelkich krzyków i szeptów,
z daru dziwowania się i zachwycania
wszystkim tym, co już mi dano.

marzec 2015



3. *Zawsze możesz zadzwonić*, akwaforta, 16,7 x 13,7 cm, 2006 r.



4. *Laweczka*, akwaforta, 17 x 11,5 cm, 2006 r.

Irena Wyczółkowska o obrazach Andrzeja Sznejweisa

No to będę ten biedny Prospero

No więc dobrze. Będę jak Prospero, ten z *Burzy* Szekspira, łamię czarodziejską różdżkę, niszczę uczone dzieła. Żadnej wiedzy, żadnej interpretacji, żadnych szablonów. Z Kalibanem żrącej ironii i Arielem wdzięku poradzimy sobie sami – nieprofesjonalnie.

1. Ach, przesłiczna Kolombino. Gołąbeczko. Cmok, cmok. Słodczyko. Pancerna suknia, nie żadne fiu, fiu jedwabie. Zbliża się z chrzęstem grzechotnika. A obok drzewo, w cichych gałęziach prawdziwy gołąbek. Nasza Kolombina mogłaby skrócić mu łepkę. Ale czy warto? Czy nie potrzebny byłby wtedy Vizir do wywabienia plam? Można jednak i tak popatrzeć: oto narzucona sobie konwencja. Jak u Boya Żeleńskiego *mieszczaneczka hodująca białe sadło*. Niełatwo wtłoczyć siebie w formę konwenansów i wytrwać.

2. Uroda bywa smutna, ale czy na pewno w głębi tych aż tak lirycznych ocząt nie kryje się jedynie pułapka? Bo litość jest pułapką i to skuteczną. A sfera ponurych doświadczeń to mogło być wyrywanie skrzydełek tym paskudnym muchom.

3. Częsty, jakże efektowny motyw *umeblowanie lasu*. Na każdym drzewie telefon. Znakomita metafora echa. A jego boginka miała dobre serce i li-

towała się nad swoją kuzynką Jutrzenką. Kiedy ta poprosiła o nieśmiertelność dla ukochanego Titonosa, bogowie zakpili z niej, nie ofiarując daru wiecznej młodości. Głos Titonosa był słabszy od wszystkich świerszczy. Może za sprawą telefonów małżonka go usłyszy i przyniesie kroplę rosy na zielonym listku?

4. Amor? A może pies ogrodnika? A może kochankowie w swoim miękkim przywiązaniu *stali się poduszkami?*, a pies kpi z nich. Jemu by się to nie mogło przydarzyć. Jak we wszystkich Twoich obrazach nic nie jest tym, czym nam się wydaje. I Ty sam, jak sądzę, drwisz sobie z nas, narzucając pozornie, ale tylko pozornie, łatwe stereotypy, takie ślicznusie.

5. Przyznaję, ten obraz mnie, wstyd powiedzieć bo to niemodny zwrot, nieco wzruszył. Trochę jakby z Leśmiana, tratwa Majki. A może inaczej, może jest to miłosne łożo, w którym ciała pachną cynamonem, przyprawą korzenną i oliwą, jakby w tym lesie rodziła się idea nowego smaku. Kiedyś uniesie się i u nas.

Raz jeszcze Szekspir: Czy to nie jest łożo Oberona i Tytanii? Miejsce poznawania prawdziwych instynktów. Miejsce poszukiwań.



1. *Melomanka*, olej/plótno, 60 x 50 cm, 2014 r.



5. *Łoże z baldachimem*, akwaforta, 14 x 17,5 cm, 2006 r.



2. *Sfera doświadczeń*, olej/deska, 24 x 28 cm, 2011 r.

Stanisław S. Nicieja

Od zecera do milionera

Tadeusz Dołęga-Mostowicz urodził się 10 sierpnia 1898 roku w majątku Okuniewo pod Witebskiem, miastem, które rozświetlił swymi obrazami Marc Chagall. Rodzice byli dzierżawcami dużego majątku ziemskiego. Tadeusz miał szczęśliwe dzieciństwo i młodość. W 1915 roku ukończył gimnazjum w Wilnie i rozpoczął studia na Uniwersytecie Kijowskim. Zaangażował się wówczas w działalność patriotyczną w Polskiej Organizacji Wojskowej. Rewolucja w imperium rosyjskim w 1917 roku i jej następstwa zburzyły jego sielankowy świat. Niewiele wiemy, co działo się z nim, gdy na wschodzie płonęły dwory szlacheckie i gdy toczyła się wojna polsko-bolszewicka, w której brał udział. W każdym razie traktat pokojowy w Rydze w marcu 1921 roku, który wytyczył granice między Polską a Rosją bolszewicką, spowodował totalną pauperyzację jego najbliższych – rodzinne Okuniewo zostało bowiem po

stronie rosyjskiej. Biedny jak przysłowiowa mysz kościelna osiadł w 1922 roku w Warszawie i podjął się pierwszej lepszej pracy, jaka mu się trafiła: zecera w dzienniku „Rzeczpospolita”. Mieszkał w jakimś zatłoczonym pokoiku na Pradze, w podejrzanym szemranym towarzystwie, które później plastycznie sportretował w swojej powieści „Doktor Murek”.

Powoli awansował. Z zecera stał się korektorem, nieśmiało próbującym pisać skromne artykułiki, drobne relacje z różnych wydarzeń, później felietony, by w końcu napisać opowiadanie i humoreskę pt. „Sen pani Tunci”, która ukazała się w 1925 roku na łamach „Rzeczpospolitej”. Wtedy po raz pierwszy zadziwił czytelników niezwykłą zdolnością fabularyzowania i sugestywną narracją, pobudzającą wyobraźnię czytelnika. Ten dar, a właściwie wielki talent, przyniósł mu sławę i pieniądze.



Polska strażnica (stan z roku 2010) przy wjeździe na most graniczny w Kutach. Tu zostali odprawieni 17 września 1939 roku marszałek Edward Rydz-Śmigły z generalicją i prezydent Ignacy Mościcki – tą drogą wyjechali do Rumunii (fot. Halina Nicieja)



Przed domem i piekarnią Różankowskiego, skąd Tadeusz Dołęga-Mostowicz wziął chleb i wyruszył w swą ostatnią podróż. Przed piekarnią stoją córka Jadwiga (po mężu Kielbowa) i wnuczka Irenka (po mężu Bejtman) z mieszkanką Kut Helą Wójcicką. Po prawej stronie zdjęcia widać sztyl piekarni z napisem po rosyjsku, co wskazuje, że fotografia została wykonana w czasie wojny, gdy w Kutach byli Rosjanie (ze zb. Ireny Bejtmanowej, rocznik 1935, z wykształcenia pedagog, osiadłej po wojnie w Lublińcu, pieczołowicie przechowującej pamiątki rodzinne oraz pamięć o tragedii, która dotknęła jej rodzinę w Kutach)

Nim się to jednak stało, doznał wielkiego upokorzenia, omal nie stracił życia i nabawił się trwałej choroby serca. Doszło do tego, bo nieopatrznie wplątał się w politykę. Po zamachu majowym w 1926 roku pełnię władzy w Polsce przejęli piłsudczycy, a Mostowicz publikował swoje artykuły na łamach pism (zwłaszcza „Rzeczpospolitej” i „ABC”), które miały orientację narodową, endecką, będących w ostrej opozycji do obozu Józefa Piłsudskiego i nie oszczędzających osoby marszałka otoczonego przez armię lizusów. Pisma te posiadały świetne zespoły i błyskotliwych publicystów: Adolfa Nowaczyńskiego, Kornela Makuszyńskiego, Stanisława Strońskiego czy Adama Grzymałę-Siedleckiego, by wymienić tylko najwybitniejszych. Mostowicz dołączył do nich. Nie ustępował im talentem dziennikarskim. Potrafił pisać finezyjnie i złośliwie.

Ironicznie kłuł satyrą różnych „odnowicieli politycznych”, nadętych pychą byłych legionistów, uważających się za „jedynych prawdziwych patriotów”, często skorumpowanych głosicieli „moralnego odrodzenia”. Był czasem skrajnie antypiłsudczykowski i bezlitośnie obnażał hipokryzję oraz pustkę ideową różnych pułkowników. Jego cięte riposty często komentowano na salonach władzy. Naraził się tym do tego stopnia, że postanowiono unicestwić go fizycznie.

8 września 1927 roku, gdy tuż przed północą wracał do domu na ulicę Grójecką 44, został napadnięty przez czterech zbirów uzbrojonych w pałki. W usta wciśnięto mu knebel i do nieprzytomności skatowano, przy okrzykach: „to za te artykułiki”. Następnie ogłuszonego wywieziono na obrzeża Warszawy i wrzucono do glinianki w Łomiankach. Kilka godzin leżał w mule. Dopiero nad ranem, odrętwiały z zimna, odzyskał przytomność. Miał jeszcze tyle siły, aby swymi jękami zwrócić uwagę przejeżdżającego w pobliżu chłopca, który wcześniej rano wybrał się po siano na łąkę. On to wyciągnął pisarza z glinianki i zawiózł do szpitala. Jak później stwierdzono, pomoc przyszła w ostatniej chwili. Tylko przypadek spowodował, że przeżył ten napad. Pisały o tym prawie wszystkie gazety. Piłsudski nakazał śledztwo, ale sprawców nigdy nie wykryto, choć było wiele poszlak i ewidentnych dowodów, kto to zrobił.

Podobny los spotykał w tym czasie innych krytyków marszałka Piłsudskiego, m.in. Jerzego Zdziechowskiego, Stanisława Strońskiego, Jana Dębskiego czy Adolfa Nowaczyńskiego (trzykrotnie w ciągu dwóch lat), któremu wybito oko za to, że tytułował Piłsudskiego nie komendantem, a komediantem.

Po tym incydencie Mostowicz począł stopniowo dystansować się od dziennikarstwa interwencyjnego i skoncentrował się na powieściopisarstwie. Do końca życia odczuwał skutki pobicia. Miał słabe serce zagrożone zawałem. Incydent, przez który niemal nie stracił życia, wykorzystał w powieści „Znachor”, gdzie tytułowy bohater, prof. Wilczur, pobity przez bandytów, też stracił pamięć. W przeciwieństwie do bohatera tej powieści Mostowicza nie dotknęła amnezja. Miał dobrą pamięć i świadomość, że pobili go ludzie w mundurach.



Stroma ulica prowadząca w kierunku mostu w Kutach (w tle kościół ormiański). To gdzieś na wysokości znajdującego się na fotografii samochodu ciężarówkę Mostowicza musiała osiągnąć seria z karabinu maszynowego – auto przekoziołkowało, stoczyło się w dół i zniszczyło ogrodzenie posesji Mojzesowiczów. Zginął szofer i Tadeusz Dołęga-Mostowicz

„Kariera Nikodema Dyzmy”

Tadeusz Dołęga-Mostowicz był autorem 17 powieści drukowanych początkowo w prasie w odcinkach, a następnie w formie książek. Prawie każda trafiała na listę bestsellerów. Nikt nie zliczył recenzji, wywiadów i komentarzy, które towarzyszyły ich wydaniom i kolejnym wznowieniom. Największą renomę i popularność zdobyła powieść „Kariera Nikodema Dyzmy”, przez część krytyki uważana „za najlepszy plód prozy międzywojennej”, a przez niektórych za „produkt literatury wagonowej – czytała do podróży”. Nikt z krytyków nie potrafił jednak odmówić Mostowiczowi „mistrzostwa warsztatowego” i „zdolności narracyjnych”. Po wojnie „Kariery Nikodema Dyzmy” trzykrotnie w Polsce sfilmowano. W rolę tytułowego bohatera wcielali się Adolf Dymśa, Roman Wilhelmi (genialna rola w serialu Jana Rybkowskiego!) i Cezary Pazura. Wielu krytyków twierdziło, że Jerzy Kosiński, jeśli nie splagiatował pomysłu Mostowicza, to swą amerykańską, bestsellerową powieść „Being There” („Wystarczy być”) – którą sfilmowano, obsadzając w głównej roli Petera Sellersa – najprawdopodobniej napisał pod wpływem lektury „Kariery Nikodema Dyzmy”. Fakt ten przywołuje Janusz Głowacki w swej książce „Good night, Dżerzi”, będącej sfabularyzowaną biografią Kosińskiego.

W każdym razie „Kariera Nikodema Dyzmy” dobrze znosi próbę czasu. Jest regularnie wznowiana, a ostatnio trafiła nawet na listę audiobooków. Najlepszym i bezwzględny recenzentem dla dzieła literackiego jest zawsze czas. A ten, jak widać, sprzyja Mostowiczowi. W czym tkwi siła tej powieści? Ano w tym, że życie polityczne, niezależnie od epoki, cią-

gle replikuje swoiste kariery Nikodemów Dyzmów – prostaków i chamów, którzy, wychodząc z dółów społecznych, sięgają szczytów awansu politycznego i materialnego. W III Rzeczypospolitej, a więc pół wieku później, ujawniło się wielu Dyzmów. Jeżeli czymś się różnili od pierwowzoru, to wyjątkowo wulgarnym językiem.

„Kariera Nikodema Dyzmy” nie była jedynym zjadliwym pamfletem na elity polityczne związane z marszałkiem Piłsudskim. Szydził z nich również w powieściach „Ostatnia brygada”, „Czeki bez pokrycia” czy „Pamiętnik pani Hanki”. Był autorem bon motów: „Dno każdej tragedii to głupota” oraz „Warto być grzecznym, nawet jak się nie ma na to ochoty”. Zarzucono Mostowiczowi, że atakował obóz piłsudczykowski, bo był endekiem. To uproszczenie. Mostowicz do żadnej partii nigdy nie należał, a w swych książkach i ostrej publicystyce atakował głupotę, cynizm i pozerstwo. Sam był wyjątkowo dobrze wychowanym dżentelmenem, nienagannie ubranym arbitrem elegancji, noszącym najmodniejsze krawaty, kapelusze i meloniki. Miał szeroki gest. Lubił obdarowywać przyjaciół. Mieszkał w centrum Warszawy w pięknie urządzonym sześciopokojowym apartamencie pełnym

urządzonym sześciopokojowym apartamencie pełnym



Plakat z inscenizacji „Kariery Nikodema Dyzmy” w reżyserii Michała Kotańskiego w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie (premiera 2013) z Grzegorzem Gromkiem w roli głównej, za którą został wyróżniony Teatralną Kreacją Roku. Powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza od osiemdziesięciu lat nie tylko jest wznowiana, ale też nie schodzi ze scen teatrów i ekranów kinowych. W 2014 roku warszawski Teatr Syrena zrealizował na jej kanwie musical w reżyserii Wojciecha Kościelniaka z Przemysławem Bluszczem w roli Dyzmy



Roman Wilhelmi uważany za arcyministra kreacji Dyzmy w głośnym serialu telewizyjnym w reżyserii Jana Rybkowskiego z roku 1980

kwiatów. Ubierał się z angielska i wzorem dandysów nie wychodził na ulicę bez parasola. Jeździł białym, luksusowym samochodem amerykańskiej marki „Buick”. Był błyskotliwy i dowcipny. „Zamiast pomnika wolę Buicka” – żartował. Przystojny blondyn, budził zachwyt u pań i miał opinię króla warszawskich salonów. Tuż przed wybuchem wojny był w Polsce postacią powszechnie znaną.

Śledztwo w sprawie śmierci Mostowicza

Śmierć Tadeusza Dołęgi-Mostowicza w Kutach obrosła legendą. Powstały na ten temat setki domysłów i dziesiątki relacji różnych naocznych świadków. Jest w nich wiele rozbieżności, fantazji, przebarwień, nadinterpretacji, bo też sława Mostowicza, w blasku której wielu chciało się ogrzać, była potężnym magnesem.

Tuż po wojnie nie podjęto (z wiadomych względów) próby ustalenia podstawowych faktów związanych z jego śmiercią. Polska straciła Kutę, a ludność tamtejszą wymordowano bądź wywieziono. Przez dziesiątki lat nie można było na Pokucie swobodnie pojechać. Nie interesowano się też specjalnie biografiami autora „Kariery Nikodema Dyzmy”, bo w latach stalinizmu lansowano inną literaturę.

Gdy u schyłku lat 70. XX wieku nastąpił renesans zainteresowania twórczością Mostowicza i jego

biografowie zaczęli gromadzić dokumenty oraz relacje na ten temat, było już za późno, aby jednoznacznie stwierdzić, dlaczego zginął. Co on w ogóle robił w Kutach, skoro wszyscy ważniejsi zdążyli stamtąd uciec do Rumunii? Powstały kontrowersje nie tylko wokół miejsca, ale i daty jego śmierci. Wymarli najstarsi świadkowie, a pamięć po latach często ujawnia swoje zdolności kreacyjne. Doświadczam tego jako historyk zbierający relacje. Czasem po wielu latach ludziom wydaje się, że tak było. Są o tym święcie przekonani. A zjawia się ktoś inny i twierdzi, że było inaczej. I co robić? Komu wierzyć? Komu przyznać rację? W takiej sytuacji trzeba przybrać postawę oficera śledczego i uruchomić swą nieufność do relacji pisemnych i wspomnień naocznych świadków.

Aby ustalić, jak to było ze śmiercią Mostowicza, zebrałem wszystkie znane mi relacje oraz najważniejsze książki oraz artykuły biograficzne o autorze „Znachora” i pojechałem w sierpniu 2014 roku do Kut na wizję lokalną. Oto jej rezultat.

Właściwie nie wiadomo, jak i którym szlakiem Mostowicz trafił do Kut. Czy był w głównym strumieniu uciekinierów, którzy szukali ratunku na ziemi rumuńskiej? Czy był w pobliżu ekipy rządowej? Premier Sławoj Składkowski w swym dzienniku nie wymienia na-



Maciej Bohosiewicz – prezes Fundacji Ormiańskiej KZKO, jego żona Marta i prof. Stanisław Niciejka na cmentarzu w Kutach



Tadeusz Dołęga-Mostowicz

zwiska Mostowicza. Ale mógł go zignorować, bo miał ku temu powody – był wszak Mostowicz wielkim, często złośliwym krytykiem rządów pułkowników i generałów w Polsce. Piłsudzczycy go nienawidzili.

Niepodważalnym faktem jest, że Mostowicz w polskim mundurze, w randze kaprała, był w Kutach 17 września. Według najstarszej relacji (z roku 1947 – osiem lat po tragedii) Janusza Minkiewicza, widząc panikę, w jakiej uciekali dygnitarze państwowi, Mostowicz chciał ochronić miejscową ludność przed grabieżami uzbrojonych złodziei i postanowił zorganizować zaimprovizowaną Straż Obywatelską w celu czuwania nad bezpieczeństwem mieszkańców. To miał być powód jego zatrzymania się w Kutach i odłączenia się od uciekinierów, którzy przeszli już 17 września na stronę rumuńską. Bolszewicy weszli do Kut dopiero trzy dni później. Przez ten czas Mostowicz miał pełnić funkcje porządkowe.

Zupełnie co innego twierdził 18 lat później (w 1957 roku) niechętny Mostowiczowi poeta i dziennikarz Stanisław Burcz. W jego interpretacji pisarz zdążył między 14 a 17 września swoim luksusowym samochodem marki „Buick” ku granicy rumuńskiej i natknął się na „nieustalonej proveniencji” patrol wojskowy. „Zląkł się i dodał gazu”, a żołnierze oddali w jego kierunku serię z karabinu i jedna z kul trafiła Mostowicza „zaledwie kilkaset metrów od granicy”. Zazdrosny o sławę Brucz pragnął zrobić z Mostowicza tchórza nawet po jego śmierci.

Dostawca chleba

Po zestawieniu wszystkich znanych mi dużo późniejszych relacji wydaje się, że najbliższe prawdy są wspomnienia związanych z Kutami poety Jerzego Hordyńskiego i Jadwigi Migockiej-Drzazgi z Oławy, Bronisława Ciołka i Marii Majerczyk z Zakopanego oraz Bronisławy Broszkiewicz-Drozdowskiej z Bystrzycy Oławskiej. Wynika z nich – po uwzględnieniu drobnych rozbieżności, które w tych relacjach

występują – że Mostowicz zaangażował się w działalność aprowizacyjną w Kutach. Krążył samochodem ciężarowym między Kutami a Wyżnicą po stronie rumuńskiej, przewożąc chleb dla żołnierzy polskich, internowanych tuż za mostem, po rumuńskiej stronie. Feralnego dnia, 20 września 1939 roku, pod piekarnię Karola Różankowskiego (1874–1944) przy ulicy Tuidowskiej w Kutach przyjechał samochodem ciężarowym. Gdy z kierowcą ładowali do ciężarówki chleb i bułki, do miasta wjechały trzy sowieckie czołgi, witane owacyjnie przez ludność ukraińską

i żydowską. Młodzież wchodziła na te czołgi i bratała się z bolszewikami. Wówczas jeden z Ukraińców zwrócił uwagę, że pod piekarnią Różankowskiego stoi polski samochód wojskowy. Jeden z sowieckich czołgów ruszył w tym kierunku. Widząc to, kierowca polskiej ciężarówki ruszył w kierunku mostu granicznego.

Czołg nie był w stanie dogonić szybko mknącej ciężarówki. Jego dowódca pociągnął więc serię z karabinu maszynowego, która dosięgła uciekających na stromym zjeździe przy kościele ormiańskim. Szofer stracił



Karol Różankowski



Wiesław Różankowski – wnuk zamordowanego przez banderowców właściciela piekarni w Kutach, Karola Różankowskiego – od kilku lat co roku przyjeżdża z Heilbronn w Niemczech, gdzie obecnie mieszka, do miasteczka swego urodzenia

panowanie nad kierownicą, ciężarówka potoczyła się bezwładnie w dół i przekoziółkowała, wpadając do rowu i rozbijając ogrodzenie posesji Mojzesowiczów. Z otwartych drzwi szoferki wypadł żołnierz w randze kaprała. Wokół leżały dziesiątki rozrzuconych bochenków chleba i setki bułek. Rypsyma Mojzesowicz wciągnęła zwłoki żołnierza do swego ogrodu. Gdy rozpięła mapnik kaprała, przymocowany skórzanym paskiem do jego ramienia, wypadł stamtąd identyfikator Mostowicza.

Taka scena śmierci Mostowicza – iście filmowa, wśród bochenków chleba – powtarza się w kilkunastu relacjach. Rozbieżności dotyczą tylko miejsca i przyczyny wywrócenia się ciężarówki. Część świadków twierdzi, że stało się to na zakręcie za kościołem ormiańskim i że kierowca, uciekając przed kulami padającymi z czołgu, nie wyrobił zakrętu i rozbił samochód na ogrodzeniu Mojzesowiczów. Po mojej wizycie na miejscu w sierpniu 2014 roku odrzucam tę wersję. Swoim samochodem kilkakrotnie przejechałem trasę od piekarni Różankowskiego do przyczółka mostu nad Czeremoszem – przy domostwie Mojzesowiczów nie ma żadnego zakrętu. Wydaje się więc pewnym, że to kule, które trafiły w szoferkę albo w koła, były przy-

czyną wywrócenia się ciężarówki. A sam Mostowicz zmarł w wyniku postrzału, a nie obrażeń po wypadku. Literacki opis, zbliżony do przedstawionej wyżej wersji śmierci Mostowicza, zawarł w swej powieści „Ukraiński kochanek” (2008) Stanisław Srokowski, który także korzystał z relacji naocznych świadków.

Zwłoki Mostowicza złożono w kaplicy na cmentarzu w Kutach. Wieść, że słynny pisarz został zastrzelony przed granicą, lotem błyskawicy obiegła całe Kuty. Na pogrzeb, celebrowany przez dwóch księży (Samuela Manugiewicza i Wincentego Smala), w którym Rosjanie nie przeszkadzali, przyszły setki ludzi. Mostowicz leżał w otwartej trumnie w kaplicy cmentarnej (zachowało się takie zdjęcie, które wykonał Ukrainiec Dutkowski). Licząca wówczas 14 lat,

mieszkająca obecnie w Bystrzycy Oławskiej, Bronisława Broszkiewicz-Drozdowska zapamiętała, że ludzie całowali buty Mostowicza i że na jego czole była krwawa plama. Świadkiem tego pogrzebu była też matka Romualda Nowaka – dyrektora Panoramy Raławickiej we Wrocławiu.

Mostowicza pochowano w grobowcu Ohanowiczów na cmentarzu w Kutach. 24 września 1978 roku, dzięki zaangażowaniu się w tę sprawę Jarosława Iwaszkiewicza – prezesa Związku Literatów Polskich, rodzina Mostowiczów doprowadziła do ekshumacji i przeniesienia prochów pisarza na Cmentarz Powązkowski w Warszawie. Jego nazwisko, *nomen omen*: Mostowicz, wpisało się wyraziście w legendę słynnego mostu, w pobliżu którego zginął. W 2015 roku z inicjatywy prof. Tadeusza Mikołaja Trajdosa i Macieja Bohosiewicza z Fundacji Ormiańskiej podjęto działania, aby umieścić tam tablicę o treści: „Pamięci Tadeusza Dołęgi-Mostowicza pisarza polskiego zabitego przez najeźdźców radzieckich w Kutach w pobliżu granicy Polski i Rumunii dnia 20 IX 1939 roku”.

Stanisław S. Nicieja

Życzliwy wodnik, miła heksa?

Wkrótce, w chorzowskim wydawnictwie Medeia, ukazą się baśnie górnośląskie, opowiedziane „po nowemu” przez Irenę Wyczółkowską, poetkę, eseistkę, autorkę tomików poetyckich *Skóra węża*, *Gdzie piołun rośnie*, *Ptaszysko*, *Balkon bez poręczy*, *Gwar utajony*, *Smocza samotność*, *Wstęp do teorii jawy*, *Ulica Równoległa*, *Bilet na wodolot*, *Portret z duszą na ramieniu* oraz zbioru krótkich opowiadań *Mitoplotki*.

Dlaczego właśnie baśnie?

Irena Wyczółkowska: – Powstały te baśnie z zaurczenia Górnym Śląskiem – urodziłam się w Warszawie, owszem, mam tam rodzinę, ale mówiąc może nieco ckliwie: serce już mieszka sobie w Opolu. Od tylu lat! Łagodne krajobrazy Opolszczyzny, miejsca, gdzie dostrzegłam coś szczególnie pięknego: a to kolorowego ptaka wśród trzciny, a to lasy (ach, te lasy bukowe na Górze św. Anny!), miejsca inspirujące wyobraźnię, tajemnicze ruiny, przycupnięte u stóp wzgórza wioseczki, można by wyliczać i wyliczać...



Rys. Andrzej Sznejweis

Kiedy byłam zdrowa, jeździłam sobie po świecie, samoloty, statki, autokary, nie góry – górzyska, no i morze, najpiękniejszy chyba pomysł w Boskim planie stworzenia świata. Chciałam powoli, póki sił starczy, poznawać fenomen: wyspy. Duże, mniejsze, pełne zabytków i te będące tylko (TYLKO?) muzeami cudów natury. Zachorowałam. No to sobie wymyśliłam, że ja nie zrezygnuję z cieszenia się światem, o, na przykład taka niezwykłość nad niezwykłościami: jak rzeki, jedno przyjaźnie, z całym zaufaniem, inne wyraźnie z troską i myślą o niełatwych kompromisach, łączą się z sobą.

Całe życie wymyślałam bajki, opowiadałam je koleżankom na koloniach, uczniom, synowi i innym rodzinnym dzieciom. Wnukowi – chyba najwięcej. I oto przyszedł czas, gdy zechciało mi się opowiadać baśnie samej sobie. Na pociechę, dla odwrócenia uwagi od..., ech, nie ma co się chwalić.

I tak oto wzięłam sobie specjalne szczypczyki i powyciągałam, mam nadzieję, że ze stosowną delikatnością, pewne postaci ze śląskich bajek, przebrałam je w przez siebie zaprojektowane szatki. Spróbowałam opowiedzieć o nich po swojemu. Oj, pewnie zaklą uczeni etnolodzy: „Toż to herezje – planetniki nigdy nie miały poczucia humoru ani wodniki sympatii dla ludzi. Kto to widział, żeby heksa nie była złośliwa, a boginie losu lubiły sobie wypić krzynkę za wiele pitnego miodu...”.

Akcja większości baśni toczy się gdzieś w bliżej nieokreślonym miejscu, ale krajobrazy, porządek społeczny, piękne wartości i tradycje rodzinne wyraźnie umieszczają ją na tych ziemiach. A wydarzeniami rządzi wszędzie ta sama reguła: wszystko na tym świecie jest jak najbardziej możliwe. A skoro tak, to może bywają też budzące radość zwroty akcji, szczęśliwe zakończenia?

Irena Wyczółkowska

O żołnierzu i skrzacie

Szukałam, szukałam i wreszcie gdzieś w pudle z różnościami odnalazłam centymetr krawiecki. Bo bardzo chciałam sprawdzić, ile to 15 centymetrów (w naturze, gdyż sama liczba zawsze jest nieco abstrakcyjna), bo tyle właśnie wedle pewnego pisarza, który nie ma tu żadnych wątpliwości, wynosi przeciętny wzrost krasnoludka, czyli skrzata. Okazało się, że sięga krawędzi mojego ulubionego kubka z Bolesławca, w którym poranna kawa jest najsmaczniejsza. I zaraz mi się widział taki jegomość w zielonym lub żółtym kubraczku, czerwonej czapce, koniecznie z siwą brodą (choć w krajach północnych wierzy się, że miewają także rude, i czemu nie...). Stał oparty o kubeczek, a ponieważ spodek ma powierzchnię nieco śliską, przezornie trzymał się kubeczkowego uszka.

Wedle uczonej skrzatolożki, czyli Marii Konopnickiej, stworzenia te, zwane także ubożętami, mieszkały sobie pod ławą, zapieckiem, pod malowaną skrzynią, karmiły się odrobiną twarogu, okruchami chleba, a i skwarkami nie pogardziły. Pomagały ludziom, opiekowały się dziećmi i nawet niekiedy najmniejszym dziewczynkom pomagały zapleść warkoczyki. Ubrane w opończe, zimą nosiły kożuszek... z mysiej skórki. Ale co ja będę o tym mówić, znamy to wszyscy z opowieści *O krasnoludkach i sierotce Marysi*, gdzie poetka, niekiedy nieznośnie egzaltowana, objawiła tyle poczucia humoru. Moją ulubioną książką, w której pojawia się krasnoludek, jest *Cudowna podróż* szwedzkiej pisarki Selmy Lagerlöff. Istny chłopięcy szwarzcharakter, Nils, amator znęcania się nad zwierzętami, dostrzegł jakimś dziwnym trafem krasnoludka (widać biduła się na chwilę zagapił!), chciał go zamknąć w klatce i po swojemu dręczyć. Ho, ho, miał już pewne plany w tym względzie! Skrzat uprzejmie prosił o wypuszczenie go, a kiedy to nie skutkowało, rach-ciach, czary-mary, uczynił chłopca małym jak on. Krzywdzone zwierzęta mogły teraz pomyśleć o odwecie... Także i o tym, żeby Nils mógł się zmienić. To długa baśń, ale jeśli nawet można tu wyczuć „smrodek dydaktyczny”, jak to nazywał Wańkowicz, to czyta się ją nadal świetnie – słowo daję!

Podobno krasnoludki odstraszyła elektryczność... Zraziła je ta zbyt przenikliwa jasność. Jedzonko, co przecież nie bez znaczenia, zamknięto w chłodzie domowej Grenlandii. I te hałasy, a to radio na ful, a to ryczy telewizor. Więc nie ma już domowych skrzatów?

Poznana przypadkiem bardzo już sędziwa pani Marianna opowiedziała mi historię swego pra-pra- pra- i może jeszcze raz pra- dziadka. Wszystko to działo się tu, na Górnym Śląsku, wówczas należącym do Prus, w ciężkich dla tych ziem czasach wojen napoleońskich. (Mógł to być rok 1806, może 1807). Klęska za klęską, Jena, Auerstedt, dziesiątkujący szeregi wojska tyfus, dezercja karana śmiercią (niechlubnej pamięci bieganie przez różgi). A wszystko to przez tego, jak mawiali oficerowie, „parweniusza na tronie”, czyli Napoleona. Także na najbliższym nam terenie były, wydawało się, solidnie przygotowane twierdze – w Nysie, Brzegu, Koźlu. Padły i one. A ów odległy przodek pani Marianny, Jakub, musiał iść do wojska i było mu tym smutniej, że zostawiał prócz żony małego synka, który parę miesięcy wcześniej przyszedł na ten, jak widać, nie najlepszy świat. Jakub miał szczęście większe od innych: zachorował na tyfus, było z nim całkiem już źle, ale ku zdumieniu lekarzy w lazarecie – wyzdrowiał. I ślaniającego się jeszcze na nogach, wyniszczonego chorobą, skierowano ponownie na front. Tym razem Dama z Kosą zbliżyła się do niego niemal poufale: został ranny w ramię i w nogę. Powiedziała mu, że może wracać do domu, nic tu po nim. Były to słowa, jak na tamte czasy, litościwe. Kawałek drogi przewiózł go swoją furmanką jakiś gospodarz. Ale wkrótce zniósł go z wozu, położył na ziemi pokrytej jeszcze śniegiem, zostawił samemu sobie, bo mu nie po drodze było. Jakub co chwila tracił przytomność, dokuczał mu ból nie do opisa-

nia. Jeśli zasnął na moment, widział w koszmarach lazaret, woskowosine twarze umierających, słyszał budzące zgrozę jęki tych, którym amputowano nogi czy ręce. Nękało go pragnienie – Boże, żeby tak choć kroplę wody, kropelkę...

I nagle poczuł na wargach dotyk czegoś szorstkiego i zaraz potem zimny, nieco słodkawym smaku nieznanego sobie soku. Ach, jeszcze nigdy nic mu tak nie smakowało! To z naczynia sporządzonego z kory tym cudownym napojem zaspokajał jego pragnienie... skrzat! Prawdziwy skrzat! Ubranie miał, wbrew opisom w bajkach, szarawe, tu i ówdzie łąta, czapeczkę jakby przykurzoną. Jakub pomyślał, że widocznie tak bywa przed śmiercią, ot, przewidzenia, omamy. Ale mały ludzik uśmiechnął się (a twarz to miał pomarszczoną niczym pieczone jabłuszko!), wyjaśnił, że sok, który mu tak smakował, to z brzozy, niezwyklego drzewa, które leczy. Sok powoli przywróci mu nieco sił, a na cierpienia i gorączkę spowodowane przez rany pomogą kompresy z ziół, z kory, on już wie, jakie, bo leczył swoich współbraci. Raz jeszcze napił go sokiem, a potem oznajmił, że wie-wiórka, w swojej dobroci, ofiarowała mu trzy orzechy, nie więcej, ale wiadomo, jak to jest na przednówku... I teraz te orzechy rozbije kamieniem, pokruszy i one także powinny Jakuba wzmocnić.

Cóż, nie mógł mu pomóc chodzić, ale doradzał, który pieniek słońce trochę już wysuszyło i można się o niego oprzeć. Spod śniegu wygrzebywał jakieś pączki, pędy, znajdował zamrożone borówki i czarne jagody. Jakież były pyszne! A później ruszyli w drogę. Pomalutku, po kawałku ścieżki, to brnąc w topniejącym śniegu, to w błocie. Czasem krasnoludek przynosił do jedzenia niewielkie, kolorowe jajka, podobno dostawał je od ptaków, którym pomógł, a i czasem ratował życie. Kiedyś z wyraźną dumą na sporym liściu podał Jakubowi trochę miodu. A sok brzozy był codziennie. – Brzoza – opowiadał – to niezwykle drzewo, pradawne, starsze od ludzkiego rodu, i zauważ: kiedy płonie las i potem na pogorzelsku nic rosnąć nie chce, pierwsza, jako oznaka powracającego życia, pojawia się brzoza. – Mówił i o innych drzewach, lesie i jego prawach, zwierzętach, które są, jakie są... Nigdy jednak nie zdradzał żadnych tajemnic z życia krasnoludków, nawet nie udzielał, mimo swej staroświeckiej uprzejmości, odpowiedzi na pytania dotyczące takich niby pospolitych spraw: gdzie mieszkają, co jedzą, czy mają druhów i nieprzyjaciół. – Szkoda – myślał Jakub – jeśli dożyję, syneczkowi bym o tym opowiadał.

Któregoś dnia dobiegły ich dźwięki dzwonów kościelnych, rzecz to zwyczajna, słyszeli podobne wielokrotnie, jednak tym razem Jakubowi broda zadrzała jak dziecku, które chce powstrzymać płacz, ale nie potrafi. – Moja wioska – wołał – a tu popatrz, ta chatka ze słomianym dachem, w pobliżu dwóch sosen, to moja. – Ale obok niego nie było nikogo. Był sam!

Jakoś kulejąc, doczłapał do domu, żona wybiegła mu naprzeciw, z synkiem na rękę. Ile to było radości, westchnień, śmiechu i łez. Nie, tego się nie da opisać! Jakub chciał opowiedzieć żonie, kto mu uratował życie, ale jakoś, może i sam siebie nie w pełni rozumiejąc, milczał. Za ławą postawił jednak miseczkę z kaszą, omasty nie żałował, nazajutrz pokruszył trochę sera, dodał kawałek placka. I tak czynił codziennie, a jedzenie znikало. Kiedyś miał jechać do sąsiedniej wsi, poproszono go, by został chrzestnym bratanicy. Wrócił, widzi, że miseczka świeżo napełniona. Popatrzył na żonę, uśmiechnęli się do siebie, nadal milcząc. Dopiero jako starzy ludzie, gdy siedzieli kiedyś po pracy na ganku, wyznał jej wszystko. Schyliła głowę, żeby nie widział jej łez – od dawna się wielu rzeczy domyślała.

Nie ma skrzatów, nie ma. Ale dlaczego kot mruży czasem z lubością, jakby go głaskać? A pies merda ogonem, zadowolony, jakby niewidzialna ręka drapała go za uchem? W sąsiednim pokoju niemowlę marudzi, popłakuje – i nagle zaczyna gaworzyć, śmiać się z prawdziwą uciechą? One widzą, my już nie!

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (36)

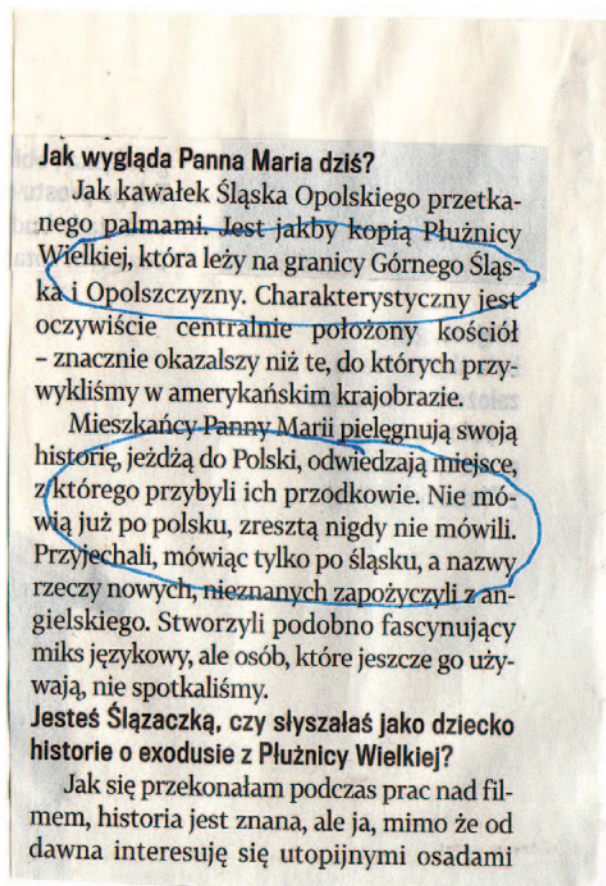
Kłopoty geograficzno-lingwistyczne. Na pytanie, jak wygląda dziś osada Panna Maria w Teksasie, którą założyli w XIX wieku osadnicy ze Śląska, reżyserka filmu o wychodźcach sprzed lat odpowiedziała: *Jak kawałek Śląska Opolskiego przetkanego palmami. Jest jakby kopia Płużnicy Wielkiej, która leży na granicy Górnego Śląska i Opolszczyzny [sic!]. Charakterystyczny jest oczywiście centralnie położony kościół – znacznie okazałszy niż te, do których przywykliśmy w amerykańskim krajobrazie.*

Mieszkańcy Panny Marii pielęgnują swoją historię, jeżdżą do Polski, odwiedzają miejsce, z którego przybyli ich przodkowie. Nie mówią już po polsku, zresztą nigdy [sic!] nie mówili. Przyjechali, mówiąc tylko po śląsku [sic!], a nazwy rzeczy nowych, nieznanymi zapożyczyli z angielskiego. Stworzyli podobno fascynujący miks językowy, ale osób, które jeszcze go używają, nie spotkaliśmy (Historia Panny Marii. Z Laurą Pawełą rozmawia Magdalena Lankosz, „Wysokie Obcasy” 2015, nr 6, s. 38).

Śląsk Opolski to część historycznego Górnego Śląska; Górny Śląsk graniczył z Dolnym między Opolem a Brzegiem (prawie w połowie drogi). Osadnicy z Płużnicy Wielkiej mówili w XIX wieku polską gwara; polskimi gwarami ludowymi mówiła też większość ówczesnych polskojęzycznych mieszkańców ziem leżących między Odrą a Dźwiną i Dnieprem (bez względu na stopień uświadomienia narodowego; nie wszyscy odróżniali przynależność etniczną od poddaństwa. *Bo my są Polacy, / Chłopcy Ostryjacy* – śpiewali czasem rekruci z zaboru austriackiego).

W latach dwudziestych XIX wieku tłumaczył Jerzy Samuel Bandtkie: *Jeżeli koniecznie wypada rozróżnić szląską polszczyznę od innej, to zdaje się najlepiej będzie nazwać ją szląską, tak jak wielkopolskiej i litewskiej, i ruskiej polszczyźnie imiona własne nadać można od miejsc, w których lud nią mówi; lecz wymyślać dla niej nowe imiona z francuskiego patois lub z niemieckich dialektów [język polskich Ślązaków nazywali niektórzy Niemcy „wasserpolskim”, używano też innych określeń: „plattpolnisch”, „oderwendisch” czy „böhmisch-polnisch” – A.W.] byłoby rzeczą wcale dziwną”.*

Kilkadziesiąt lat później, podczas krakowskiego jubileuszu Józefa Ignacego Kraszewskiego, obchodzonego w 1879 roku, przemawiał nie tylko w swoim imieniu Jan Głajcar, włościanin ze Śląska austriackiego: *Mówią nam, żeśmy nie Polacy, ale jacyś śląscy Ślązacy, że nie mówimy po polsku, ale po śląsku. Lecz lud śląski dobrze wie, jako nie masz w Wiedniu narodu*



„Wysokie Obcasy” 2015, nr 6, s. 38

Jak ktoś mówi polską gwara, to nie mówi po polsku? To ówcześni wychodźcy spod Warszawy czy Krakowa mówili też nie po polsku, tylko po „mazowiecku” i po „małopolsku”?

wiedeńskiego, ale są Niemcy, tak nie ma na Śląsku narodu śląskiego, ale są Polacy.

Autor noty, podpisujący się literkami (PD), o zeszłorocznym, poznańskim wydaniu *Pamiętek Soplicy* Henryka Rzewuskiego: *Tom składa się z 25 opowiadań [ściśle: cyklu gawęd – A. W.], których narratorem jest fikcyjny bohater Seweryn Soplica, podlaski [sic!] szlachcic* („Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2015, nr 1, s. 42).

Nie chciało się, widać, piszącemu dokładniej przejrzeć książki; cześnik parnawski, Imć Pan Seweryn Soplica kilka razy przecież wspomina o rodzinnym zaścianku pod Nowogródkiem, z Wielkiego Xięstwa pochodził on, nie z Podlasia. Por. *Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogródzkim, co poczytu-*

ję dla siebie największym zaszczytem... (IX Sicz Zaporońska); *Ja jestem litewskim szlachcicem, a do tego albeńczykiem...* (XXV Zamek kaniowski).

Z recenzji książki brytyjskiego publicysty (Richard Hardgreaves, *Breslau. Ostatnia twierdza Hitlera*, tłum. Tomasz Fiedorek, Poznań 2014): *Po zakończeniu wojny wszyscy niemieccy mieszkańcy zostali wysiedleni. Zastąpili ich Polacy, głównie repatrianci ze Lwowa [sic!]. I o tym wszystkim wyczerpująco pisze brytyjski dziennikarz i publicysta historyczny, w książce wartej rekomendacji* (Tomasz Z. Zapert, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2014, nr 12, s. 37).

Ekspatrianci ze Lwowa i wschodniej części dawnego województwa lwowskiego, zwani popularnie „lwowiakami”, stanowili około 10% mieszkańców powojennego Wrocławia. A że byli bardziej widoczni od innych grup, i słychać ich było na uniwersytecie, w szkołach, w urzędach i tramwajach, to już inna sprawa. Nie bez kozery nazywano Wrocław przez lata „małym Lwowem”. Wyjaśniała autorka książki poświęconej strukturze ludnościowej Wrocławia: *stwierdzić możemy, że liczba tzw. lwowiaków nie przekraczała we Wrocławiu nigdy 10% ogółu mieszkańców, a obecnie zapewne jest znacznie niższa. Jeszcze raz więc należy podkreślić niesłuszność panującego przekonania, że we Wrocławiu znajdowała się znacznie większa grupa repatriantów z byłego woj. lwowskiego, przede wszystkim zaś z samego Lwowa [egzultanci ze Lwowa osiedlali się po wojnie również w Katowicach, Bytomiu, Gliwicach i Opolu – A.W.]. Sugestię znacznie większej liczby lwowiaków we Wrocławiu spowodował napływ dawnej lwowskiej inteligencji, która zajęła wiele stanowisk w szkolnictwie wyższym i średnim i w szeregu innych instytucji wrocławskich oraz przeniesienie się do Wrocławia znacznej liczby dawnych tramwajarzy lwowskich. Przy tym lwowiacy byli niewątpliwie ruchliwym elementem wielkomiejskim, umiejącym nadać ton miastu* (Irena Turnau, *Studia nad strukturą ludnościową polskiego Wrocławia*, Poznań 1960, s. 45).

Dopowiedzenie. Uczona pani, która niedawno na łamach „Dużego Formatu” złożyła deklarację: *No i miejmy na uwadze ten nasz wspólny ideał, jakim jest – powiedzmy sobie szczerze – detradycjonalizacja Polski* (pisałem o tym w poprzednim numerze „Indeksu”), zapomniała pewnie, że to samo doradzał zdobywcom chiński pisarz Sun Tsi (V wiek p.n.e.); mistrzom sztuki wojennej podpowiadał sposoby zniewalania przeciwnika bez walki. Zasada VIII: *Ośmieszaj tradycje, bo są one twoim największym wrogiem, ponieważ nie pozwalają zapomnieć o historii.*

Pospieszna etymologia: *Słowo pasożyt wywodzi się z greckiego i oznacza „spożywający przy stole inne-*

Na jednym z takich spotkań Konstanty Gebert przypomniał starą żydowską przypowieść o pomówieniu. Według niej krzywda wyrządzona przez wypowiedzi jest większa nawet od tej, która wynika z kradzieży czy oszustwa, bo szkodom materialnym, w przeciwieństwie do psychicznych, spowodowanych obmową, można zadośćuczynić. Ilustracją tego jest chasydzka opowieść o mężczyźnie, który wszem i wobec rozpowiadał wredne kłamstwa o rabinie. Gdy zdał sobie sprawę ze zła, które wyrządził, poszedł do rabina błagać o przebaczenie i przysiągł, że wyrówna krzywdy. Rabin powiedział: weź puchową poduszkę, rozetnij ją i porozrzucaj pierze na wietrze. Prośba osobliwa, ale łatwa do spełnienia, więc mężczyzna ją spełnił. Kiedy przyszedł do rabina po raz drugi, usłyszał: a teraz idź i pozbieraj pierze. Możesz w równym stopniu zadośćuczynić mojej krzywdzie, jak pozbierać pierze.

„Polityka” 2015, nr 9, s. 27

Zwrot z Basic Polish w poważnym tygodniku opinii. W normalnej polszczyźnie: *wszem wobec* oraz *wszem wobec i każdemu z osobna*

go” (Barbara Weimann, *Chroń się przed pasożytem*, „Dziennik Polski” [Londyn] 2015, nr 11, s. 6).

Grecki „parazyt” i polski „pasożyt” to człowiek żyjący kosztem innych. Ale nasz „pasożyt” nie pochodzi z języka greckiego. „Pasożyt” (wcześniej „pasirzyt”, a od XVI wieku do 1936 roku – „pasorzyt”) to złożenie, składa się z dwóch części: „paść” i „rzyć” (tak w wielu polskich gwarach nazywa się do dziś dnia tyłek). *Pasibrzuch*, zwany wcześniej też *pasobrzuchem*, paś swój brzuch cudzym kosztem, a *pasożyt* (dawniejsza pisownia: „pasorzyt” nie zaciemniała etymologii wyrazu), też darmożjad, paś to, co dawni gimnazjaliści, obyci z łaciną, nazywali eufemistycznie *sempiterną*.

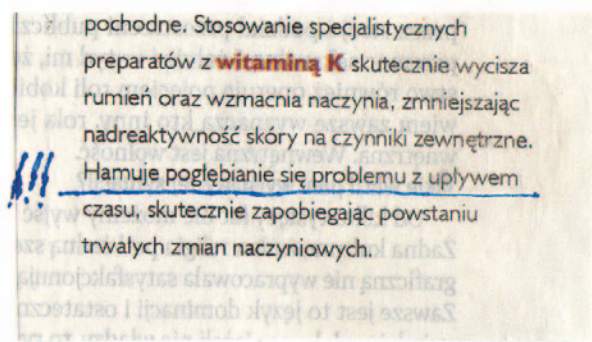
Martin Pollack, pisarz austriacki, opisujący ze znanstwem dawną Galicję, przyznał w wywiadzie, że Andrzej Vincenz (syn sławnego Stanisława Vincenza, nazywanego Homerem Huculszczyzny), zarzucał mu, że za bardzo koncentruje się na galicyjskim brudzie. Wtrącenie dziennikarki: *Może rzeczywiście u Vincenzów, na Bukowinie [sic!], nie było brudno [Po (nie)widualnej Galicji. Z Martinem Pollackiem rozmawia Urszula Pieczek, „Znak” 2014, nr 12, s. 48].*

Vincenzowie siedzieli na Pokuciu, tam, gdzie szum *Prutu, Czeremoszu*, nie na Bukowinie. Bukowina przed wojną leżała za granicznym Czeremoszem, po rumuńskiej stronie; za czasów austriackich była odrębnym księstwem w monarchii Habsburgów.

List Jerzego Giedroycia do Teodora Parnickiego z 22 lutego 1957 roku został opatrzony błędnym przypisem: *W l. 1956–1958 do Polski z ZSRS przyjechało około 200 tys. osób (głównie Polaków deportowanych i uwięzionych w l. 1939–1941 i 1944–1945); w związku z tym przy Polskim Czerwonym Krzyżu powstał Ogólnopolski Komitet Pomocy Repatriantom ze Wschodu; na jego czele stanął minister szkolnictwa Władysław Bienkowski (Jerzy Giedroyc, Teodor Parnicki, Listy 1946–1968. Część druga, opracował Andrzej Dobrowolski, Warszawa 2014, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską i Towarzystwo „WIEZI”, s. 20).*

W latach 1955–1959, w ramach tzw. „drugiej repatriacji”, przyjechało ze Związku Sowieckiego do Polski ok. 250 tys. osób; z Białorusi ponad 100 tys., z Litwy 46 tys., z Ukrainy 76 tys., z Federacji Rosyjskiej ok. 20 tys. i kilka tysięcy z republik środkowoazjatyckich. Byli to obywatele polscy narodowości polskiej i żydowskiej (Żydzi stanowili kilkanaście procent), którzy nie mogli przyjechać do Polski po wojnie; „druga repatriacja” objęła również – oprócz mieszkańców dawnych województw wschodnich II Rzeczypospolitej – tysiące deportowanych i więzionych w łagrach; wielu spośród tych ostatnich było przekazywanych stronie polskiej pod strażą (Artur Patek, *Polska diaspora w Rosji Radzieckiej i ZSRR*, [w:] *Polska diaspora*, redakcja naukowa Adam Walaszek, Kraków 2001, s. 308; O powracających do Polski w latach 1955–1959 pisał dawno temu Andrzej Maryański [*Współczesne wędrówki ludów. Zarys geografii migracji*, Wrocław 1966, s. 121]: *Repatriacja ta nosiła przeważnie charakter łączenia rodzin, dlatego też większość przybyłych w tej fazie repatriantów ulokowała się na Ziemiach Zachodnich, ściągnięta przez krewnych. W stosunkowo nielicznych wypadkach wracały też osoby, które w okresie „kultu jednostki” przebywały w obozach i więzieniach, wskutek czego nie były w stanie zadeklarować chęci repatriacji).*

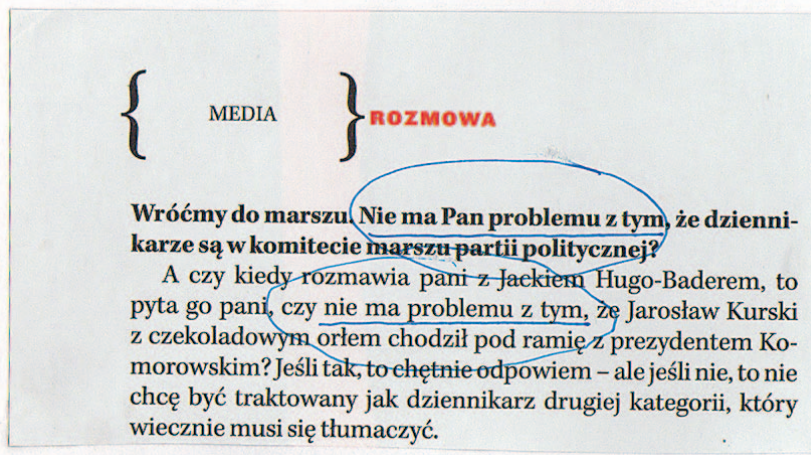
Jeszcze raz o zdumiewającym odkryciu autorki zza Wielkiej Wody (pisałem już o niej w grudnio-



wym numerze „Indeksu”). Kate Brown, profesor historii na Uniwersytecie Maryland, napisała książkę o sprawach narodowościowych na Ukrainie Sowieckiej w okresie międzywojennym; wschodnie części Wołynia i Podola, które po traktacie ryskim znalazły się po sowieckiej stronie, nazwała nazbyt ogólnie i niezbyt ściśle – „Kresami”. I rozprawiała ze swadą: *Niewiele wielkich umysłów i wybitnych postaci kultury objawiło się na kresach. Zazwyczaj udawali się stąd do innych miejsc – Moskwy, Warszawy, Berlina, Londynu – by tam upomnieć się o sławę. Kresy zasłynęły nie tyle swoimi indywidualnościami, ile raczej tłumami niedomytych imigrantów gawędzących w egzotycznych językach, stłoczonych na obrzeżach wielkich miast Nowego Świata i na peryferiach krajów Europy Zachodniej. To właśnie jednak owe „masy” i rzadko wzmiankowana prowincja, z której przybyły, przez swe zniknięcie ucieleśniają istotną korektę wciąż kontynuowanej narracji o znacjonalizowanej przestrzeni i modernizującym postępie (Kate Brown, *Kresy. Biografia krainy, której nie ma. Jak zniszczono wielokulturowe pogranicze*, tłumaczenie Aleksandra Czwojdrak, Kraków 2013, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, s. 16).*

Ta kontynuowana narracja o znacjonalizowanej przestrzeni brzmi tajemniczo, a tu jeszcze ten modernizujący postęp. Mogliby się nad tym zdaniem pogłowić wytrawni styliści. Ale zdania o jałowości kulturalnej kresów brzmią też sensacyjnie. Zdania odkrywcze i rozbijające. Jan hr. Potocki (1761–1815), sławny podróżnik, uczonej i prozaik piszący po francusku, autor głośnego *Rękopisu znalezionej w Saragossie*, z Piekowa na Podolu rodem, przewraca się pewnie w grobie (nie zachował się co prawda do naszych czasów, może jednak szczątki uczonego hrabiego nie zaginęły bez śladu, może coś po nim zostało gdzieś między Piekowem a Uładówką). Ale autorka (a może polski wydawca się zreflektował?) osłabiła nieco obrazoburcze twierdzenia, opatrzyla drugie zdanie przypisem: *Z kresowych miast i wsi pochodzili między innymi Joseph Conrad, Igor Strawiński [sic!] oraz polscy pisarze – Bruno Schulz [sic!] i Tadeusz Borowski (s. 275).*

Pomieszenie z poplątaniem, zadziwiająca nieznamość historii i geografii. Rozrosły się „kresy” pod piórem amerykańskiej badaczki: i Petersburg do nich mimowolnie (?) włączyła i Galicję Wschodnią! Igor Strawiński (1882–1971), wybitny kompozytor rosyjski, pochodził z polskiej rodziny związanej przez stulecia z ziemiami Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Strawiński nie wywodził się z ziem opisywanych przez Kate Brown (na Wołyniu, ale na zachodnim, w Uściługu nad Bugiem, jego żona miała dom, bywał w nim przed 1914 rokiem na wakacjach sławny kompozytor; przed II wojną światową Uściług leżał po polskiej stronie). Przypomnienie: Igor Strawiński urodził się w Oranienbaum koło Sankt-Petersburga. Bruno Schulz też z innych okolic pochodził, urodził się w Drohobyczu, w Galicji Wschodniej, za panowania cesarza Franciszka Józefa.



„Press” 2015, nr 1–2, s. 44

Nadużywany bez sensu wytrych językowy (jako atrybut powagi stylistycznej) w reklamie i w rozmowie dziennikarza na łamach branżowego pisma

Pisać z taką pewnością, i z taką beztróską, o dalszych Kresach, że tam niewiele się objawiło *wielkich umysłów i wybitnych postaci kultury*. Papier dziś przyjmie wszystko. Nawet takie naiwne i pozornie obrazoburcze sądy. Nie mogli redaktorzy i recenzenci polskiego (uniwersyteckiego!) wydania podpowiedzieć uczonej z wielkiego świata, że była „szkoła ukraińska” w literaturze polskiej? Nie pamiętali o roli Kijowa i Żytomierza w polskim życiu kulturalnym przed powstaniem

styczniowym (Kijów stanie się raz jeszcze ważnym ośrodkiem kultury polskiej po 1905 roku, a szczególnie w czasie I wojny światowej)? I o tym, skąd pochodzili Henryk Rzewuski, Michał Czajkowski (Sadyk Pasza), Ignacy Paderewski, Jan Stanisławski, Kazimierz Malewicz (sławny malarz rosyjski polskiego pochodzenia; Tadeusz Nyczek nazwał go ostatnio w tomie znakomitych felietonów, nie wiedzieć, dlaczego – Ukraińcem), Stanisław Chlebowski, Jan Brzechwa, Karol Szymanowski, Jerzy Fedkiewicz, Ksawery Pruszyński, Antoni Sobański, Bolesław Miciński, Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław i Jerzy Stempowscy, Mariusz Zaruski i tylu, tylu innych. Pisarzy, poetów, malarzy i muzyków. Polskich, ukraińskich, rosyjskich, żydowskich. Spolszczonych i zruszczonych. Spod Kamieńca Podolskiego, spod Żytomierza i Berdyczowa, spod Winnicy i Humania. Tylu znakomitych twórców mogłoby sparafrazować Wergiliusza i powtarzać z zadumą: *Podolia (albo Volhynia) me genuit...*

Adam Wierciński

Język w pampersie

Żyję w przedszkolu. W przedszkolu, w którym język polski ubrano w pampersa zdrobnień.

W restauracji, gdzie panowie całują rączki, a panie popijają kawkę, kelnerka przynosi ukryty w dostojnym, skórzanym etui rachuneczek. W sklepie pakują zakupy do reklamóweczki i dostają resztę – wypłacaną, rzecz jasna, w pieniążkach. Ewentualnie ekspedientka *zatrzymuje grosik*. POPListę Radia RMF FM prowadzi czterdziestotrzyletni Darek Maciborek. Pewnie brał przykład z poważnego ministra spraw zagranicznych – Radka Sikorskiego. „Dom nad rozlewiskiem” reżyseruje Adek Drabiński. Adek ma sześćdziesiąt dwa lata, siwe włosy i nie uśmiecha mu się bycie Adrianem.

Pan Adek wyszedł z przedszkola ponad czterdzieści lat przede mną. Jest starszy, a zachowuje się jak starszak. Nie przeszkadza mu wszechobecne zdziecinnienie – a mnie owszem. Co więcej – przeszkadza, drażni, śmieszy, ale i zastanawia.

Przyczyny mogą być różne. Być może to przejaw kultu młodości, który nie pozwala się starzeć. A może jest to próba zachowania równowagi wobec świata, który z dnia na dzień staje się coraz bardziej brutalny.

Ja skłaniam się jednak ku trzeciej opcji, wierząc w ludzi i ich dobre chęci. Zdziecinnienie społeczeństwa to nic innego, jak obywatelski zryw (będący, notabene, polską specjalnością). Polaków przeraziło widmo zapaści demograficznej i – zachęceni przez polityków do działania – postanowili działać, obierając dość niekonwencjonalną drogę. Dzieci mało, społeczeństwo się starzeje – trzeba rychło zdziecinnieć. Ku chwale Ojczyzny.

Jakub Zuch

Joanna Matlachowska-Pala

Św. Krzysztof

Ikona

Święte Oblicze
 pozwoliło się właśnie tak opowiedzieć
 pokazać w czerni
 bieli i błękiecie

Ręka o zręcznych palcach
 posłuszna obrazom co w wyobraźni
 – schodom i labiryntom
 zapadniom splotom i węzłom serca –
 posłuszna widzącym zdumionym oczom
 co wędrują pod zamkniętymi powiekami

Niepojęta tajemnica p r z e n i k a n i a
 i Święte Oblicze staje się

wyłania zjawą z ciemności
 to znów znika –
 blednący odcisk duszy
 na desce twardej jak życie

Czy to nie przesada –
 został świętym bo przeniósł Dziecko
 przez rzekę albo ciemny las
 ot, chciał pomóc
 A może miał taką pracę:
 prom na rzece który jednej nocy się zepsuł
 a na brzegu stał tamten malec

To nie do końca prawda –
 Krzysztof – z siwymi nitkami na brodzie
 już pół wieku szukał
 tego co niosłoby całe jego życie
 I właśnie wtedy
 gdy niósł na ramieniu Dziecko
 poczuł niezbitcie
 że to Ono go trzyma

W ciemności jarzyły się gwiazdy
 nad głową i pod stopami
 – jakby świat się przewrócił –
 w tym ruchu i szumie poczuł lęk
 ale Dziecko wspięło się szybko po jego ramieniu
 i małą rączką dotknęło ziemi
 przytrzymując ją

Krzysztof poczuł pod stopami
 drugi brzeg

Co piszczy w trawie

Od 20 marca do 8 kwietnia br. w Galerii ZPAP Pierwsze Piętro w Opolu można było obejrzeć wystawę malarstwa i rysunku studentów z pracowni **dr hab. Lucji Piwowar-Bagińskiej**, **dr Magdaleny Hlawacz** i **dr. Bartłomieja Trzosa**, który był jednocześnie opiekunem artystycznym wystawy. Zatytułowano ją – „Co piszczy w trawie”.

(b)



Sonia Zając, II rok (licencjat), akryl na płycie



Daniel Kamiński, I rok (studia magisterskie), technika mieszana na płycie



Agnieszka Warszawik, III rok (licencjat), olej na płycie



Ewa Morzyk, I rok (studia magisterskie), akryl na płótnie



Aleksandra Rodzik, I rok (studia magisterskie), akryl na płycie

Bartłomiej Kozera

To co najważniejsze

W „Państwie” Platona Sokrates pyta starca Kefalosa (miał siedemdziesiąt lat – tyle, co obecnie ja), co jest dla niego najważniejsze, jaką wartość ceni najwyżej. Kefalos wskazuje na sprawiedliwość. Ja, być może dlatego, że żyję w sprawiedliwie urządzonym państwie, wskazałbym na inną wartość.

Wśród myślicieli byli pesymiści, którzy sugerowali, że nasz żywot jest nędzny, ale byli też i optymiści, wielbiący życie, przypisujący mu wiele piękna. Skłaniam się raczej ku pesymizmowi. Takiemu umiarkowanemu. Oto musimy chorować, cierpieć, umrzeć. Możemy się radować, kochać, być szczęśliwi. Zło jest konieczne, dobro możliwe. Właśnie dlatego, że musimy umrzeć, marzymy o nieśmiertelności. Musimy cierpieć, więc marzymy o szczęściu. Inaczej mówiąc, wszelkie optymistyczne koncepcje, jakie formułowano w przeszłości, wynikały z pesymistycznych przesłań. Stąd ten mój umiarkowany pesymizm.

Moje życie jest efektem trzech determinant. Jestem „wrzucony w świat” – mówiąc językiem Heideggera – w rodzinę, jakieś wychowanie, edukację oraz wrodzone możliwości. Po drugie, moje życie to konsekwencja zdarzeń dyktowanych przez Przypadek, Los lub Boga (niepotrzebne skreślić). Po trzecie, to efekt mojego usposobienia, charakteru.

Oto nie wybierałem sobie płci, nie wybierałem czasu przyjścia na świat ani miejsca pojawienia się. To wszystko było mi dane. W tej mierze moje życie nie jest moje. To, że poszedłem do takiej, a nie innej szkoły, że spotkałem tych, a nie innych ludzi, to prawa przypadku, losu lub Boga. W dwóch trzecich zatem nasze dobro lub zło jest od nas zależne. Stoicy mówili tak: jesteśmy jak aktorzy, których Reżyser obsadził w roli mężczyzny lub kobiety, intelektualisty lub idioty. Owszem, rola jest nie nasza, tekst nie nasz, ale głos i gest autentycznie od nas zależy. Tak rozumieci stoicy to sformułowanie o byciu kowalem swojego losu. Możemy głosem lub gestem odrzucić Los lub go zaakceptować. W pierwszym przypadku postąpimy głupio, w drugim mądrze, bo jak pisał Seneka: *Fata w niezmienny sposób wykonują swoje odwieczne prawa. Żadną prośbą nie dadzą się wzruszyć. Litość nie zmieni ich postanowień.*

O życiu pieska decyduje to, do jakiego domu trafi. Ale w pewnej mierze również to, jakie ma usposobienie. O życiu człowieka decyduje to, co jest od niego niezależne oraz to, jak do tego, co niezależne, się odnosi. Czy potrafi wykorzystać dane mu możliwości, czy je marnuje?

I to jawi mi się jako wartość najwyższa. Z jednej strony pogodzenie z losem, a z drugiej wykorzystanie tego, co zostało nam dane.

Żyjemy raz i więcej razy ta przygoda się nam nie przydarzy. Chodzi o to, aby tę odrobinę czasu kosmicznego, jaką zajmuje nasze życie, dobrze wykorzystać.

Joanna Silska

Zeznania wesołego rewolucjonisty

Krzysztof Skiba jest, jak wiadomo, liderem zespołu Big Cyc, współtwórcą i prowadzącym programy telewizyjne (w latach 1992–1999 prowadził program *Lalamido*, czyli *porykiwania szarpidrutów*, a od 1997 wspólnie z Beatą Pawlikowską tworzył *Podróże z żartem*). Starszym kojarzy się z działającym w Polsce w latach 80. ruchem happeningowym Pomarańczowa Alternatywa.

Najnowsza książka Skiby (czwarta w dorobku) ma tytuł „Komisariat naszym domem. Pomarańczowa historia” i była tematem spotkania, które 18 marca zgromadziło w opolskiej Miejskiej Bibliotece Publicznej sporo osób. Autor powiedział na wstępie: – To opowieść o mojej barwnej młodości: kiedy byłem szkrabem, uczniem, potem studentem i w końcu rewolucjonistą. A był to czas bardzo ciekawy dla Polski: lata osiemdziesiąte i stan wojenny.

Prolog, czyli krnąbrne miasto Gdańsk

Pochodzę z Gdańska. To zawsze było miasto zbuntowane i krnąbrne. Grudzień 1970, strajki, rozruchy, podpalenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR... Miałem wtedy sześć lat i rodzice nie puścili mnie do przedszkola. Całe miasto było zagazowane. Moja rodzina to Polacy z przedwojennej Gdyni. Jak wiadomo, Polaków z Gdyni wywieziono, a miasto wcielono do Niemiec. Moja matka świetnie mówi po niemiecku. Bardzo szybko nauczyła się tej sztuki, bo za mówienie w gdańskiej szkole po polsku dostawało się w pysk. Powiedziała mi kiedyś: „Jak dostajesz w pysk, bardzo szybko uczysz się języka”. Może jest to jakaś metoda dla nauczycieli? Do tej pory, kiedy jacyś Niemcy przyjeżdżają do Gdańska, rozmawiając z moją matką, nie mogą wyjść z podziwu: „Skąd pani ma taki świetny akcent?”. A moja matka wtedy wykańcza ich, mówiąc: „Z wojny, z wojny”. Jedynym wyjściem jest dla nich wtedy godne milczenie.

Już w podstawówce zacząłem się buntować. A buntowałem się zawsze w swoim stylu. Szybko odkryłem, że szkolne wyglupy, przedrzeźnianie nauczycieli, zdobywa mi sympatię moich kolegów i koleżanek. Moim popisowym numerem w podstawówce było zjadanie kredy. Na lekcjach matematyki (biedna szkoła z czasów PRL-u) zjadałem ostatni zapas kredy. Bardzo szybko wydało się, że za znikaniem podstawowych narzędzi pracy nauczyciela stoi Skiba. A więc sabotaż. Nie można prowadzić lekcji. Byłem przygotowany na taki obrót spraw: „Pochodzę z biednej rodziny. Jestem niedożywiony. Mam niedobory wapnia w organizmie”. Dwa, trzy razy mi się udało. Najpierw wezwano moją

siostrę, starszą o kilka lat, z tej samej szkoły, a później moich rodziców. I tak prawda wyszła na jaw.

To właśnie w podstawówce założyłem swój pierwszy kabaret. Zrobiliśmy jeden występ i na tym jednym się skończyło. Rada Pedagogiczna zabroniła nam dalszych. Wtedy nie wiedziałem dlaczego, ale dzisiaj, kiedy przypominam sobie opowiedziane przez nas niewybredne żarty, zaczynam rozumieć.

Po latach okazało się, że wyglupy stały się moim zawodem. To może być dowód na to, że coś, co na początku jest jakąś wewnętrzną potrzebą, a potem pasją – może stać się sposobem na życie. To niesamowite. Do dzisiaj jest tak, że wychodzę na scenę, mówię kilka głupich zdań i ludzie mi za to płacą. To super zawód! Ciągłe sprawia mi frajdę. Kiedyś z chłopakami z zespołu zastanawialiśmy się, za co oni nam płacą? I doszliśmy do wniosku, że chyba za dojazdy. Bo najtrudniejsze są właśnie one. Życie rockendrollowca, wiecznie w trasie, wcale nie jest ciekawe. Ileż można pić i opowiadać dowcipy?

Liceum z widokiem na bramę nr 2

Chodziłem do liceum, które mieści się sto metrów od Stoczni Gdańskiej. Z okien niektórych klas widać było słynną bramę nr 2, przy której przemawiał Wałęsa i na której wieszano portrety papieża. Tam ludzie modlili się, kiedy obawiano się rosyjskich czołgów, które miały zniszczyć miasto. Naturalnym było, że jako licealista bardzo szybko nasiąknąłem tą atmosferą. Wszyscy w Gdańsku byli zbuntowani, ale kiedy jesteś młodym człowiekiem, rzucasz się z motyką na słońce, naiwnie wierząc, że da się zmienić ten świat na lepszy.

W tak zwanym okresie karnawału, od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981 roku, wydawaliśmy szkolną gazetkę pt. „Gilotyna”. Byliśmy z niej bardzo dumni. Już pierwszy numer wywołał szok wśród grona pedagogicznego. Nie przez zawarte w nim kontrowersyjne treści polityczne, ale – błędy ortograficzne. Wtedy moja nauczycielka historii, która bardzo nas wspierała, powiedziała mi: „Krzysiu, musicie uważać, co piszecie. Nikt nie potraktuje was poważnie, jeśli przeczyta alkohol przez ch”. Po wprowadzeniu stanu wojennego pismo przestało się ukazywać, ale my byliśmy bardzo bojowo nastawieni. Zaczęliśmy rzucać ulotki, angażowaliśmy się w działania podziemne. Ikonografia „Solidarności”, jak pewnie niektórzy świetnie pamiętają, była dosyć cierpiętnicza: krwawiący orzeł biały w kajdanach, łańcuchach... A my mieliśmy zawsze swój język. Staraliśmy się walczyć z tym systemem na wesoło. Pamiętam naszą pierwszą ulotkę: karykatura gen. Jaruzelskiego z podpisem „Uwaga zboczeniec!”.

W socjalizmie, jak wiadomo, niewiele rzeczy działało sprawnie. Konspiracja też. Kiedyś poszedłem na akcję z kolegą, który nie dosłyszał na jedno ucho, o czym nie wiedziałem. Mieliśmy rozrzucić ulotki w kościele Mariackim. Setki ludzi w środku, bojowa atmosfera, a ja podaję bardzo skomplikowane hasło: „teraz”. On nie słyszy. Więc powtarzam: „teraz” jeszcze kilkakrotnie. Zaczyna się jakieś poruszenie. I nagle podchodzi do nas facet wyglądający na ubeka: „A co, panowie? Co tutaj się dzieje?”. I nagle odwraca się taka babcia w chuście jak z Dostojewskiego i mówi: „A nic. Zaraz ulotki będą rzucać. W zeszłym tygodniu też rzucali”. Nie pozostało mi więc nic innego, jak rzucić ulotki i dać nogę w najbardziej zawrotnym tempie, na jakie było mnie stać.

Z koncertu na dołek

Jak już wspomniałem, należałem do bojowej młodzieży anarchistycznej. Najpierw razem z kolegami drukowaliśmy ulotki „Solidarności”. Później je rozrzucaliśmy. A na końcu... zaczęliśmy je czytać. I okazało się, że to jakieś bzdury o porozumieniu. A my przecież nie chcieliśmy się porozumiewać z komunistami, myśmy chcieli z nimi walczyć! W związku z tym założyliśmy swoją organizację – „Ruch Społeczeństwa Alternatywnego”. Zaczęliśmy robić swoje demonstracje, wydawać swoje pisma i drukować swoje ulotki. Naszym *spécialité de la maison* było jeżdżenie na koncerty rockowe i rzucanie tam naszych ulotek z naprawdę ostrymi tekstami. Celowaliśmy głównie w Jarocin, to był wówczas największy festiwal w Europie Środkowej. Służba Bezpieczeństwa i milicja wiedziała, że będzie tam jakaś akcja, więc w tłumie szalejącej młodzieży zawsze byli tajniacy, udający fanów Dżemu albo Dezertera. No i stało się, zatrzymało mnie dwóch funkcjonariuszy: jeden z nich nazywał się (to jest prawdziwe nazwisko) – Wesolek. Wpakowano mnie do małego aresztu, tak zwanego dołka, gdzie spędziłem noc. Na-



Krzysztof Skiba (fot. Jerzy Stemplewski)

stępnego dnia przewieziono mnie do Ostrowa Wielkopolskiego, dostałem sankcję prokuratorską, czyli trzy miesiące. Wylądowałem w areszcie śledczym w Kaliszu, przy ulicy Jasnej. Zauważyłem, że większość tych przybytków mieści się przy ulicy Wolności, ulicy Wyzwolenia... A tu ulica Jasna.

Jak się zachować w celi?

Kiedy wchodzisz „pod celę” (slang więzienny) witasz się krótkim „cześć”, ale nigdy nie podawaj ręki. Ma to swoje uzasadnienie – nie wiesz, komu podajesz rękę. To może być donosiciel albo tajniak. Kiedy pytają cię, za co siedzisz – podaj numer paragrafu. Siedzenie to nuda. Trzeba ją... zabić.

Dobrym sposobem na zabicie rzeczowej nudy jest czytanie. Miałem zgodę od prokuratora na posiadanie książek w celi. Stwierdziłem, że to świetna okazja na przeczytanie tych, na które po wyjściu na wolność na pewno nie będę miał czasu. I tak poznałem całego Dostojewskiego: „Braci Karamazow”, „Biesy”, „Idiotę”, „Biednych ludzi”... Zresztą atmosfera tych powieści idealnie współgrała z miejscem, w którym się znalazłem. Na ogół w celi trafiali mi się raczej nieoczytani koledzy. Któregoś dnia jeden z nich spytał, czy można zobaczyć te książki, pożyczyć. I wybiera: „Biesy”... nie, jakiś tytuł dziwny. „Biedni ludzie”... nie. I nagle:

„Zbrodnia i kara”. „O! to dobrze brzmi. Czy to jest kryminał?”. Poleciałem mu ją jako „bardzo dobry kryminał”. Po 20 stronach lektury mój towarzysz niedoli uznał, że „jakieś dziwne to takie, akcja się nie klei, chłop za dużo myśli”.

Wtedy zostałem zatrzymany po raz pierwszy. Miałem to szczęście, że w niedługim czasie Dobraczyński wystąpił z wnioskiem do gen. Jaruzelskiego o wypuszczenie z więzienia tych, którym zdarzyło się siedzieć właśnie pierwszy raz. Dzięki tej akcji na wolność wyszło ok. 300 osób. Życie w podziemiu, ukrywanie się, degeneruje, więc zaczęliśmy się ujawniać. Powstał wtedy Ruch Wolność i Pokój, który walczył w sposób podobny do dzisiejszego Greenpeace’u. Takie metody walki zastosowaliśmy jako pierwsi w PRL.

...a w nóżki zimno

Kiedyś przyjechał do nas anarchista z San Francisco. Miał pseudonim Ricky. Był specjalistą od protestów ekologicznych. W Stanach dość mocno sprzeciwiano się wtedy budowie elektrowni atomowych. Tak się złożyło, że my protestowaliśmy wówczas przeciw budowie elektrowni w Żarnowcu. Robiliśmy happenin-gi, demonstracje, sittingi, a anarchista Ricky miał nas wspomóc. Przyjechał zimą, temperatura oscylo-

wała w okolicach minus 10, śniegu nasypało na 20 centymetrów. A Ricky jest w tak zwanych cichobiegach. I niestety: rewolucja rewolucją, anarchia anarchią, ale w nóżki zimno. Nasz gość spokojny: „Nie szkodzi. Pójdę do sklepu i kupię sobie inne buty”. Jak mu powiedzieć, że to nie jest takie łatwe. Że u nas obuwie na kartki: jedna para przysługuje latem, jedna para zimą. Znaleźliśmy jednak kolegę, który swoją kartkę Ricky’emu odstąpił. Wybraliśmy się na ulicę Piotrkowską (studio-wałem wtedy w Łodzi), mając nadzieję, że znajdziemy coś w guście naszego amerykańskiego kolegi. Obeszliśmy kilka sklepów obuwniczych i nic. W pierwszym sklepie (przypominam: luty, minus 10) – tylko lecarskie drewniaki. W drugim – japonki, na plażę. Idąc z nami Ricky, mniej więcej na trzecim kilometrze, zaczął się leczyć z socjalizmu. Finał opowieści? Anarchista Ricky, po ulicach Łodzi, chodził w o dwa numery za dużych damskich kozakach w kolorze bordowym.

Wojna krasnoludków

Pod koniec lat 80. władza jest już zmęczona opozycją, a opozycja władzą. To jak bokserzy, którzy nie mają siły się dobić, znokautować. Wtedy właśnie, we Wrocławiu, pojawia się Waldemar „Major” Fydrych. Zanim o nim, należy wspomnieć o samym Wrocławiu,



Artysta kabaretowy, rys. Leszek Ołdak

który w tym czasie był wielokrotnie przemalowywany: opozycja na murach wypisywała farbą antysystemowe hasła np. „precz z PZPR” albo „WRON won”. Hasła bardzo szybko zamalowywano, mury pełne więc były białych, nieregularnych plam farby. Wówczas Fydrych wpada na pomysł ich „upiększenia” – na białym tle maluje krasnoludki. Natychmiast rozpoczynają się poszukiwania autora krasnoludków. Władza była przekonana, że krasnoludek to tajny znak podziemia. Podobno SB zatrudniła najlepszych kryptologów, żeby rozszyfrowali, co te krasnoludki mają oznaczać. Po czasie Fydrych wytłumaczył swój pomysł następująco: hasła opozycyjne były też, maskowanie ich przez milicję – antytezą, a krasnoludki – syntezą.

W Łodzi Waldemar Fydrych maluje krasnoludka na komendzie Milicji Obywatelskiej. Po czym zostaje zatrzymany. Podczas przesłuchań wielokrotnie go pytano, czy krasnoludek jest za socjalizmem, czy przeciwko. Fydrych obiecał, że wszystko wyjaśni. Postawił jednak warunek: prawdę powie tylko oficerowi, który czytał „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa. Trochę to trwało, ale spełniający wymogi oficer został znaleziony. „Dlaczego malujesz krasnoludki?” – pyta oficer. I słyszy, że jego rozmówca Fydrych ma na to pozwolenie. Od Boga. „Ale po co je malujesz?” – pyta dalej. „Bo kiedy generał Jaruzelski wyjdzie z ukrycia i zobaczy te krasnoludki na ulicach, nie będzie miał innego wyjścia, będzie musiał się poddać”. „Ale komu miałby się poddawać?” – pytał oficer, choć może już zaczynał się bać kolejnych odpowiedzi. „Krasnoludkom.”

I w ten oto sposób obywatela Waldemara Fydrycha uznano za niepoczytalnego i puszczono wolno.

Królewna Śnieżka pojmana

Po paru latach krasnoludki z murów schodzą na ulice. Setki demonstrantów przebranych za krasnoludki

i postaci z bajek było gonionych ulicami Wrocławia, Łodzi czy Warszawy przez tamtejszych milicjantów. Proszę wyobrazić sobie milicyjny radiowóz, w którym oprócz trzech milicjantów znajdują się także pojmani: krasnoludek, sierotka Marysia i Królewna Śnieżka.

Nasze happeningi zastawiały na służby porządkowe pewną pułapkę. Niszczyliśmy tradycyjny, teatralny podział na widownię i artystów. Uczestnikiem demonstracji nagle stawał się każdy (czasem wystarczyło mieć przy sobie coś pomarańczowego albo... nieść papier toaletowy ze sklepu). Poza tym uznaliśmy, że ZOMO to też aktywiści Pomarańczowej Alternatywy, tylko zupełnie tego nieświadomi.

We Wrocławiu odbył się słynny happening pt. „Kto się obawia papieru toaletowego?”. Dzisiaj mamy papier we wszystkich kolorach i wzorach, o jakich zamarzymy, kiedyś pozostawał towarem niemal luksusowym. Każdy uczestnik demonstracji miał przy sobie element „ozdobny”, wykonany z tegoż papieru. Na ulicach pojawiło się mnóstwo osób: panowie w muszkach z papieru toaletowego, panie w czapkach, kokardach etc...

Tymczasem we wrocławskich sklepach właśnie miała miejsce wielka dostawa papieru toaletowego, toteż mieszkańcy miasta, objuczeni nanizanymi na sznurek rolkami, wracali do domów. Tym sposobem po happeningu, wśród pojmany, znalazły się także sześćdziesięcioletnie panie, zdaniem władzy – „rewolucjonistki, które za pomocą papieru toaletowego chciały obalić socjalizm”.

A po latach historycy uznali, że nic, tak jak Pomarańczowa Alternatywa, nie ukazało absurdu władzy totalitarnej.

Notowała:
Joanna Silska

Pomarańczowa Alternatywa – ruch happeningowy, działający we Wrocławiu, a później w paru miastach Polski (Łódź, Warszawa, Lublin) głównie w latach 80. Nazwa nawiązywała do powszechnego wówczas upolityczniania życia i dekorowania publicznych pomieszczeń i ulic miast czerwonymi flagami i draperiami. W latach 1987–1990 grupę Pomarańczowej Alternatywy prowadzili w Łodzi studenci kulturoznawstwa i Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, mieszkający w domu studenckim „Balbina” z Krzysztofem Skibą i Jackiem Jędrzejakiem (zwanym Dziej-Dzejem) na czele. Łódzka Pomarańczowa Alternatywa przeprowadziła m.in. akcje: *Galopującą inflację* – polegającą na bieganiu uczestników akcji po ul. Piotrkowskiej z tabliczkami „galopująca inflacja” aż do momentu zatrzymania przez milicję (w momencie zatrzymania uczestnicy głośno gratulowali milicjantom, że udało im się powstrzymać wreszcie inflację), *Klepanie biedy* – polegającą na głośnym waleniu w tablice z napisem „bieda” przez uczestników akcji przebranych w łachmany, *Bicie piany* – polegającą na grupowym ubijaniu piany z jajek przy dźwiękach fragmentów przemówień ówczesnych polityków, nadawanych przez przenośne megafony, a następnie wylewania piany na bruk uliczny. Część liderów Łódzkiej Pomarańczowej Alternatywy założyła w 1988 r. istniejącą do dzisiaj grupę muzyczną Big Cyc, w której tekstach stale pobrzmiewa klimat tego ruchu.

31 marca br. w Opolu gościła dr Magdalena Ogórek, absolwentka naszej uczelni, kandydująca na urząd prezydenta RP. W trakcie pobytu w naszym mieście spotkała się z rektorem UO prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją, zwiedziła uniwersyteckie muzeum, znalazła też chwilę na rozmowę z Redakcją „Indeksu”.

Kwadrans akademicki

Z dr Magdaleną Ogórek, absolwentką Uniwersytetu Opolskiego kandydującą na urząd prezydenta RP, rozmawia Barbara Stankiewicz

– **Pochodzi Pani z Rybnika, a więc z województwa śląskiego. Ale na miejsce studiów wybrała Pani nie Katowice, ale Opole...**

– Gdy zastanawiałam się nad wyborem uczelni, w której będę studiować, przyjechałam do Opola – wtedy główny gmach uczelni mieścił się jeszcze przy ulicy Oleskiej. To miejsce mnie urzekło. Miasto i ludzie.

– **Kwaterna prywatna czy akademik?**

– Podczas całego okresu studiów korzystałam z kwatery prywatnej, ale także pomieszkowałam w

„Kmicicu” na dziewiątym piętrze. Był też czas, że dojeżdżałam na zajęcia z rodzinnego Rybnika, bo to przecież niedaleko. Wtedy między naszymi miastami były dobre połączenia kolejowe, autobusy też jeździły częściej. Kiedy byłam opolską studentką, jeszcze trwała rekonstrukcja budynku, stanowiącego teraz Collegium Maius. Dziś pierwszy raz oglądam jego wnętrza i jestem pełna podziwu.

– **Były w okresie studiów jakieś ulubione opolskie miejsca?**

– Opole kojarzy mi się najbardziej z doskonale wyposażoną biblioteką przy ulicy Strzelców Bytomskich, bo przesiadywałam tam często. Podczas pierwszej wizyty w Opolu zawędrowałam na ulicę Strzelców Bytomskich, przy której mieści się Instytut Historii – i już wiedziałam, że tu chcę studiować... O tym, że wybiorę historię – wiedziałam od dawna, to było moje marzenie. W Opolu trafiłam na prof. Annę Pobóg-Lenartowicz, wybitną mediewistkę, która rozbudziła we mnie fascynację średniowieczem. Wiele jej zawdzięczam. Z opolskich czasów doskonale pamiętam „Grabówkę”, w której jadałimy przepyszne naleśniki; to było także miejsce spotkań i wymiany informacji przed egzaminami.

– **Po ukończeniu w 2002 roku studiów rozstała się Pani z Opolem. Ale nie na długo.**

– Potem była stolica, gdzie na Uniwersytecie Warszawskim studiowałam europeistykę. Były to dwuletnie studia podyplomowe, które udało mi się odbyć w ciągu jednego roku. I po tym roku spędzonym w Warszawie wróciłam do Opola na studia doktoranckie. I takim sposobem wróciłam pod skrzydła promotor mojej pracy magisterskiej, prof. Anny Pobóg-Lenartowicz.

– **Jak doszło do wyboru tematu dysertacji?**

– Ciekawiły mnie formacje religijne, które popadały w konflikt z Kościołem. Najpierw zainteresowałam się zakonem templariuszy. Badając ten temat, trafiłam na inne grupy heretyckie, m.in. na katarów. Myślałam nawet o tym, by zająć się ich stanem posiadania w Euro-



Magdalena Ogórek

pie, ale szybko zorientowałam się, że katarzy są już tak szczegółowo opisani, iż bez podjęcia żmudnych i kosztownych badań we Francji trudno byłoby napisać o nich coś nowego. Dlatego postanowiłam skupić się na beginkach i waldensach, i prześledzić tym samym pasjonujące akta procesowe np. ze Świdnicy.

– **Jeśli wierzyć „Spizowej Bramie” Tadeusza Brezy, a zwłaszcza jego powieści „Urząd”, źródła watykańskie nie stoją otworem przed młodym naukowcem.**

– Wymieniła pani bardzo ważną dla mnie książkę. „Spizowa Brama” ma ogromne znaczenie dla mnie. Wielką pomoc w zbieraniu materiałów okazał mi książd biskup Jan Kopiec, dzięki któremu mogłam zapoznać się z rękopisami, będącymi w zbiorach Biblioteki Watykańskiej. Osobom świeckim jest niezwykle trudno uzyskać pozwolenie na korzystanie z tych zbiorów. Udało nam się dotrzeć do rękopisu, o którym na początku myśleliśmy, że jest to interrogatorium, czyli zapis przesłuchań heretyków, jakie prowadzili inkwizytorzy w Świdnicy. Tymczasem okazało się, iż to była biografia inkwizytora wrocławsko-lubuskiego Jana Svenkenfeldta. Biografia różniąca się w końcowym fragmencie od jego oficjalnego życiorysu, który można znaleźć w innych źródłach. Różnice dotyczą m.in. opisu jego śmierci w Pradze. I to było nasze małe odkrycie. Pomogła mi także Ambasadą Polski przy Watykanie. Średniowiecze jest niesamowicie ciekawym okresem historycznym.



W uniwersyteckim muzeum z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją

– **Dzięki beginkom i waldensom w 2009 r. zdobyła Pani stopień doktora.**

– Moimi recenzentami byli prof. Kazimierz Bobowski i ks. prof. Kazimierz Dola, a promotorką prof. Anna Pobóg-Lenartowicz. Obrona pracy odbyła się w Villa Academica UO, pamiętam, że był obecny także profesor Marek Masnyk, ówczesny dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego. Dużo zawdzięczam ks. prof. Kazimierzowi Doli, który w trakcie pisania przeze mnie pracy doktorskiej udzielił mi wielu cennych wskazówek. Wiele pomocy uzyskałam także ze strony archiwum w Ołumuńcu oraz Herzog August Bibliothek. I recenzenci, i pani profesor byli bardzo wymagający, krytyczni, co mnie bardzo cieszyło, bo wyszło pracy na dobre.

– **Dziennikarze komentujący Pani kampanię wyborczą też są krytyczni.**

– Uniwersytet Opolski ukształtował mnie jako człowieka: nauczył ryzykować i dążyć do osiągnięcia swoich celów, do czego dziś zachęcam młodzież. Winię za to nasz system, bo na Zachodzie młodzi ludzie potrafią mierzyć się z przeciwnościami, potrafią stawać do rywalizacji, także w wyścigach wyborczych. A co się działo, kiedy ja wystartowałam? Natychmiast odezwały się głosy w rodzaju: „za młoda!”. Mimo iż nasza konstytucja wyraźnie mówi, że w wyborach prezydenckich mogą startować osoby, które ukończyły 35 lat i zebrały 100 tysięcy podpisów. Tymczasem pod moją kandydaturą podpisało się pół miliona osób,



Pamiętkowy wpis do książki gości Muzeum UO



W gabinecie rektora. Na zdjęciu (od lewej): rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, Barbara Stankiewicz (Redakcja „Indeksu”), kierownik rektoratu Lucyna Kusiak, Halina Nicieja, Magdalena Ogórek, przewodniczący Rady Wojewódzkiej SLD w Opolu Piotr J. Woźniak. Z tyłu, od lewej: rzecznik prasowy UO Marcin Miga, Andrzej Namysło (Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości UO)

co jest dla mnie wyrazem ogromnego zaufania i znakiem, jak wielu ludziom podoba się mój program wyborczy. To także sygnał dla młodzieży, że można i trzeba próbować. Znam problemy młodzieży i wiem, że najważniejsza jest dla nich stała praca. O to walczę. Moim głównym postulatem jest zmiana prawa. Obecnie rząd już próbuje korzystać z moich propozycji, np. przeprowadzenia zmian w prawie podatkowym. Mamy najgorsze prawo podatkowe w Europie. A już indywidualna interpretacja podatkowa, nad którą nasz rząd właśnie się pochyla, jest według mnie absolutnym łamaniem Konstytucji. Dam przykład: dziś wystarczy, że izba skarbowa w danej miejscowości określi, od której konkretnej transakcji nie płaci się podatku VAT, a natychmiast całe rzesze przedsiębiorców przerejestrowują się, żeby móc skorzystać z tej furtki.

Prezydentura musi oznaczać aktywność, prezydent powinien jak najczęściej sięgać po inicjatywy ustawodawcze. Takim prezyden-

tem chcę być. Nigdzie nie jest napisane, że urząd prezydenta ma być luksusową emeryturą.

– **Dziękuję za ten kwadrans dla „Indeksu”.**



Przed Collegium Maius UO, skąd kandydatka na urząd prezydenta udała się na spacer po ulicy Krakowskiej w Opolu

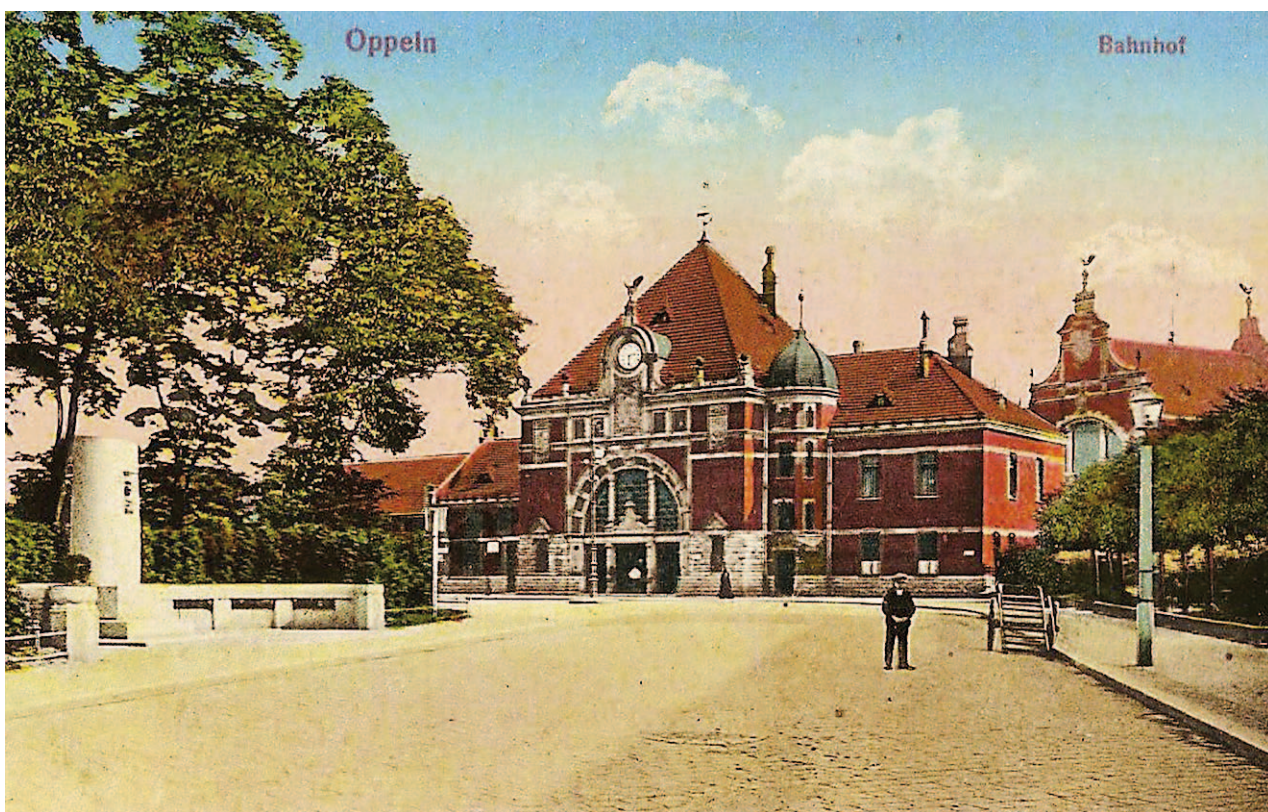
Krzysztof Spałek

Przedwojenne szepty opolskiego dworca

Trwa rewitalizacja zabytkowego Dworca Głównego w Opolu, którego historię opisała ostatnio na łamach „Indeksu” Urszula Zajączkowska, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego. Na jego terenie zachowały się liczne, mało znane, lecz cenne pamiątki, które przypominają przedwojenne czasy dworca w niemieckim wówczas Oppeln.

Na kilku peronach nadal witają przyjezdnych okazałe, żeliwne włązy studzienek kanalizacyjnych z napisem *R. Hipper, Oppeln*. Znajdziemy tu także mniejsze, przedwojenne, żeliwne włązy z napisami: hydrant przedwojennej firmy Bopp & Reuther z Mannheim oraz koncernu POLTE z Magdeburga, który od XIX w. produkował również broń i amunicję. Zachowały się tu także interesujące, żeliwne tablice z XIX w., pochodzące najprawdopodobniej z początków istnienia tej linii kolejowej. Widnieje na nich bardzo wyraźny symbol pruskiego kolejnictwa oraz napis *Kabel*. Warto również zwrócić uwagę na znajdujące się na peronach płyty chodnikowe, które nie zostały wymienione podczas

jego rewitalizacji – część z nich to wyrób przedwojenny. Na niektórych płytach zachowały się napisy: *J. Pfitzner, Groschowitz* oraz *G. Mora, Kattowitz*. Fabryka betonu Johanna Pfitznera z Groszowic została założona w 1900 r. i cieszyła się wielką popularnością wśród mieszkańców dawnego Oppeln. Produkowała różnego typu wyroby z betonu i cementu, m.in. płyty chodnikowe, nagrobki, ogrodzenia, rury betonowe, słupki ogrodzeniowe, lastryka i wszelkie materiały budowlane. Płyty Georga Mora z Katowic pochodzą najprawdopodobniej sprzed 1921 r., gdyż po tym roku w wyniku plebiscytu na Górnym Śląsku miasto to znalazło się w granicach Polski. Na dworcu uwagę przykuwają również okazałe żeliwne kolumny wspierające zadaszenie na peronach z pięknymi ozdobami w części szczytowej z początku XX w. Kolumny te zostały odlane w Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach (*Königliche Eisengießerei Gleiwitz*). Prawie identyczne zwieńczenia kolumn znajdują się w „Der Gleiwitzer Preis-Courant” – katalogu wzorników wyrobów



Dworzec Główny w Opolu na pocztówce z 1926 r. (ze zbiorów Krzysztofa Spałka)

Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach z 1847 r. Żeliwne odlewy, pochodzące z gliwickiej odlewni żeliwa artystycznego, należą obecnie do unikatowych za- bytków sztuki i spotykane są na Śląsku bardzo rzadko. Odlewnia w Gliwicach została założona w 1798 r. z powodu dotkliwego braku tanich wyrobów z żeliwa, odczuwanego na pruskim rynku, a zwłaszcza śląskim. Początkowo jej produkcja miała się skupiać na wyrobach technicznych, w tym części do maszyn parowych. Jednakże powstawały tu także przedmioty użytku codziennego w odpowiedzi na stale zmieniające się potrzeby rynku, m.in. różnego typu naczynia kuchenne. W I połowie XIX w. odlewano w niej najnowocześniejsze w Europie naczynia żeliwne pokryte emalią. Gdy zaczęto budować na szeroką skalę sieci wodno-kanalizacyjne oraz instalacje gazowe, odlewnia podjęła produkcję tego typu wyrobów, stając się jednym z najważniejszych w Prusach producentów rur do ich budowy (na Śląsku Opolskim zachowały się bardzo nieliczne, m.in. w Dobrodzieniu). Produkcja wyrobów technicznych zapoczątkowała działalność odlewni w Gliwicach. Jednakże stosunkowo wcześniej podjęto również produkcję odlewów artystycznych, powstały żeliwne gemmy, a następnie krucyfiksy, przyciski do papieru, świeczniki, a także schody, ogrodzenia, latarnie, ławki i kolumny.

Na jednym z peronów, na tzw. końcowych przystankach buforowych, zachowały się aluminiowe tabliczki znamionowe firmy A-RAWIE z Osnabrück, wykonującej wiele elementów dla niemieckich kolei żelaznych, te z Opola zostały wykonane w 1939 r. i opatentowane przez niemiecki urząd patentowy (DRP). Przed rewitalizacją dworca były bardzo dobrze widoczne, obecnie pomalowane są na biało, podobnie jak drewniana konstrukcja buforu torów, stąd też są praktycznie niewidoczne. Firma Rawie została założona w 1882 r. przez Franza Rawie i początkowo specjalizowała się w obróbce stali. Na początku XX w. rozpoczęła współpracę z niemieckimi kolejami (*Deutsch Reichsbahn*). W 1902 r. zaczęła specjalizować się w produkcji końcowych przystanków buforowych, które spotkać można na całym świecie i które produkowane są po dziś dzień. W sąsiedztwie dworca jeszcze do niedawna można było dojrzeć żeliwne, przedwojenne żurawie wodne, które w czasach, kiedy po torach jeździły lokomotywy parowe, były nieodłącznym elementem wszystkich większych stacji. Kilka z nich zachowało się w części towarowej dworca. Żurawie kolejowe znajdowały się na tzw. kanale oczyszkowym, gdzie wodowano parowozy oraz (rzadziej) napełniano zbiorniki z wodą w wagonach. Kiedy parowóz znajdował się w zasięgu ramienia żurawia, obracano je tak, aby jego wylot był umiejscowiony nad tendrem, czyli zbiornikiem wody w parowozie. W większości parowozów wodę do tendra wlewało się do otworów umiejscowionych z jego boku, schowanych pod uchylną klapą. W niektórych parowozach wodę wlewało się przez otwór, który znajdował się w tylnej części tendra. Zapas wo-

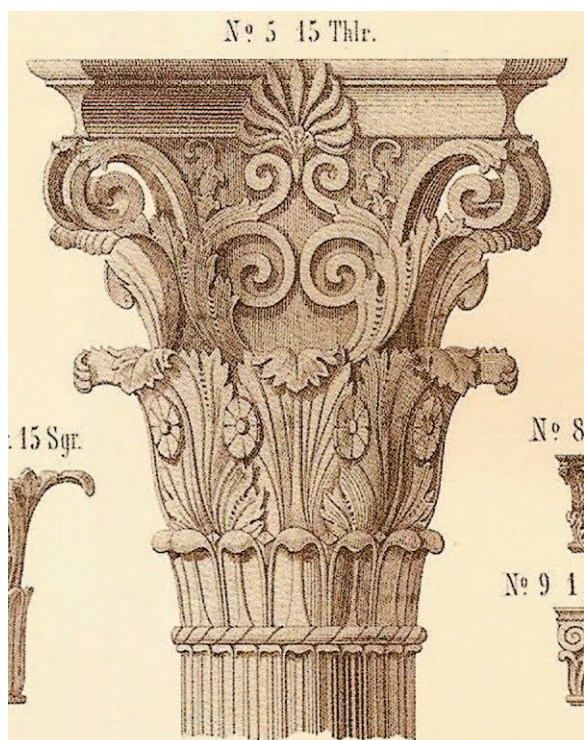


Opolski kolejarz z naszywką RHB (*Reichsbahn*) Oppeln. Zdjęcie z lat 30. XX w. (ze zbiorów Krzysztofa Spalka)

dy w zbiorniku parowozu wahał się od 7 m³ do 32 m³. Zapas wody 25 m³ starczał na przejechanie około 100–150 km. Zimą, kiedy na dworze temperatura spadała znacznie poniżej zera, przy żurawiu ustawiano zazwyczaj rozpalony piec, który ogrzewał znajdującą się wewnątrz kolumny żurawia wodę.

Przy kasach biletowych opolskiego dworca głównego, w trakcie jego rewitalizacji, odsłonięto herby dawnych niemieckich landów. Sprzedawane tam przedwojenne bilety kartonowe nie zmieniły się w formie praktycznie do końca XX w. Po przeciwnej stronie hali dworcowej, jak dziś, przed wojną też znajdowała się poczekalnia oraz restauracja, w której prócz smacznych posiłków, sprzedawano liczne pamiątki z dawnego Opola, w tym szklane kieliszki do wódki i kufle do piwa w kształcie buta, z wizerunkiem dworca. Na szczycie budynku, przy wejściu głównym, znajdował się niegdyś wiatromierz, o którym nikt już nie pamięta.

Warto również zwrócić uwagę na materiały budowlane, z których został zbudowany opolski dworzec. Główny materiał to cegła, pochodząca ze śląskich cegielni. Na podmurówkę oraz część dworcowych podziemi wykorzystano jednak inny surowiec – bloki wapienia, zapewne z kamieniołomów w okolicach



Zwieńczenie kolumny w katalogu wzorników wyrobów Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach z 1847 r.



Zwieńczenie kolumny na dworcu w Opolu. Fot. Krzysztof Spałek

Strzelec Opolskich lub Gogolina. Kiedy im się przyjrzeć, można dostrzec skamieniałości, które wraz z wyglądem skały sporo mówią o wieku, pochodzeniu, a nawet o tym, w jakich wodach żyły te stworzenia. Większość bloków wapiennych złożona jest z bardzo drobnych ziaren – taki drobny osad powstaje w wodach spokojnych, np. w płytkich, ale częściowo odciętych od morza zatokach, lagunach albo odwrotnie – na dużych głębokościach, gdzie nie sięgają wzburzone sztormami fale. Na niektórych blokach skalnych widać liczne muszle i naturalne odlewy ramienionogów, małży z rodzaju *Plagiostoma* oraz walczkowate ślady żerowania robaków morskich.

Plac przed dworcem wyłożony jest przedwojennymi płytami wykonanymi w dawnych Szczepanowicach, w firmie Waletzko, produkującej materiały budowlane. Na niektórych z nich, szczególnie w mniej odwiedzanych zaułkach, zachował się napis: *Waletz-*



Bilet kolejowy Opole–Wrocław z 5 lipca 1944 r. (ze zbiorów Krzysztofa Spałka)

ko, Szczepanowitz. Na pozostałych napisy zostały starannie skute. Na placu tym znajdował się również pomnik z płaskorzeźbą z brązu Ottona von Bismarcka autorstwa Roberta Bednorza. Słów kilka o tym zapomnianym śląskim rzeźbiarzu

Robert Bednorz urodził się w 18 maja 1882 r. w Zabrz-Grzybowicach w rodzinie górniczej jako jedno z dziesięciorga dzieci Paula Bednorza i Waleski z domu Penkala. Od najmłodszych lat wykazywał ponadprzeciętne zdolności plastyczne i modelarskie. Szkołę powszechną ukończył w rodzimych Grzybowicach, następnie ze względu na trudną sytuację materialną rodziny rozpoczął naukę kamieniarstwa w Gliwicach. Jego talent i zdolności artystyczne zauważył dyrektor miejscowej szkoły Ferdinand Wilimski. Dzięki jego wstawiennictwu u starosty powiatu bytomskiego Friederika von Scherin, otworzyła się przed Bednorzem perspektywa nauki rzeźby. W 1903 r. Robert Bednorz podjął studia w kla-

sie rzeźby u prof. Wenera Schwarzenberga, ówczesnego rektora Królewskiej Szkoły Sztuki i Rzemiosła (*Königliche Kunst- und Gewerbeschule*) we Wrocławiu. Miastu temu pozostał wierny do 1945 r. W 1905 r. Robert Bednorz wykonał z piaskowca rzeźbę siedzącej Madonny z Dzieciątkiem dla kaplicy leśnej koło Lipna, zaprojektowanej przez Hansa Poelziga, na zlecenie hrabiny von Praschma z Niemodlina. Rzeźba zachowała się w kaplicy do dnia dzisiejszego, ale niedawna, nieudana konserwacja sprawiła, że straciła dawny urok. W 1907 r. Bednorz kształcił się na *Königliche Akademie der Künste zu Berlin* (Królewskiej Akademii Sztuk w Berlinie), w mistrzowskiej klasie rzeźby u prof. Ludwiga Karla Manzela. W 1910 r. artysta otrzymał roczną nagrodę *Rom Preis* – najwyższe wyróżnienie państwa pruskiego dla szczególnie zdolnych młodych rzeźbiarzy, za rzeźbę *Rozpusta Bachusa* (*Bacchantenrelief*), która była efektem podróży do Włoch i fascynacji antykiem. W 1922 r. otrzymał od Friederika Eberta – prezydenta Republiki Weimarskiej, zlecenie na wykonania głowy w brązie ministra II Rzeszy Karla Jarresa, w 1923 r. wykonał w Palazzo Chigi w Rzymie popiersie ówczesnego włoskiego prezesa rady ministrów Mussoliniego, a w 1924 r. popiersie Lenina. W tym samym roku rektorem w Królewskiej Szkole Sztuki i Rzemiosła we Wrocławiu został prof. Oskar Moll, który powołał w 1925 r. Roberta Bednorza na stanowisko profesora w klasie rzeźby. Lata 20. i 30. XX w. to dla Bednorza czas intensywnej twórczości, rzeźbiarz stał się jednym z najsłynniejszych modernistycznych rzeźbiarzy Śląska, wykonał wtedy rzeźby przedsta-

wiające śląskich artystów, m.in.: popiersie dramaturga pochodzącego z Bystrzycy Kłodzkiej Hermana Stehara, kompozytora z Paczkowa Hermana Buchala, poety ze Strzelina Christiana Günthera, czy dwie niezwykle piękności, odważne płaskorzeźby kobiet wykonane z gipsu. Wszystkie te prace zostały zakupione przez Muzeum we Wrocławiu. Do obecnych czasów zachowała się tylko jedna z gipsowych płaskorzeźb, przedstawiająca kobietę z ptakiem, która eksponowana jest w Muzeum Historycznym we Wrocławiu (oddział Muzeum Miejskiego Wrocławia).

W okresie III Rzeszy część prac Roberta Bednorza uznano za *zdegenerowane* i objęto je zakazem wystawiania. Artysta mieszkał we Wrocławiu w modernistycznym budynku, zaprojektowanym przez architekta Adolfa Radinga, przy ul. Tramwajowej 2b (dawniej *Uechtritzweg*) na tzw. osiedlu WUWA–Wohnung und Werkraum Werkbundaustellung (Wystawa Mieszkanie i Miejsce Pracy). Dom ten Bednorz opuścił w 1945 r., uciekając przed frontem. W 1952 r. za całokształt pracy twórczej otrzymał jako jeden z nielicznych śląskich twórców Wielki Krzyż Zasługi NRF, a w 1966 r. Nagrodę Kulturalną Górnego Śląska Landu Północna Nadrenia Westfalia (*Oberschlesischer Kulturpreis des Landes Nordrhein Westfalen*) za całokształt pracy twórczej. Robert Bednorz zmarł 6 kwietnia 1973 r. w Kiedrich koło Wiesbaden i pochowany jest na cmentarzu północnym w Wiesbaden.

Krzysztof Spalek



OPPELN

Bismarckdenkmal

Pomnik Ottona von Bismarcka przy dworcu kolejowym w Opolu na pocztówce z początku XX w. (ze zbiorów Krzysztofa Spalka)

Joanna Kern

Zeszyt w szkocką kratę

Ten zeszyt był w domu od zawsze. Pamiętam go z dzieciństwa, leżał w kuchennym *bifju*, w szafce z przyborami do zycia. W czarnych, upstrzonych białymi plamkami okładkach, z częściowo zapisanymi, pożółkłymi ze starości kartkami. Jako dzieci nie byliśmy zainteresowani jego treścią, czasami tylko po kryjomu wyrwaliśmy pustą kartkę do zabawy, chociaż ojciec zabronił nam go ruszać. Wiedzieliśmy, że zeszyt przywędrował wraz z ojcem ze Szkocji, tak samo jak kryształowa popielniczka z wygrawerowanym herbem i napisem Kosmos Sixta, a także szeroki skórzanym wojskowy pas, który zawsze wisiał za drzwiami w kuchni i służył ojcu – w zależności od okoliczności – do ostrzenia brzytwy przed goleniem lub przemawiania nam, dzieciom, do rozsądku, gdy wszystkie inne metody zawiodły.

Ojciec zmarł w 1992 roku. Wkrótce potem z kuchni zniknął stary *bifj*, a z nim również i zeszyt. Odnalazł się po 20 latach w piwnicy, wśród makulatury przeznaczonej do spalania. I dopiero teraz przyjrzelśmy mu się dokładnie. Notatki z kursu samochodowego w Szkocji. Pierwsza lekcja: „Zasadnicze części samochodu”, prowadzona przez podporucznika Szydłowskiego, oznaczona jest datą 10 maja 1945. Na tej samej stronie pieczętka 16th SUPPLY COY, czyli 16. Kompanii Zaopatrywania, wchodzącej w skład 16. Samodzielnej Brygady Pancerniej gen. Stanisława Maczka. I kolejne notatki z kursu, kolejne nazwiska prowadzących: podporucznika Łabińskiego i porucznika Marka. Wyraźne, czytelne pismo, rysunki i opis części samocho-

wych. Ostatni wpis to słowa pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino” (z datą: 28 czerwca 1946). Kilka stron zajmuje podręczny słownik: angielskie wyrazy często używane w języku potocznym. I wiersze, a właściwie rymowanki, wypełnione tęsknotą za krajem i bliskimi. Nie wiem, kto był ich autorem, może to dzieło zbiorowe, a może napisał je nasz ojciec?

Jest i garstka dokumentów – karta zameldowania z amerykańskiego obozu jenieckiego z 15 marca 1945 roku, prawo jazdy w języku polskim i angielskim z datą: 7 czerwca 1945 oraz dwa zdjęcia.

Jedno – w mundurze żołnierza Wehrmachtu.

Drugie – w mundurze żołnierza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Ta część życiorysu była przez ojca skrzętnie ukrywana przed obcymi, także kolegami w kopalni, szczególnie gdy został sztygarem. Służbą w Wehrmachcie, a potem u generała Maczka, nie należało się chwalić. Niełatwo więc było po latach życiorys mojego ojca odtworzyć.

Franciszek Parma urodził się w 1917 roku w Moszczenicy, niedaleko czeskiej granicy, wtedy noszącej nazwę Moschczenitz, należącej od XIX wieku do powiatu pszczyńskiego. Wioska była zamieszkaana w większości przez autochtonów. Franciszek znał z domu tylko gwara śląską, tak jak jego rodzice, Emil i Katarzyna z domu Ranozsek. Katarzyna spokrewniona była blisko z właścicielami miejscowego młyna i cegielni.

Była kuzynką Rudolfa Ranozka, profesora polskiej sumerologii, asyriologii i hetytologii, późniejszego profesora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego i kuzynką bohaterkich lotników RAF-u z czasów II wojny światowej. Gdy Franciszek rozpoczął w 1923 roku edukację w polskiej już szkole powszechnej, uczył go jego wujek – Wiktor Ranozsek, brat Rudolfa (dziś szkoła w Moszczenicy nosi imię Rudolfa Ranozka, jego imieniem nazwano też jedną z ulic).

Zimą 1918–1919 roku w Moszczenicy pojawili się działacze z Rybnika, agitujący za Polską. Często zakładać polskie organizacje: Towarzystwo Polek, chór Lut-



Uczniowie i nauczyciele szkoły w Moszczenicy, 1917 r.

nia, Gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Większość członków „Sokoła” należała również do istniejącej od kwietnia 1919 roku komórki Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Wśród nich był Emil Parma, ojciec Franciszka, uczestnik kolejnych powstań śląskich, który w kobiecym przebraniu, furmanką, dostarczał powstańcom karabiny odebrane rozbrajanym żołnierzom Grenzschtzu. Najbardziej tragiczne dla Moszczenicy okazało się I powstanie, w którym zginęło siedmiu mieszkańców wsi. Ci, co przeżyli oraz ich rodziny, byli przez Niemców represjonowani. Represje nie ominęły i rodziny Emila Parmy. Aby uniknąć częstych aresztowań, zbudował dla siebie schowek: w pomieszczeniu, które służyło jako komora, wykopał w ziemi otwór, wymurował i zaopatrzył w klapę. Tam się chował, kiedy do domu zbliżali się żołnierze Grenzschtzu. Schowek ten przetrwał tak długo, jak długo stał dom i nigdy nie wykorzystywano go do innych celów.

W 1920 r. w Moszczenicy wybuchł strajk szkolny, czego następstwem było wypędzenie wojsk Grenzschtzu z pomieszczeń szkolnych i plebanii, gdzie kwaterowały od 1912 roku. W kwietniu 1921 roku, podczas plebiscytu, oddano 80 proc. głosów za Polską, a w maju powstańcy znów ruszyli do walki. W walkach o Jastrzębie oddział moszczenicki zdobywał budynek za budynkiem, potem brał jeszcze udział w walkach w Rybniku, Gorzyczkach, Olzie i Nieboczowach. 13 lipca 1922 wieś została przejęta przez władze polskie. Stała się częścią województwa śląskiego, które posiadało uchwaloną jeszcze w 1920 roku autonomię, własny sejm, budżet i inne przywileje.

Gdy więc w 1923 roku Franciszek poszedł do szkoły, była to już polska szkoła, z polskimi nauczycielami. Budynek był stary, zniszczony, z ciasnymi pomieszczeniami, które w dodatku sukcesywnie zamykano ze względu na bezpieczeństwo uczniów. Doszło do tego, że nauka odbywała się tylko trzy razy w tygodniu. Po ukończeniu szkoły, do wybuchu II wojny światowej, pracował w cegielni u Ranoszka, w gospodarstwie ciotki Gertrudy Górnej i w rodzinnym obejściu. Oprócz niego w domu było jeszcze dwóch braci i dwie siostry. W czerwcu 1938 r. otrzymał wezwanie z Wojskowej Komendy Uzupelnień w Pszczynie do stawienia się przed Komisją Wojskową. Otrzymał kategorię „A”, do służby jednak nie został powołany. Gdy wybuchła wojna, Moszczenica znalazła się znów w granicach Niemiec, rodzinę wpisano na III Volkslistę. W rejestrach katowickiego Wehrbezirkskomando (niemiecka Okręgowa Komisja Wojskowa), które prowadziło ewidencję ludności województwa śląskiego pod kątem poboru do Wehrmachtu, figurowali również synowie byłego śląskiego powstańca Emila Parmy: Franciszek i Józef, znów obywatele Rzeszy, podlegający obowiązkowi służby wojskowej. Odroczenie było możliwe, gdy pracowało się w przemyśle lub na roli. Franciszek postanowił więc z tego prawa skorzystać. W lipcu 1940 roku zatrudnił się u swojego wujka w po-



Franz Parma w mundurze Wehrmachtu przed wypłynięciem do Francji

wiecie mikołowskim, a po dziewięciu miesiącach u innego, w powiecie rybnickim. W ten sposób udało mu się na jakiś czas odwlec powołanie do wojska.

W październiku 1942 r. musiał jednak stawić się przed komisją poborową w Rybniku, a już 9 grudnia – jako Franz Parma – wyjeżdżał do Legnicy, do koszar Wehrmachtu. Został wcielony do Zmotoryzowanego Batalionu Grenadierów 51. Pułku Piechoty, która wchodziła w skład 18. Dywizji Piechoty, pod dowództwem generała Hermanna Hatha (była to ta sama dywizja, która 1 września 1939 roku przekroczyła granice Polski od strony zachodniej, a w 1944 roku jej 51. Pułk Piechoty praktycznie przestał istnieć, zamknięty w kotle przez Rosjan w Bobrujsku nad Berezyną). Jako Ślązak i członek III grupy Niemieckiej Listy Narodowej, Franz Parma podlegał specjalnym zarządzeniom – Ślązacy, do których Niemcy mieli ograniczone zaufanie, byli rozdzielani, wcielani pojedynczo lub po kilku do plutonu. Za łamanie dyscypliny, sabotaż i dezercję groziła im kara śmierci. Za dezercję żołnierza karana była także jego rodzina (najczęściej wywożono ich do obozu koncentracyjnego), dlatego ucieczki zdarzały się wtedy rzadko. Od 1943 roku powołanych do służby w Wehrmachcie Ślązaków, nazywanych kpiąco przez Niemców *Beutegermanen* (*Beute* – zdobycz), nieznających wcale lub tylko szczątkowo język niemiecki, kierowano do różnych formacji w Rzeszy i państwach okupowanych. Nim do tego doszło, przechodzili przeszkolenie w macierzystych jednostkach (Franz przechodził je w Legnicy). Po okresie szkolenia



Franciszek Parma w mundurze Polskich Sił Zbrojnych

i złożonej przysiędze otrzymał kilka dni urlopu. Odwiedził rodziców w Moszczenicy, skorzystał również z zaproszenia kolegi z Kostuchny, który też przyjechał do rodziny na urlop. W Kostuchnie właśnie Franciszek poznał Marię, swoją przyszłą żonę.

Latem 1943 roku oddział piechoty Franza został skierowany w głąb Niemiec, najpierw do wsi koło Düsseldorfu, gdzie żołnierze pomagali miejscowym w pracy na polu, później, w 1944 przeniesiono ich na przedmieścia Moers. Tam umacniali stanowiska artylerii, budowali okopy i zasieki, przygotowując się do odparcia wojsk alianckich, które od momentu wylądowania 6 czerwca w Normandii, nieubłaganie podążały w kierunku Północnej Nadrenii Westfalii. Zadaniem oddziału Franza była przede wszystkim ochrona rafinerii i zakładów chemicznych, szczególnie narażonych na ataki bombowe. 8 listopada 1944 Franz przeżył najcięższe bombardowanie miasta, do dzisiaj określane jako *dies ater von Moers* – czarny dzień Moers. Atak z powietrza rozpoczął się rano, zginęło wielu pozostałych jeszcze w mieście mieszkańców, zniszczeniu uległy, oprócz prywatnych budynków, prawie wszystkie szkoły i instytucje państwowe oraz w 50 proc. zakłady chemiczne.

Powoli świtała nadzieja na zakończenie wojny, mimo klęski aliantów w Arnheim. Zwycięstwo Niemców, ostatnie zresztą w tej wojnie, było druzgocące. Ale sam

fakt, że wojska alianckie były oddalone zaledwie o 116 kilometrów i – jak twierdzą świadkowie – odgłosy kanonady dało się słyszeć nawet w Moers, przepowiadał koniec III Rzeszy.

Zima 1944–1945 była długa i ciężka. Niskie temperatury, śnieg, śnieg z deszczem, zmienne wiadomości z frontów, napawały niepokojem. Dopiero nowa ofensywa pod nazwą *Veritable*, która rozpoczęła się 7 lutego 1945 roku i doprowadziła do całkowitego zniszczenia sąsiednich miast – Wesel i Jülich, otworzyła armii amerykańskiej drogę do Moers. Miasto było już bardzo zniszczone po nalotach bombowych, większość ludności ewakuowana wcześniej do Magdeburga i Dessau. Stacjonował tutaj tylko oddział piechoty Franza i oddział Volkssturmu, składający się ze starych mężczyzn i bardzo młodych chłopców. Gdy Amerykanie zbliżali się od strony Krefeld i Mönchengladbach, Niemcom udało się jeszcze 3 marca wysadzić most na Renie. W tym dniu uciekły też władze miasta na czele z nazistowskim burmistrzem Linde i członkami straży pożarnej, wcześniej, pod osłoną nocy, miasto opuszczają oddziały Wehrmachtu.

W deszczową niedzielę, 4 marca 1945 r., do Moers wjechały pierwsze czołgi Amerykańskiej 84. Dywizji Piechoty. Po krótkiej strzelaninie we wschodniej stronie miasta, pozostała w Moers ludność cywilna wywiesza białe flagi. A następnego dnia, z ruin, z podniesionymi rękami, wyłaniają się pochodzący z Pomorza i Śląska żołnierze Wehrmachtu, którzy zignorowali rozkazy swoich dowódców, nie uciekli wraz z innymi na drugi brzeg Renu. Ukryci, czekali na Amerykanów, którym dobrowolnie oddali się w niewolę. W tym samym dniu piechota amerykańska zdobywa Rheinberg i tam właśnie powstaje jeden z największych tymczasowych obozów dla jeńców wojennych, uznany za najcięższy, z najwyższym wskaźnikiem umieralności. Tam właśnie trafia Franz ze swoimi współtowarzyszami.

Obozy te tworzone wzdłuż zdobytego już zachodniego brzegu Renu. Potocznie nazywano je *Rheinwiesenslager* (obóz na łące nad Renem) lub *Goldene Male*. Ucieczka z nich na drugi brzeg nie była możliwa, ponieważ wszystkie mosty w tym rejonie były zniszczone. Teren, nadreńskie podmokłe łąki, otaczano drutem kolczastym, w jednym rogu budowano latrynę, na zewnątrz ustawiano strażę... Obóz był gotowy do przyjęcia jeńców. Zwożono ich ze zdobywanych pobliskich miejscowości, żołnierzy razem z cywilami. Przez pierwsze dni nie dostawali nic do jedzenia i picia, chociaż magazyny wojskowe Wehrmachtu, które przejęli alianci, były dobrze zaopatrzone. Te dni wspominał później Franz najgorzej. Z głodu, tak jak inni, jadł trawę, męczyło go pragnienie, chociaż 200 metrów dalej płynęła rzeka, do której nie można było się dostać. Spali na gołej ziemi, rękami wygrzebywali dziury, w których usiłowali się chociaż trochę ochronić przed zimnem. Często jednak w dzień przez obóz przejeżdżała koparka lub pojazd na gaśnicach i te prymityw-

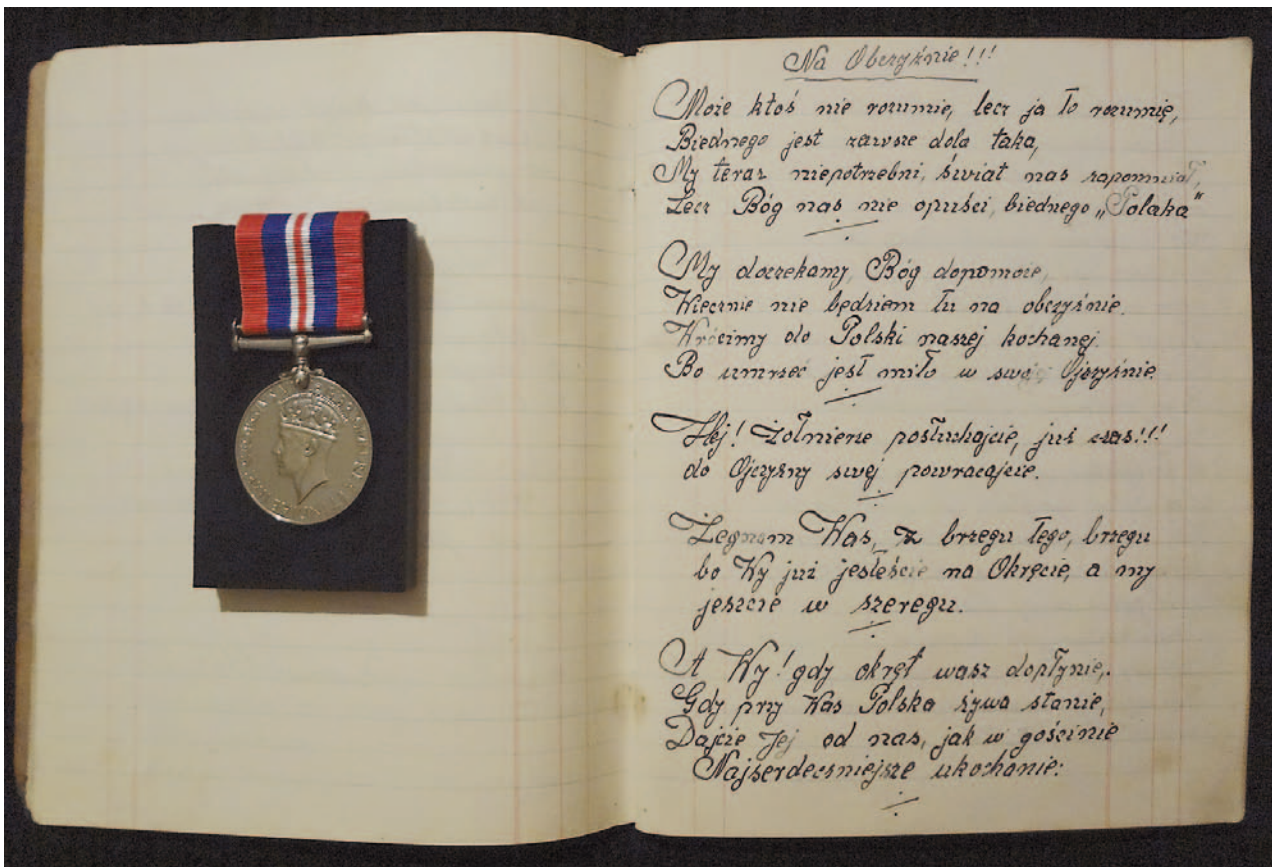
ne schronienia zasypywano, nierzadko razem z ludźmi. Strażnicy strzelali bez ostrzeżenia przy każdym podejrzanym ruchu, a czasami dla zabawy, poprzez druty, ślepo w tłum. Jeńców nie rejestrowano imiennie, notowano jedynie liczbę przybyłych w tym dniu do obozu.

Po kilku dniach wielu z nich, także Franza, załadowano na samochody ciężarowe i wywieziono do obozu na północy Francji. Kawalerski styl jazdy amerykańskich kierowców sprawiał, że nie wszyscy dojeżdżali żywi na miejsce. 15 marca 1945 roku Franz wypełnił oficjalnie swoją kartę meldunkową jako jeńiec wojenny (tę kartę otrzymali pocztą rodzice w Moszczenicy). Nadzieja na lepsze warunki w nowym miejscu okazała się płonna: tam też była tylko łąka otoczona drutem kolczastym i nic do jedzenia. Później wspominał, że gdy po trzech tygodniach opuszczał obóz, na łące nie było ani jednego źdźbła trawy.

Na początku kwietnia 1945 roku w obozie pojawili się oficerowie polscy, werbujący do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Franz się zgłasza. 6 kwietnia zostaje wstępnie przesłuchany i zarejestrowany przez porucznika Zygmunta Woitycha. Odtąd znów jest Franciszkiem. Już nazajutrz, wraz z innymi ochotnikami, w zniszczonym i brudnym niemieckim mundurze, trafia na statek płynący do Edynburga. Coraz dalej od rodzimej Moszczenicy i narzeczonej Marii, ale z nadzieją na rychły koniec wojny i powrót do domu.

9 kwietnia 1945 statek przybija do portu w Szkocji.

Franciszka skierowano do Obozu Rozdzielczego w Polkemmet, gdzie przebywał do 16 kwietnia. Obóz znajdował się na terenie wiejskiej posiadłości arystokratycznej rodziny Baillie, w budynkach urzędowało dowództwo, mieszkali żołnierze, urządzono szpital. Tam Franciszka poddano szczegółowym przesłuchaniom i weryfikacji. Ta wypadła pozytywnie – ojciec powstaniec, polska szkoła, znajomość języka polskiego, słaba znajomość (i tylko w mowie) języka niemieckiego, jak również najniższy stopień wojskowy w niemieckiej armii... 11 kwietnia zostaje zarejestrowany pod numerem 89 417 i uzyskuje stopień starszego szeregowca. 17 kwietnia, rozkazem nr 90/45 pułkownika Golachowskiego, szefa Komendy Uzupelnień Nr 1, zostaje przydzielony pod każdym względem do 16. Samodz. Bryg. Panc., gdzie trafia do 16. Kompanii Zapatrywania, stacjonującej wtedy w Elso (pozostał do w niej do 11 lipca 1946 roku). 16. Samodzielna Brygada Pancerna wchodziła w skład 1. Korpusu Pancerno-Motorowego w Szkocji, jego dowódcą od 23 maja 1945 roku był generał Stanisław Maczek, któremu pełniący w tym czasie obowiązki naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie gen. dyw. Władysław Anders powierzył zadanie przegrupowania do Niemiec jak największej liczby polskiego wojska. Wraz z dowództwem i żołnierzami generał Maczek miał powrócić ze Szkocji i objąć dowodzenie nad całością polskich sił okupacyjnych w Niemczech. Żołnierze, także



Strona z zeszytu Franciszka Parmy. Na niej – pośmiertny, angielski medal za udział w wojnie

Franciszek, byli szkoleni pod tym właśnie kątem. Plany te jednak nie doszły do skutku, generał wraz z żołnierzami pozostał w Szkocji.

Tymczasem w koszarach toczyło się normalne żołnierskie życie. Franciszek, ubrany już teraz w *battle-dress* i beret z orłem w koronie, nie musiał przechodzić podstawowego szkolenia, bo zaliczył je już w 1943 roku w Legnicy. Zamiast tego odbył kurs dla kierowców samochodowych (stąd te notatki w jego zeszycie!), zakończony egzaminem. Po zdaniu egzaminu, jak później wspominał, jeździł wojskowym jeepem, przewoził oficerów lub meldunki pomiędzy koszarami. Często bywał w Glasgow i Edynburgu. Dla młodego człowieka z małej śląskiej wioski był to wielki świat. Na urlopowach zwiedzał okolice, chodził z kolegami do miasteczka na potańcówki, relacje z miejscowymi ludźmi opisywał później jako znakomite. Niektórzy z jego kolegów poznali tam dziewczyny, poženili się i osiedli na stałe. Ale nie Franciszek. Tęsknił za domem, szczególnie za matką. Z Marią nie widział się od wyjazdu z Legnicy, utrzymywali tylko korespondencję listową. Pomimo zajęć, rozrywek, kolegów, nie opuszczało go poczucie obcości. Widać to wyraźnie w wierszach, które zapisywał na pustych kartkach zeszytu z kursu samochodowego. Wszystkie mówią o tęsknocie za ojczyzną, za bliskimi. Nawet polskie dziewczyny w porównaniu z Angielkami jawią mu się jako istoty niezemskiej wprost urody (właśnie te szczegóły, także dotyczące budowy anatomicznej Angielek, wyrzucała mu potem Maria przez wszystkie lata małżeństwa!).

Gdy w lipcu 1945 roku Wielka Brytania uznała Tymczasowy Rząd Narodowy w Polsce, a ten zażądał cofnięcia uznania dla rządu emigracyjnego, Polskie Siły Zbrojne przeszły pod dowództwo brytyjskie. Brytyjczycy z kolei postanowili w ciągu następnego roku je rozwiązać. Do Wielkiej Brytanii zaczęły przyjeżdżać polskie misje wojskowe, które agitowały żołnierzy i kadrę za powrotem do kraju. Rozpoczęły się przygotowania do masowej repatriacji żołnierzy do Polski. 16. kompanię Zaopatrywania przeniesiono od połowy stycznia 1946 do Wick w północnej Szkocji. Franciszek wykonywał dalej swoje obowiązki kierowcy jepea, a gdy przyszła na niego kolej, zgłosił się na listę do powrotu do Polski. 11 lipca 1946 roku, rozkazem dowódcy kompanii rotmistrza Wyganowskiego, został przeniesiony do obozu repatriacyjnego nr 100 w Polkemmet, a 15 lipca 1946 – zwolniony z Polskich Sił Zbrojnych poza krajem. Odchodząc z jednostki, otrzymał gratyfikację wojenną i odprawę demobilizacyjną wysokości 48 funtów. Odpłynął do Polski w niedzielę 4 sierpnia 1946 roku, prawdopodobnie z Leith, statkiem „Clan Lament”, z 1604 polskimi repatriantami na pokładzie. W artykule prasowym z 5 sierpnia można było przeczytać, że *pasażerów statku żegnały tłumy ludzi, niedzielni spacerowicze i przyjaciele odpływających do kraju żołnierzy.*

Po powrocie do kraju zamieszkał u rodziców w Moszczenicy. A w styczniu 1947 wziął ślub z Marią. W lutym następnego roku urodziła im się pierwsza córka, potem przyszło na świat jeszcze troje dzieci: dwie kolejne córki i długo wyczekiwany syn. Zamieszkali w Kostuchnie, w domu rodziców Marii. Franciszek podjął pracę w kopalni Boże Dary i pracował na dole do emerytury. Zmarł w wieku 75 lat, w 1992 roku, a jego żona Maria – w 2007. W domu po rodzicach zamieszkał ich syn z rodziną. I to on właśnie odnalazł szkocki zeszyt, który skłonił nas, dzieci, do pójścia po śladach ojca.

Odtworzenie po tylu latach drogi młodego Ślązaka z Moszczenicy, małej wioski graniczącej z Jastrzębiem Zdrojem, od momentu wyjazdu w niemieckim mundurze na wojnę i powrotu z tej wojny w mundurze polskim, wymagało wielomiesięcznej, wręcz detektywistycznej pracy. Stało się to możliwe dzięki nawiązaniu kontaktu z brytyjskim Ministerstwem Obrony, przy którym działa polska sekcja do spraw żołnierzy służących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie (APC Polish Enquiries, Ministry of Defence). Dokumenty te zawierają daty i nazwy jednostek, w których żołnierz służył po wcieleniu go do polskiego wojska, nie zawierają natomiast żadnych nazw miejscowości, gdzie stacjonowały. Na podstawie otrzymanych z Anglii dokumentów, w ustaleniu szkockich nazw miejscowości pomógł nam Robert Ostrycharz, historyk od lat zajmujący się tematyką poloników, syn polsko-szkockiego małżeństwa, urodzony w Szkocji i tam zamieszkały. Natomiast do odtworzenia okresu służby w Wehrmachcie posłużyły notatki w dokumentach angielskich, zapoznanie się z wojenną dokumentacją w archiwach miejskich Krefeld i Moers, jak również opracowania historyczne dokumentujące wydarzenia z końca wojny i wypowiedzi naocznych świadków. Zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów rodzinnych oraz ze zbiorów osób, do których zwróciłam się drogą internetową o ich udostępnienie. Niemieckie archiwum w Berlinie (Deutsche Dienststelle WAST) przesłało tylko wiadomość o przejściu do niewoli i wstąpieniu do polskiego wojska.

W listopadzie 2013 r. otrzymałam jeszcze jedną przesyłkę z Anglii. Wysłana z Gloucester, z nadrukiem Ministry of Defence Medal Office, zawierała medal dla ojca za udział w wojnie i służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. 21 lat po jego śmierci. Powiedziałam mu o tym, spacerując po łąkach nad Renem.

Joanna Kern

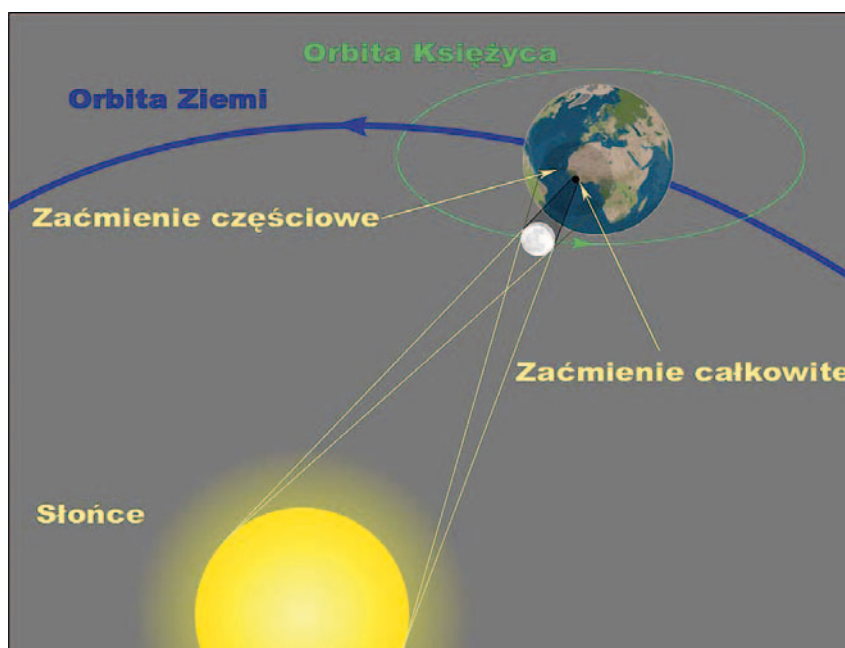
Marcin Szpanko

Zaćmienie Słońca nad Opolszczyzną

Zaćmienie Słońca to jedno z najciekawszych zjawisk astronomicznych obserwowanych przez człowieka. Ten naturalny fenomen na naszym niebie przyciągał uwagę ludzi, odkąd nauczyli się oni poznawać otaczający ich świat. Początkowo, gdy nie była znana jego przyczyna, często wywoływało strach i było traktowane jako zły znak. Najstarsze odnalezione teksty opisujące to zjawisko pochodzą sprzed ponad 4000 lat. Było ono obserwowane w czasach starożytnych przez wszystkie kultury, w których zaczęła rozwijać się astronomia, a w szczególności w tamtych czasach ściśle powiązana z nią – astrologia. Z czasem zaćmienie nie tylko obserwowano, ale również nauczono się przewidywać datę jego wystąpienia. Współcześnie stało się wydarzeniem, które swoim pięknem przyciąga uwagę milionów ludzi.

Całkowite zaćmienie Słońca to nie tylko niezwykle spektakl na niebie. Jego obserwacja w przeszłości, jak i obecnie, ma istotną wartość naukową. Na przełomie XIX i XX wieku to właśnie dzięki zaćmieniom Słońca dokonano bardzo ważnych odkryć w fizyce. W czasie zaćmienia, widocznego w Indiach w 1868 roku, francuski astronom Pierre Janssen odkrył w chromosferze Słońca nieznaną wcześniej na Ziemi pierwiastek – hel. Afrykańskie zaćmienie z 1919 roku zostało wykorzystane przez Arthura Eddingtona do próby zaobserwowania ugięcia światła w polu grawitacyjnym. Uzyskany wtedy wynik dokładnie zgadzał się z przewidywaniami ogólnej teorii względności. Było to pierwsze obserwacyjne potwierdzenie prawdziwości teorii Einsteina i jest uważane za kluczowy dowód jej poprawności.

Wartość naukowa zaćmień nie ogranicza się wyłącznie do nauk przyrodniczych. Są one też cennym narzędziem badawczym w naukach humanistycznych. Ponieważ astronomowie potrafią również wyznaczyć dokładne daty i miejsca występowania ich w przeszłości, używane są do precyzyjnego datowania wydarzeń historycznych.



Czym jest zaćmienie Słońca?

Dla obserwatora na Ziemi występuje wtedy, gdy będący w nowiu Księżyc przechodzi przed tarczą Słońca, przesłaniając ją całkowicie lub częściowo. Ponieważ wzajemne położenie Ziemi, Księżyca oraz Słońca zmienia się, możemy mieć do czynienia z czterema rodzajami zaćmień: częściowym, całkowitym, obrączkowym i hybrydowym.

Zaćmienie częściowe jest najczęściej występującym rodzajem zaćmienia. Obrączkowe występuje wtedy, gdy tarcza Księżyca jest mniejsza niż tarcza Słońca. Ciekawym i bardzo rzadkim jest zaćmienie hybrydowe, które oglądane z jednych miejsc ma charakter całkowity, a z innych – obrączkowy. Każde z zaćmień całkowitych, obrączkowych i hybrydowych widoczne jest poza głównym pasmem zaćmienia jako częściowe.

Skąd wiemy, kiedy nastąpi?

Wyznaczenie momentu wystąpienia zjawiska było jednym z najważniejszych zadań astronomii w czasach starożytnych. Nie potrafiono matematycznie wyliczyć momentu jego wystąpienia, ale zauważono, że



zaćmienia występują w cyklach. Najbardziej znanym i precyzyjnym jest cykl nazwany przez Edmunda Halleya *cyklem saros*, w którym kolejne zaćmienia należące do danej serii występują co 18 lat. Znany był już przez Babilończyków oraz przez Hipparcha i Ptolemeusza. Przez wiele wieków było to podstawowe narzędzie przewidywania zaćmień, wykorzystane m.in. w tak zwanym *mechanizmie z Antykithiry*, niezwykle urządzeniu skonstruowanym w epoce hellenistycznej. Zostało ono odnalezione na początku XX wieku we wraku zatopionego antycznego żaglowca, u brzegów greckiej wyspy Antykithiry. Zawarty w maszynie układ kół zębatych i tarcz pozwalał na obliczanie pozycji ciał niebieskich oraz czasu występowania różnych zjawisk astronomicznych, w tym zaćmień Słońca i Księżyca.

Dopiero z nastaniem ery nowożytnej i poznaniem w tamtym czasie praw fizycznych, które opisują ruchy planet, opracowano matematyczne metody dokładnego wyznaczania czasu występowania zaćmień Słońca. Współcześnie, aby przewidzieć momenty wystąpienia zaćmień, należy posłużyć się działem astronomii nazwanym mechaniką nieba. Mechanika nieba pozwala nam badać ruchy ciał niebieskich. Dzięki niej możemy wyznaczyć i przewidzieć zarówno ruch sztucznego satelity wokół Ziemi, planet wokół gwiazd, jak i badać ruch całych galaktyk. Wyznaczone dokładnie orbity Księżyca i Ziemi pozwalają na obliczenie z dużą precyzją nie tylko czasu wystąpienia zaćmienia, miejsca, z którego może ono być obserwowane, ale również – z jakim jego typem będziemy mieli do czynienia.

Obecna wiedza pozwala na obliczanie tych zjawisk na miliony lat naprzód. Dzięki temu już dziś wiemy, że z powodu oddalania się Księżyca od Ziemi, za około 600 mln lat, nastąpi koniec ery obserwacji całkowitych zaćmień Słońca. I jedynymi zaćmieniami, widocznymi z naszej planety, będą zaćmienia obrączkowe i częściowe.

20 marca br. na Uniwersytecie Opolskim królowała astronomia. W tym dniu w Opolu było widoczne częściowe zaćmienie Słońca, związane z całkowitym za-

ćmieniem przebiegającym przez obszar północnego Atlantyku, Morza Norweskiego i Morza Arktycznego. Obserwowane zjawisko było 61. zaćmieniem serii *saros 120*, którą rozpoczęło – widoczne z Antarktydy – częściowe zaćmienie z 933 roku. Na Opolszczyźnie zjawisko to rozpoczęło się przed godziną 10 i trwało do godziny 12. Natomiast najgłębsza jego faza miała miejsce tuż przed godziną 11, gdy przesłonięte było 66 proc. tarczy Słońca.

Instytut Fizyki UO zorganizował pokaz zaćmienia Słońca w kilku punktach Opola. Pracownicy Instytutu wraz ze studentami Koła Naukowego Fizyków umożliwili bezpieczną obserwację na placu Kopernika, na terenie kampusu przy ul. Oleskiej oraz w Obserwatorium Astronomicznym Instytutu Fizyki. Dodatkowo, na ustawionych ekranach w budynkach Collegium Maius i Instytutu Fizyki można było obserwować transmisję internetową. Doskonała pogoda oraz niezwykłość zjawiska przyciągnęły tysiące zainteresowanych osób – studentów i pracowników uniwersytetu, a także mieszkańców nie tylko Opola, ale całego regionu. Do Instytutu Fizyki, na poprzedzający zaćmienie wykład o Słońcu oraz na obserwację samego zaćmienia, przyjechali uczniowie szkół z różnych rejonów województwa opolskiego. Z samego Obserwatorium Astronomicznego przeprowadzona została również transmisja internetowa zaćmienia, która przyciągnęła przed ekrany komputerów ponad dwadzieścia tysięcy osób z całego świata.

Okazja do obserwacji była wyjątkowa z powodu rzadkości występowania tego typu zdarzeń w naszym regionie. Co roku zdarza się od dwóch do maksymalnie pięciu zaćmień, ale ponieważ obejmują stosunkowo niewielki obszar naszej planety, zwykle na danym obszarze mogą być obserwowane co kilka lub kilkanaście lat. W przypadku Polski, a w szczególności Opolszczyzny, następne zbliżone od ostatniego zjawisko będzie miało miejsce w 2027 roku, natomiast najbliższe całkowite zaćmienie Słońca nastąpi dopiero w 2135 roku.

Marcin Szpanko

Józef Musielok

Gwiazdy na niebie i ziemi

(część I)

Theodor Kaluza (Kałuża) – dzieciństwo, studia i droga do habilitacji

Dziesięć lat temu, w Roku Fizyki, za sprawą profesora Jana Kubika z Politechniki Opolskiej (mechanika i matematyka, z zamiłowania również poszukiwacza śladów po wybitnych uczonych urodzonych na Śląsku), udało się przybliżyć współczesnym Opolanom postać Theodora Kaluzy (Kałuży). Zaangażowanie profesora Kubika w dzieło upamiętnienia wielkiego matematyka i fizyka zaowocowało zorganizowaniem 23 listopada 2005 roku w opolskim ratuszu sesji naukowej poświęconej wybitnemu uczonemu. Umieszczona została również pamiątkowa tablica na budynku, w którym się urodził. W rok później, 27 października, przy udziale znaczących przedstawicieli środowiska polskich astronomów i władz uczelni, miało miejsce uroczyste otwarcie Uniwersyteckiego Obserwatorium Astronomicznego. Obserwatorium – za zgodą Senatu Uniwersytetu Opolskiego – nadano imię Theodora Kaluzy i umieszczono stosowną tablicę pamiątkową. W tamtym czasie ukazało się kilka prac (m.in. Jana Kubika, Bolesława Grabowskiego, Arkadiusza Jadczyka),

które przybliżyły nieco postać wielkiego uczonego i patrona naszego obserwatorium.

Przez 10 lat funkcjonowania obserwatorium odwiedziło wiele osób, głównie młodzieży szkolnej, ale również wielu dorosłych, w tym dużo gości zagranicznych. Przy prawie każdej wizycie ze strony zwiedzających pada pytanie: kim był Theodor Kaluza i dlaczego jest patronem opolskiego obserwatorium? Próbując odpowiedzieć na te często pojawiające się pytania i korzystając z okazji, że minęło 10 lat od pierwszego nagłośnienia postaci Theodora Kaluzy oraz zbliżającej się 130. rocznicy jego urodzin, zdecydowałem się napisać poniższy artykuł, aby na nowo przypomnieć tę wybitną postać nauki.

Kaluza zajmował się dziedziną niełatwą do spopularyzowania. Aby docenić wielkość jego prac, potrzebna jest bardzo dobra znajomość matematyki i fizyki. Dlatego w poniższym artykule skoncentrowałem się na naukowej drodze życiowej, ukazaniu epoki, ludzi nauki i otoczenia, w którym rozwijał się i pracował Theodor

Kaluza do wybuchu pierwszej wojny światowej. W przygotowaniu tego artykułu korzystałem z obszernej monografii Daniela Wuensch pt. *Der Erfinder der 5. Dimension Theodor Kaluza Leben und Werk*, wydanej w 2007 roku.

Historia rodziny Kaluza, sięgająca ponad 300 lat wstecz, wskazuje na jej pochodzenie z Raciborza. Ojciec Theodora, Max Kaluza urodził się w 1856 roku w Raciborzu. Ukończył Królewskie Katolickie Gimnazjum św. Mateusza we Wrocławiu z dobrymi ocenami z łaciny, greki i języka hebrajskiego, natomiast z doskonałą (*vorzüglich*) oceną z matematyki. Mając 17 lat, zdał egzamin dojrzałości i rozpoczął studia teologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Po pięciu semestrach zmienił zain-



Dom na opolskiej Pasiece, w którym urodził się i przez trzy lata mieszkał Theodor Kaluza



Theodor Kaluza jako abiturient (1904)

teresowania i poświęcił się studiom filologicznym – średniowiecznej literaturze angielskiej. W 1885 roku Max Kaluza ożenił się z sześć lat od siebie starszą Amalią Zaruba, córką (Eduarda) posła do Landtagu, właściciela wytwórni cegieł. Rodzina Zaruba wywodziła się z austriackiego rodu szlacheckiego. Amalia Zaruba ukończyła Wyższą Szkołę Urszulanek w Raciborzu, wykazując bardzo duże uzdolnienia językowe (angielski, francuski), ale przede wszystkim w zakresie matematyki i fizyki.

Rodzina Maxa i Amalii zamieszkała w kolonii Wilhelmstahl (obecnie Pasięka), która to kolonia w 1891 roku została włączona do Opola. Zamieszkali w spokojnym, parkowym otoczeniu, w budynku istniejącym do dziś (obecnie przy ul. Strzelców Bytomskich), na którym umieszczona jest tablica pamiątkowa poświęcona patronowi naszego obserwatorium. To w tym domu 9 listopada 1885 roku urodził się Theodor Kaluza. Oprócz imienia Theodor, nadano jeszcze dwa, które nosili jego dziadkowie: Eduard Zaruba i Franz Kaluza.

W tym czasie ojciec Theodora, Max Kaluza, pracował jako nauczyciel języka francuskiego w Katolickim Gimnazjum w Opolu. Doktor Max Kaluza miał jednak ambicje większe niż nauczanie na poziomie gimnazjalnym – pociągała go praca naukowa. Rodzina zdecydowała się więc na opuszczenie Opola i przeniesienie do Królewca (wówczas Königsberg), gdzie jako doktor filologii angielskiej otrzymał możliwość habilitowania się na renomowanym wówczas Uniwersytecie Albertina w Królewcu, a następnie podjął tam pracę ja-

ko Privatdozent języka i literatury angielskiej. Zwieńczeniem jego kariery akademickiej było założenie w 1902 roku czasopisma *Zeitschrift für französichen und englischen Unterricht*.

Theodor Kaluza wyrastał więc w Królewcu. Już w wieku czterech lat nauczył się czytać i pisać, i chętnie rozwiązywał zadania rachunkowe. Ojciec, niegdyś sam bardzo zainteresowany podczas studiów matematyką, podsuwał umiejętnie zadania sprzyjające rozwojowi małego Theodora. Już jako młody chłopiec, towarzysząc często ojcu na uniwersytecie, miał możliwość przysłuchiwania się rozmowom ojca ze światowej sławy uczonymi: Dawidem Hilbertem (1862–1943) i Aleksandrem Minkowskim (1864–1909), którzy wykładali wtedy na Albertinie. Mając dziewięć lat, Theodor mówił już biegle po angielsku i swobodnie czytał dzieła Dickensa. Nauce języków sprzyjały podróże rodziców po Europie, a zawsze zabierali ze sobą swego jedynego potomka. Theodor bardzo szybko opanował też język włoski. W wieku 10 lat, podczas jednomiesięcznego pobytu z rodzicami na Węgrzech, nauczył się podstaw języka węgierskiego i szybko go opanował. Jako dorosły korespondował w tym języku ze swym przyjacielem, znanym matematykiem, Gáborem Szegő (1895–1985). Matka Amalia dbała ponadto o wykształcenie muzyczne Theodora. Młody Kaluza nauczył się grać na fortepianie i organach, z lubością wykonywał sonaty Beethovena. Ojciec natomiast zadbał o to, by dobrze opanował również jazdę konną.

W 1894 roku Theodor Kaluza rozpoczął naukę w Gymnasium Fredericianum, które ukończył w 1903 roku. W tym samym roku, a więc w wieku 17 lat, zdał egzamin dojrzałości i rozpoczął studia matematyki, fizyki i astronomii na Uniwersytecie Albertina, gdzie wciąż pracował jego ojciec. W tym czasie wielcy uczeni Hilbert i Minkowski nie wykładali już matematyki na Albertinie, bowiem sześć lat wcześniej przenieśli się do Getyngi. Katedry po nich przejęli Franz Meyer (1856–1934) i Arthur Moritz Schoenflies (1853–1928) i to na ich wykłady z matematyki uczęszczał Theodor Kaluza.

Fizykę teoretyczną wykladał w tym czasie w Królewcu Paul Volkmann (1869–1945), uczeń Franza Ernsta Neumanna (1798–1895), uważanego za *ojca fizyki teoretycznej*. Uczniowie Neumanna stworzyli na Albertinie słynną szkołę fizyki teoretycznej. To pod okiem jednego z nich, Paula Volkmana (w pewnym okresie rektora Królewieckiego Uniwersytetu), Kaluza przyswajał sobie wiedzę z elektryczności i magnetyzmu, teorii światła, teorii ciepła i elektrodynamiki.

Fizykę doświadczalną na Albertinie wykladał Gerhard C. Schmidt (1865–1949), który m.in. w tym samym czasie (w 1898 roku) co Maria Skłodowska-Curie (1867–1934) zajmował się badaniem radioaktywności toru.

Tajniki astronomii poznawał Theodor Kaluza m.in. u ówczesnego dyrektora obserwatorium astronomicznego Karla Hermanna Struve (1854–1920), znanego przede wszystkim z opracowania teorii ruchu księży-

ców planet, a w szczególności satelitów Saturna. Za te osiągnięcia Struve wyróżniony został w 1903 roku *Złotym Medalem Royal Astronomical Society* w Londynie.

Przytaczam powyższe informacje, które bezpośrednio nie dotyczą osoby patrona naszego obserwatorium, aby przybliżyć nieco niezwykle, przyjazny i niezmiernie korzystny klimat naukowy, w którym miał szczęście żyć i rozwijać swe zdolności i umiejętności Theodor Kaluza. Swych zainteresowań nie ograniczał jednak wyłącznie do matematyki, fizyki i astronomii.

Żywo interesował się psychologią, jak również nauką języków obcych. Podczas studiów przyswoił sobie języki: arabski, rosyjski i udoskonalił włoski. Dobra znajomość wielu języków pozwoliła mu na czytanie nie tylko dzieł literackich, ale również opracowań naukowych. Jego syn Theodor junior we wspomnieniach zapisał, że ojciec potrafił biegle mówić w 17 językach; oprócz wymienionych już uprzednio były to: francuski, grecki, hebrajski, litewski, polski, rosyjski i turecki.

Theodor Kaluza był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym. Nie stronił od prac przydatnych w życiu codziennym. Należało ówczesnie do dobrej tradycji wśród warstw wykształconych, że przyswajano sobie także umiejętności rzemieślnicze. Za namową ojca Theodor dobrze opanował tajniki zawodu stolarza. We wspomnieniach jego córki zawarte są m.in. informacje, że to ojciec skonstruował dla niej domek i meble dla lalek oraz inne zabawki z drewna. Swe stolarskie umiejętności wykorzystywał później także do konstrukcji pomocy naukowych (modeli przyrządów) wykorzystywanych podczas wykładów prowadzonych na Albertinie.

Mając 22 lata, 17 sierpnia 1907 roku, Theodor Kaluza obronił doktorat z matematyki z najlepszą możliwą oceną: *summa cum laude*. Temat pracy brzmiał: *Die Tschirnhaustransformation algebraischer Gleichungen mit einer Unbekannten (Transformacja Tschirnhausa algebraicznych równań z jedną niewiadomą)*. Promotorem pracy był wspomniany już Franz Meyer. Sam autor określał ją jako przede wszystkim *wymagającą pracowitości*.

W semestrze zimowym 1907/08 podjął pracę w charakterze obliczeniowca w Królewieckim Obserwatorium Astronomicznym. Latem 1908 roku przystąpił – przed Królewską Naukową Komisją Egzaminacyjną w Królewcu – do egzaminu na wyższą posadę nauczyciela (*höheres Lehramt*) w zakresie czystej i stosowanej matematyki oraz fizyki. Mógł więc Kaluza starać się o posadę nauczyciela gimnazjum. Jednak zwyciężyła w nim chęć pójścia w ślady ojca i zdecydował się na karierę badawczą – uniwersytecką.



Theodor Kaluza z żoną Anną (1909)

W połowie października 1909 roku udał się na roczne studia do Getyngi, ówczesnej mekki matematyki, gdzie od 1895 roku wykładał Hilbert, a od roku 1902 również Minkowski (który, począwszy od 1907 roku, wykładał tam szczególną teorię względności). Theodor Kaluza uczestniczył m.in. w regularnych seminariach, w których główną rolę odgrywali Hilbert i Minkowski, ale także m.in. znani uczeni, jak Felix Klein (1849–1925), Carl Runge (1856–1927), Karl Schwarzschild (1873–1916) oraz Ludwig Prandtl (1875–1953). Mógł więc Kaluza czerpać wiedzę zarówno z matematyki, fizyki jak i astronomii z pierwszej ręki i to w bezpośrednich kontaktach z już wtedy światowej sławy uczonymi. Podczas tego pobytu Kaluza miał też okazję spotkać się z Henri Poincarégo (1854–1912), który wiosną 1909 roku przebywał przez tydzień na Uniwersytecie w Getyndze.

Po powrocie do Królewca w 1909 roku przedstawił swą pracę habilitacyjną pt. *Studien zur Relativitätstheorie (Badania teorii względności)*. Procedura habilitacyjna obowiązująca na Albertinie wymagała, aby kandydat do posady Privatdozent wygłosił przed członkami wydziału próbny wykład, będący czymś w rodzaju egzaminu. Ten wykład oraz kolokwium habilitacyjne miało miejsce 3 listopada 1909 roku. Theodor Kaluza miał wtedy 24 lata i był najmłodszym habilitowanym na Albertinie (średnia wieku matematyków z habilitacją wynosiła w tym czasie 28,7 roku). Inauguracyjny, otwarty wykład na Albertinie na temat nowych badań dotyczących serii widmowych, a w szczególności zasady kombinacyjnej Waltera Ritza (1878–1909), wygłosił Kaluza 13 listopada. Wybór tematu był prawdopodobnie podyktowany chęcią uhonorowania zmarłego kilka miesięcy wcześniej Ritza, którego Kaluza znał z okresu pobytu w Getyndze.

Dwa tygodnie później Theodor Kaluza ożenił się z Anną Heleną Beyer, córką kupca i siostrą gimnazjalnego kolegi Leo Beyera. Swoją wybrankę poznał w 1906 roku. Anna Helena Beyer uzyskała wykształcenie w zakresie Hauswirtschaftslehrerin (nauczycielka

prowadzenia gospodarstwa domowego) i znalazła pracę w charakterze nauczycielki w dość znacznej odległości od Królewca. W okresie swej pracy na prowincji i pobytu Theodora w Getyndze utrzymywała bardzo intensywną korespondencję. Dzięki finansowemu wsparciu ojca, Maxa Kaluzy, Theodor mógł w tak młodym wieku założyć rodzinę. Zarobki Privatdozenta na Albertinie były bowiem mierne i w związku z tym średni wiek ożenku Privatdozentów wynosił w tym czasie nieco powyżej 32 lat. W październiku 1910 roku młodemu małżeństwu urodził się syn – Theodor junior, a w styczniu 1916 roku córka Dorothea.

Theodor Kaluza wykładał na Albertinie czystą i stosowaną matematykę. Obciążenie wykładami w wymiarze siedmiu godzin tygodniowo pozwalało mu na kontynuowanie prac badawczych. Na 82. Kongres Towarzystwa Niemieckich Przyrodników i Lekarzy, który odbył się w Królewcu we wrześniu 1910 roku, Kaluza przygotował pracę *Zur Relativitätstheorie (O teorii względności)*. Kongresowi przewodniczył fizyk, późniejszy noblista, Wilhelm Wien (1864–1928). Swoje wystąpienie podczas kongresu – na temat *Die Stellung der neueren Physik zur mechanischen Naturanschauung (Stanowisko nowej fizyki w odniesieniu do mechanistycznego poglądu na naturę)* – miał też Max Planck (1858–1947), również późniejszy noblista. W wykładzie wspominał m.in. o pracach Lorentza, Einsteina i Minkowskiego na ten temat. Wnioski z tego wystąpienia były dość oczywiste – zanosilo się na swoistą rewolucję w fizyce.

Ze względu na chorobę Kaluza nie mógł osobiście przedstawić swojej pracy, a została ona odczytana przez inną osobę. Fakt ten prawdopodobnie wpłynął na to, że doniosłość pracy Kaluzy nie została zauważona. Przetawiał bowiem ważne dla późniejszego rozwoju (ogólnej) teorii względności zagadnienie rotującego dysku, które wymagało opisu w geometrii nieeuklidesowej, tzw. geometrii Łobaczewskiego (1792–1850). John Stachel, amerykański fizyk i filozof, w artykule opublikowanym w 1986 roku pt. *The Rigidly Rotating Disc as the Missing Link (Sztwny obracający się dysk jako brakujące ogniwo)*, tak komentuje sprawę pewnej kluczowej dla tej problematyki definicji: *Curiously enough, a paper using a definition of spatial distances on the disc had been published two years earlier by Theodor Kaluza (1910). [...] I have found no evidence that Einstein – or anyone else [...] – was aware of the existence of Kaluza's work. (Ciekawym jest, że*



Anna i Theodor Kaluza z synem Theodorem juniorem (1913)

praca, w której użyto definicji przestrzennej odległości na dysku była opublikowana dwa lata wcześniej przez Theodora Kaluzę (1910) [...]. Nigdzie nie znalazłem dowodu, że Einstein – względnie ktoś inny [...] – był świadom istnienia tej pracy Kaluzy).

Theodor Kaluza brał udział w działalności Towarzystwa Fizyczno-Ekonomicznego w Królewcu (*Physikalisch-ökonomische Gesellschaft in Königsberg*). W piśmie wydawanym przez to Towarzystwo opublikowane zostały również prace Kaluzy, dotyczące m. in. metod rejestracji i odtwarzania obrazów przestrzennych, przydatnych w nauczaniu matematyki. W 1913 roku wygłosił referat na temat *Farbenphotografie und Wahrscheinlichkeitsrechnung (Fotografia barwna i rachunek prawdopodobieństwa)*. W tym samym roku zainteresował się również teorią mnogości, wprowadzoną do matematyki przez Georga Cantora (1845–1918). Na jednym z posiedzeń towarzystwa przedstawił pracę *Ein Problem der Mengenlehre (Pewien problem teorii mnogości)*, w którym zajął się tzw. arytmetyką pozaskończoną.

W 1916 roku Theodor Kaluza został powołany na krótkie przeszkolenie wojskowe, a następnie w październiku wysłany na front w północnej Francji.

Józef Musielok

(fotografie z książki Daniela Wuensch pt. *Der Erfinder der 5. Dimension Theodor Kaluza Leben und Werk*)

Monika Kalla

Szukanie pracy z bronią w ręku

Jestem studentką pierwszego roku magisterskiego w Instytucie Sztuki naszego uniwersytetu. Moje zainteresowanie (przeradzające się z czasem w fascynację) grawerowaniem broni pojawiło się na początku studiów, kiedy zaczęłam zastanawiać się nad tematem pracy licencjackiej. Impulsem była rozmowa z myśliwym, Andrzejem Błahutą. Bardzo mnie zaciekawiło zdobienie broni myśliwskiej. Zaczęłam w różnych źródłach szukać informacji na ten temat. W jednej z gazet myśliwskich natknęłam się na artykuł o Michale Nowakowskim z Dąbrowy Górniczej, który grawerowaniem zajmuje się już od ponad dwudziestu lat. Temat zdobienia broni jest bardzo niszowy, więc chciałam moją pracę konsultować z osobą dobrze znającą to rzemiosło artystyczne.

Grawerowanie broni myśliwskiej to stare XVI-wieczne rzemiosło. Współcześnie jest zajęciem mało popularnym. Wielu osobom kojarzy się raczej z grawerowaniem numerów seryjnych na zamkach czy lufach broni. Nic bardziej mylnego. Grawerunek broni myśliwskiej to niejednokrotnie kilkumiesięczna praca, mozolne sie-



Autorka przy pracy

dzenie nad każdym elementem, troska o najdrobniejszy szczegół. Inkrustacje złotem, angielska *arabeska*, rysunkowe *bulino*, ceniony wśród naszych zachodnich sąsiadów grawerunek z motywem liści dębu, ze sceną rykowiska, złożonym klasycznym ornamentem lub monogramem...

Broń produkowano i grawerowano w Polsce już w XVI wieku, wraz z powstaniem pierwszej broni lontowej. Upiększono ją, bo miała wielkie znaczenie dla posiadacza: służyła nie tylko polowaniu, ale była przedmiotem reprezentacyjnym, dekoracyjnym; stanowiła obiekt dumy, podnosiła pozycję właściciela, często „pozowała” z nim do oficjalnego portretu, zdobiła wnętrze zbrojowni. Z czasem zaczęto używać broni z coraz bardziej wymyślnymi zamkami. Pierwszymi, wyposażonymi w zamek kołowy (czy też kurlandzki – od nazwiska rusznikarza osiadłego w Cieszynie, Georga Kurlanda) były strzelby ptaszniczki, bardzo popularne w XVII i XVIII wieku, służące do polowania na siedzące ptactwo. Strzelby te charakteryzowały się bardzo zgrabną linią kolby w kształcie sarniej nóżki oraz subtelną dekoracją. Jasne drewno zdobiono intarsją i inkrustacją macicą perłową, kością słoniową, rogiem jelenia i mosiądzem. Zdobiono także lufy poprzez rytowanie i złocenie. Dziś strzelby zwane cieszynkami należą do jednych z najbardziej pożądanych przez kolekcjonerów dawnej broni.

Chociaż w Polsce działało niewiele manufaktur zajmujących się fachową produkcją i zdobieniem broni, to jednak były i takie, które kunsztem dorównywały, a czasami nawet przewyższały pracownie europejskie. Na przykład manufaktura powstała w 1786 roku w Tulczynie, efekt inicjatywy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wykonywano tam wyłącznie broń luksusową i myśliwską. O starannym wykonaniu donosił wychodzący w tym czasie „Dziennik Handlowy”: *Strzelby tak piękne i kosztowne, jakich i Paryż zaledwie mieć może (...) strzelb najprzedniejszych, a daleko lepszych nad inne zagraniczne fabryka tu jest.*

W XVII i XVIII wieku w dworach szlacheckich, zamkach i pałacach przechowywano kilkanaście, a czasami nawet kilkaset sztuk bogato zdobionej broni. Grawerunki na broni są nieodłączną częścią historii, kultury i sztuki łowieckiej.

Bogato i kunsztownie dekorowanej broni nie mógł oczywiście wykonać słabo wykwalifikowany rusznikarz czy szyftarz. Do prac przygotowawczych zatrudniano niekiedy cały zespół znakomitych rysowników, wykonujących ogólny projekt oraz szkice poszczególnych elementów. Bardzo popularne były opraco-



Bażanty, kuropatwy oraz inne gatunki ptactwa łownego są najczęściej powtarzającym się motywem zdobniczym na klasycznej broni angielskiej

wania wzorów wydanych w 1572 roku przez Verdemana de Variesa w dziele zatytułowanym: *Panoplia seu armamentarium* oraz w albumie *Venationes* wydanym w 1566 przez Jana van der Straet (Joannes Stradanus) – który specjalizował się w komponowaniu scen myśliwskich. Wytrawni rusznikarze wykonywali części metalowe według przedstawionych rysunków, które w surowym stanie trafiały do dalszej obróbki przez rytowników, wytrawiaczy, cyzelatorów i złotników. Oni zdobili wszystkie metalowe części broni.

Dziś rozróżniamy dwa główne typy grawerunku: głęboki grawerunek niemiecki (kontynentalny), tzw. deep relief, oraz liniowy, delikatny angielski. Ten pierwszy charakteryzuje się ułożeniem sceny w kilku planach, przeważnie na całym zamku broni. Zdobienie to jest wykonywane na wzór płaskorzeźby o głębokości 2 mm. Styl angielski reprezentują dwie techniki: *banknote style* i delikatne *bulino*.

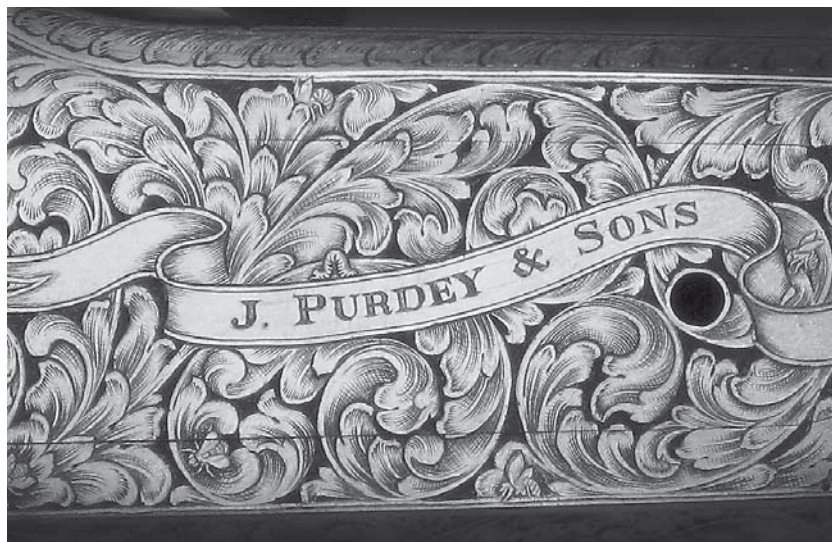
Banknote style, jak wskazuje nazwa, jest spotykany na banknotach i znaczkach pocztowych. Technika ta jest najbardziej pracochłonną i najtrudniejszą ze współczesnych

technik grawerskich, w całej Europie wykorzystuje ją tylko kilkanaście pracowni. *Bulino* natomiast jest techniką najszlachetniejszą (wywodzi się z dawnych technik stalorytnicznych), przypisaną do najbardziej luksusowych modeli broni palnej. Zdobienie to wymaga od grawera najwyższych zdolności artystycznych, rysunkowych, graficznych oraz doskonałej gry światłocieniem. Najlepsi grawerzy posługujący się tą techniką potrafią wykonywać obrazy z fotograficzną dokładnością.

W Polsce ciągle niewielu zajmuje się wyrobem i zdobieniem broni. Ale osoby, które podjęły się tego fachu, są mistrzami w uprawianej dziedzinie, a ich prace grawerskie można śmiało porównywać z pracami najlepszych rusznikarni europejskich. Pracownią skupiającą młodych artystów jest firma Engraver z Dąbrowy Górniczej, zajmująca się grawerowaniem broni myśliwskiej. Założona z inicjatywy

Michała Nowakowskiego i Igora Bronnego ma istotny wkład w propagowanie kultury i tradycji łowieckiej. Firma w dużej mierze opiera się na doświadczeniu Michała Nowakowskiego, pod okiem którego pracują również młodzi artyści plastycy.

Jestem jedną z kilku osób, które tworzą zgrany, uzupełniający się zespół. Działamy zupełnie jak dawne



Powiększony fragment grawerunku na baskili, o rzeczywistych wymiarach 38 x 20 mm. Uważny obserwator dostrzeże w meandrach arabski mikroskopijnej wielkości insekty i owady. Motyw ten powtarza się na całej broni, a wykonanie było niezwykle pracochłonne

pracownie, wspólnie tworzymy i omawiamy projekt. Jedna osoba zajmuje się ornamentem, inna scenami myśliwskimi. Szczególnie dbamy o jakość wykonania, dlatego niektóre egzemplarze broni są ozdabiane przez kilka miesięcy, zwłaszcza jeśli klient życzy sobie pracochłonne *bulino* i dodatkowo inkrustację złotem. Wykonywane są tu zarówno ekskluzywne grawerunki, jak i drobne zdobienia i monogramy na indywidualne życzenie klienta. Firma współpracuje z wieloma polskimi rusznikarniami, a do zagranicznych klientów należą marki takie jak James Purdey & Sons oraz Holland & Holland z Londynu.

Każdy projekt zostaje dokładnie omówiony, po czym z papieru jest przenoszony na metal. Praca o tyle utrudniona, że na metalu ciężko stworzyć dokładny rysunek. Igłą nie można zbyt mocno zarysować, by nie uszkodzić grawerowanej powierzchni. Ponadto pracujemy często na luksusowych modelach broni, w dodatku na powierzonym materiale, więc praca jest bardzo odpowiedzialna, wykonywana z maksymalnym skupieniem. Pomyłki nie można już poprawić.

Historię broni myśliwskiej i dawne techniki jej zdobienia opisałam w mojej pracy licencjackiej. Jednak dokładniejszą charakterystykę i opisy tendencji współczesnego grawerunku planuję zawrzeć w pracy magisterskiej pisanej pod okiem dr. hab. Kazimierza Ożoga. Zbierając materiały do pracy licencjackiej, napisałam maila do pana Michała Nowakowskiego z prośbą o pomoc przy kompletowaniu bibliografii. Odpowiedź otrzymałam następnego dnia, razem z zaproszeniem do pracowni w Dąbrowie Górniczej. Z właścicielem pracowni konsultowałam pracę licencjacką od strony warsztatu i technik gawerskich. Zapytałam też o możliwość odbycia praktyk w pracowni, gdyż zawsze zastanawiałam mnie, czy mogłabym wytrzymać cały dzień nad kawałkiem metalu. I za niedługo zobaczyłam, że praktyki w pracowni gawerskiej to strzał w dziesiątkę, a umiejętności zdobyte w poszczególnych pracowniach Instytutu Sztuki okazały się bardzo przydatne. Otrzymałam bowiem propozycję pracy, z czego jestem naprawdę dumna.

Monika Kalla



Często na broni wykonywanej przez angielskie manufaktury jako ornament roślinny pojawia się oset szkocki. Tutaj, na życzenie klienta, autor wykonał dodatkowo inkrustację 24-karatowym złotem

Stanisław Skakuj

Władza pierwszego kontaktu

Samorządowy debiut Opola

25 lat temu odtworzono samorząd terytorialny w Polsce. Ustawa to wprowadzająca zapoczątkowała reformę działania państwa. Co najmniej przez dwa pokolenia Polacy żyli w państwie rządzone centralnie, w którym o sprawach lokalnych np. budowaniu wodociągów, kanalizacji, dróg, wysypisk śmieci decydowały władze krajowe, one też ustalały jednakowe ceny na wszystko. Nawet cena benzyny była wszędzie jednakowa. Obowiązywały takie same reguły dla dużych miast i małych miejscowości.

Ludzie „Solidarności” podjęli trud zmiany scentralizowanego, nieefektywnego państwa w kraj sprawniejszy gospodarczo i społecznie. Opracowali i wdrożyli reformę samorządową, która zdecentralizowała władzę w kraju, a mieszkańcy uzyskali rzeczywisty wpływ na kształtowanie swojego otoczenia. Była to udana próba zrobienia ryby z zupy rybnej. Powstały gminy, które uzyskały prawo stanowienia prawa lokalnego, podatków, a także otrzymały osobowość prawną i mogły wchodzić w spór z państwem. To gminy zaczęły decydować o zaspokajaniu zbiorowych potrzeb mieszkańców. W gestii państwa, reprezentowanego przez wojewodę, pozostał nadzór nad gminą w zakresie zgodności jej działania z prawem, natomiast nadzór nad finansami gmin powierzono Samorządowym Kolegiom Odwoławczym.

Ludzie i kasa

Po wyborach do tzw. sejmiku kontraktowego społecznicy związani z szeroko rozumianą „Solidarnością”, skupieni w Ruchu Obywatelskim Śląska Opolskiego (ROŚO), zaczęli przygotowania do wyborów samorządowych. Najpierw szkolili się sami, w czym wspierali ich dr Danuta Berlińska i dr Kazimierz Szczygielski. Przedstawiciele ROŚO brali udział w spotkaniach organizowanych przez Obywatelski Klub Parlamentarny (OKP), podczas których przygotowywano kadrę dla samorządów.

Wsparcie finansowe wyborów samorządowych OKP uzyskał z amerykańskiej fundacji NED. Nad funduszami wyborczymi czuwał Henryk Wujec. Opole było ośrodkiem, przez który płynęły finanse wyborcze dla grup w gminach Opolszczyzny. Każda z gmin miała samodzielność finansową i personalną. Czasami dochodziło do podziału w grupach. Byłem skarbnikiem

(wspomagany przez Mirosława Bagińskiego) odpowiedzialnym za przekazywanie i rozliczanie finansów wyborczych. Tam, gdzie nastąpił rozłam, pieniądze przekazywaliśmy każdej z grup oddzielnie. Finansowaliśmy tylko opozycję, tzn. ludzi związanych z „Solidarnością”. Nie były to duże kwoty, ale pozwalały na sfinansowanie materiałów wyborczych.

W Opolu rekrutowaliśmy kandydatów na listy wyborcze głównie ze wskazania Komisji Zakładowych „Solidarności” i ROŚO. Do wyborów, oddzielnie, przygotowywała się również opozycyjna Konfederacja Polski Niepodległej. Występowaliśmy przemienne pod nazwą Komitet Obywatelski Solidarność lub ROŚO. Nie głosiliśmy haseł nadmiernie radykalnych, ale pojawiły się pomiędzy nami pierwsze różnice programowe, których jednak nie nagłaśnialiśmy. Większość uważała, że wymiana ludzi na uczciwych, na swoich, zagwarantuje sukces Opola, choć rządzącym wtedy miastem prezydentowi Tadaszowi Berce i przewodniczącemu Miejskiej Rady Narodowej Stanisławowi Leśniakowi nie zarzucaliśmy nieuczciwości. Kandydatka na radną, Krystyna Cieszyńska, zaproponowała hasło „Opole jest jak zabałaganiony dom, który należy dobrze, najlepiej ze smakiem, umeblować tak, żeby każdemu było w miarę wygodnie”.

W wyborach 27 maja 1990 roku zdobyliśmy władzę w Opolu, na 45 mandatów uzyskaliśmy 23, absolutną większość. Tak na Opolszczyźnie, jak i w całym kraju, skończyła się epoka Rad Narodowych i jednolitej władzy państwowej. Na pierwszej sesji zostałem wybrany na przewodniczącego Rady Miasta (RM), a prezydentem Opola został Jacek Kucharzewski.

Z trzech miesięcy – trzy lata

Przejęliśmy miasto niezadłużone. Powołana została komisja RM, która zinwentaryzowała majątek miasta, żeby przejąć go na własność. Ustawodawca zakładał, że potrwa to 3 miesiące, a trwało ponad 3 lata. Powodem był zbytni optymizm ustawodawcy, a także duża liczba niewyjaśnionych spraw własnościowych dotyczących różnych nieruchomości. Komisją kierował lwowianin Roman Ostrowski. Równocześnie tworzyła się reprezentacja samorządu województwa. Marszałkiem został prof. Leon Troniewski, radny RM Opola. Był to jedyny, jak do tej pory, marszałek pochodzący



Od lewej przewodniczący Rady Miasta Opoli Stanisław Skakuj, prezydent Opoli Jacek Kucharzewski i burmistrz Kuopio podczas podpisywania umowy o przedłużeniu współpracy miast partnerskich, w Kuopio w Finlandii, 6 grudnia 1992 roku

z naszego miasta. Zaczęło się budowanie nowego systemu społecznego i gospodarczego – czas transformacji w Opolu.

Ustawodawca nie doprecyzował rozwiązań dotyczących spraw ważnych dla organizacji samorządu i funkcjonowania administracji kraju. Administracja publiczna to część rządowa i samorządowa. W efekcie braku uregulowań powstały korpusy urzędnicze administracji rządowej i samorządowej o odmiennych uregulowaniach, odnoszących się do zatrudnienia, płac i awansów. W kraju dochodziło do sytuacji, że wójt małej gminy zarabiał więcej niż premier rządu RP, a referent w gminie więcej niż niejeden specjalista w województwie. Tak się dzieje do dziś, mimo że nie jesteśmy pań-

stwem federalnym. Nie ustalono zasad wynagradzania przewodniczących zarządów gmin (wójtów, burmistrzów, prezydentów) oraz wysokości diet radnych.

Podczas spotkania w Pokrzywniej z prof. Michałem Kuleszą, jednym z twórców reformy samorządowej, w dyskusji wskazywałem na te braki, które mogą prowadzić do zachwiania proporcji, a nawet wynaturzeń płacowych. Profesor Kulesza, w swoim idealizowaniu samorządności i aktywności obywateli, zapewniał zebranych, że nacisk wyborców zablokuje nieuzasadnione podwyżki wynagrodzeń i diet. Skutki braku uregulowań odczuliśmy bardzo szybko i odczuwamy do dziś. Przykład: podwyżki, na które – moim zdaniem – w kraju i mieście nie było nas stać.

Stanisław Skakuj urodził się w Biłgoraju (1950), w Opolu od 1975 roku. Żona Aniela, dwoje dzieci i sześcioro wnuków. Szkołę średnią kończył w Krakowie, studia inżynierskie i podyplomowe w Opolu. Pracował m.in. w Zakładzie Energetycznym Zamość, Międzykółkowej Bazie Maszynowej, Predom Service Wrocław – punkt serwisowy w Opolu, Opolskich Zakładach Aparatury Spawalniczej jako konstruktor oraz w Urzędzie Wojewódzkim w Opolu jako dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich. W latach 2000–2009 prowadził własną firmę konsultingową. Zasadniczą służbę wojskową odbył w 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej w Krakowie. Działalność społeczna i polityczna: w 1980 roku przewodniczący koła NSZZ „Solidarność”, członek prezydium Komisji Zakładowej w Predom Service we Wrocławiu. Rok 1990 – członek Ruchu Obywatelskiego Śląska Opolskiego, odpowiedzialny za finansowanie wyborów samorządowych w Opolu i na Opolszczyźnie. Członek Unii Demokratycznej – Unii Wolności do 1997 roku. Członek Rady Krajowej UW. Prezes okręgu opolskiego Unii Polityki Realnej w latach 2006 – 2009. Prezes okręgu opolskiego Kongresu Nowej Prawicy (2011 – 2014). Przewodniczący Rady Miasta Opoli w I kadencji (1990–1994). Przewodniczący Komisji Budżetu RM Opoli II kadencji (1994–1998). Przewodniczący Zarządu Dzielnicy Zakrzów od 2009 – do dziś.

Obrady przy księżycu

Nie wypracowano mierników efektywności działania urzędów. Diety radnych, jako ekwiwalenty za dochody utracone z powodu prowadzenia działalności społecznej, były i są bardzo różne w zależności od postanowienia poszczególnych rad gmin. W Opolu w pierwszej kadencji RM była to wysokość symboliczna – niecałe 200 zł. Jako przewodniczący RM otrzymywałem ok. 700 zł, a prezydent Opola zarabiał tylko 3 średnie krajowe. To z czasem się zmieniło, wynagrodzenia i diety wzrosły. Dzisiaj roczny koszt funkcjonowania RM zbliża się do 1 mln. zł.

W zarządzie miasta w pierwszej kadencji na etatach byli zatrudnieni prezydent i dwóch zastępców, a pozostali członkowie zarządu pracowali społecznie. Ta sytuacja już się nie powtórzyła w Opolu.

Sesje RM zaczynały się o godzinie 14.00, żeby każdy z radnych mógł załatwić sprawy w miejscu pracy, a Opolanie mogli przysłuchiwać się obradom. Trwały one, niestety, długo, a nawet za długo (czasami do godziny 22.00; później udało się kończyć do 19.00).

Uwidoczniły się pierwsze różnice programowe w naszym klubie radnych. Różniło nas zwłaszcza podejście do własności komunalnej. Pytanie podstawowe: czy prywatyzować? Uważałem, że należy prywatyzować własność komunalną, a dochody z prywatyzacji kierować do infrastruktury miasta, szczególnie na pozyskiwanie i zbrojenie terenów budowlanych. Dochody z prywatyzacji nie powinny finansować bieżącej działalności miasta. Proponowałem stworzenie warunków rozwoju budownictwa, szczególnie dla młodych opolan. Program ten zakładał, że chętny do budowania zadłuża się na budowę, a nie na zakup działki. Miasto przekazywałoby mu uzbrojoną działkę w wieczyste użytkowanie, z prawem pierwokupu. Do tego potrzebny był kapitał na pozyskanie i zbrojenie terenów pod budowę. Uważałem, że kapitał powinien pochodzić z prywatyzacji. W swoich poglądach byłem odosobniony. Niestety, nie udało mi się do tego przekonać nawet radnych z Komitetu Obywatelskiego. W rezultacie przegrałem batalię o prywatyzację Opola.

Prowadziliśmy także działania w sferze symbolicznej. Zmienialiśmy nazwy ulic i placów, usuwaliśmy niektóre pomniki. W obliczu groźby zatrzymania budowy Wojewódzkiego Centrum Medycznego, dotacją z budżetu miasta wsparliśmy jej zakończenie. Pierwszy raz pieniądze miejskie przeznaczyliśmy na zadania rządowe.

Długie długi

Bez względu na przynależność polityczną radni byli przeciwni zadłużaniu Opola. Trwało to do 2002 roku. Obecnie miasto jest zadłużone na ok. 250 mln zł, a żadne z ugrupowań reprezentowanych w RM, a także mieszkańcy, nie byli i nie są przeciwnikami zadłuża-

nia Opola. Od lat, przy braku sprzeciwu mieszkańców, władze miasta prowadzą najbardziej prymitywną politykę finansową. Mając do dyspozycji dochody z podatków, obligacji i kredytów oraz pieniądze unijne, systematycznie zadłużają miasto. Jeszcze nasze wnuki będą to zadłużenie spłacać.

Jednym z pierwszych zadań, jakie sobie wyznaczaliśmy, było skuteczne zaopatrzenie Opola w wodę. Fachowcy zaproponowali budowę nowego ujęcia i magistrali dostarczających wodę. Tak też postąpiliśmy. Okazało się, że rynek był rozsądniejszy. Wystarczyło założyć liczniki indywidualnym odbiorcom i zapotrzebowanie na wodę wyraźnie spadło, choć i tak było wyższe na mieszkańca niż na Zachodzie. Pojawiła się sprawa małego zużycia wody. W rurach przesyłowych powinna być zachowana odpowiednia prędkość przepływu, bo gdy ona spada, to na ścianach rur zaczyna się odkładać zawiesina. Stąd w Opolu pojawiła się nadwyżka wody i propozycja jej sprzedaży sąsiednim gminom.

W prognozach zakładaliśmy, że w 2010 roku w Opolu będzie mieszkać około 150 tys. osób. Aktualnie jest nas około 115 tys. Był spór, jakim ośrodkiem w życiu województwa ma być nasze miasto. Czy przykładem rozwoju społecznego i gospodarczego, kuźnią kadr dla samorządów i administracji, mocnym ośrodkiem handlowym, liczącym się ośrodkiem naukowym w kraju? Popierałem tworzenie warunków do rozwoju handlu i usług prowadzonych przez rodzącą się klasę średnią. Stąd moje naciski na prywatyzację m.in. lokali użytkowych. Prywatna własność tworzy perspektywę rozwoju przedsiębiorczości i niezależność od władzy. Taka zależność występuje, gdy właścicielem jest miasto, a kupcy dzierżawcami, bo władza może dzierżawę wypowiedzieć lub uczynić nieopłacalną. Ta zależność umożliwiła powstanie „afery ratuszowej”. Dysponowanie prawem własności przygotowałoby też przedsiębiorców do przyszłej konkurencji z ekspansją sieci handlowych.

Zmalał nacisk wyborców

Niestety, nie odczuwaliśmy nacisku wyborców w sprawach istotnych dla Opola. Poza zainteresowaniem zmianami nazw ulic i dzierżaw lokali użytkowych – nie rządaliśmy pod presją. Systematycznie malał nacisk „Solidarności” i ROŚO, naszego zaplecza społecznego. Ośrodki akademickie też nie inicjowały dyskusji na temat stanu i kierunków rozwoju samorządności w Opolu, które – przypomnę – jest miastem wojewódzkim, akademickim i arcybiskupim. Dla przykładu: próba uzyskania opinii Opolan o przygotowywanym budżecie na 1993 rok skończyła się porażką. Wróciło do nas tylko około 80 wypełnionych ankiet, mimo nagłośnienia sprawy w mediach i instytucjach obsługujących mieszkańców.

Pierwsza kadencja (1990–1994) Rady Miasta minę-

ła szybko, nasz klub radnych się podzielił, w rezultacie przegraliśmy wybory na drugą kadencję. Do władzy doszła Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej (SDRP), spadkobierczyni PZPR, a prezydentem Opola został Leszek Pogan.

Zmiana sposobu działania państwa, wprowadzona ustawą o samorządzie, pozwoliła na rozwój naszego kraju i miasta. Mimo wielu niedoskonałości, aktualnych niestety do dziś, jest to inny kraj i warto było się angażować w przemiany. Jestem przekonany, że można było w Opolu zrobić więcej, odbudować kapitał społeczny, a koszty zmian i funkcjonowania samorządu powinny być niższe. Powinniśmy wtedy maksymalnie odwrócić działania komunistów. Zdecydowanie upowszechnić własność prywatną, zgodnie z zasadą – tyle wolności co własności.

Stanisław Skakuj

Radni Komitetu Obywatelskiego Solidarność (KOS):

Alicja Andruszkiewicz, Krystyna Broszkiewicz, Stanisław Cap, Irena Chmielewska, Stanisław Ciepły,

Jan Feusette, Andrzej Jurkiewicz, Roman Kirstein, Zofia Kupińska, Stanisław Leszczyński, Danuta Lichosik, Stanisław Mentel, Iwona Niedojadło, Witold Nowicki, Roman Ostrowski, Marian Podświadek, Jerzy Przygrodzki (radny do 1992 r.), Andrzej Rybarczyk, Stanisław Skakuj, Mieczysław Sokołowski, Ireneusz Sołek (radny od 1992 r.), Alfred Strzyż, Ferdynand Warwas, Bogdan Wedemski, Katarzyna Wencel.

Pozostali radni Opola pierwszej kadencji (1990–1994):

Tadeusz Berka, Zbigniew Chmiel (radny od 1994 r.), Tadeusz Drozd, Władysław Hyjek, Andrzej Kijas, Aleksander Kochanowski, Jerzy Lach, Ernest Mittmann, Zbigniew Pałac, Bronisław Pichurski, Stefan Ptaszek, Jerzy Szteliga (radny do 1994 r.), Leszek Warmuzek.

Zarząd Miasta Opola (tworzyli go radni z KOS):

prezydent Opola: Jacek Kucharzewski, zastępcy prezydenta: Władysław Olszewski i Wojciech Drop. Członkowie zarządu: Mirosław Bagiński, Krystyna Cieszyńska, Zbigniew Marschal, Seweryn Plebanek.



W pracowni malarstwa i rysunku Instytutu Sztuki UO. Zajęcia prowadzi prof. Edward Syty (na zdjęciu z prawej).
Fot. Tadeusz Parcej

Wojciech Dindorf

Gorzka kawa Szeherezady

Jestem pod silnym wrażeniem przeczytanej z uwagą autobiografii ks. Mieczysława Malińskiego pt. „Ale miałem ciekawe życie”, wydanej przez wrocławską oficynę WAM.

Refleksji tak wiele, że bez przelania myśli na papier, a co za tym idzie – bez jako takiego ich uporządkowania, nie byłbym w stanie wyrazić mojej oceny, wewnętrznego buntu, poczucia krzywdy i niesprawiedliwości, jaka spotkała Człowieka osądzonego bez procesu sądowego, skazanego bez odczytania wyroku. A wyrok został wykonany. Może i lepiej, że „Oskarżony” nie musiał chodzić po sądach, bo zaufania do instytucji, która gdzieś tam w nazwie przemycła wielkie słowo sprawiedliwość – nie mam. Nie mam od czasu bezkarnej upublicznionej, obraźliwej tzw. listy Wildsteina, zatytułowanej „Lista agentów i pokrzywdzonych”.

Każda książka telefoniczna to także lista ofiar i przestępców. Jestem na obu listach, choć sam nie jestem pewny, czy to ja (u Wildsteina oczywiście, bo w telefonicznej przynajmniej miejscowość zamieszkania jest prawdziwa). Jestem w towarzystwie czterech Malińskich i siedmiu Panufników. Ale książki telefonicznej nikt nie odważyłby się oficjalnie nazwać listą łobuzów i ludzi uczciwych, choć taką niewątpliwie jest.

Gdyby Panufnik żył, miałby wiele do powiedzenia na temat werbowania do współpracy z UB czy, po 1956 roku, z SB. Nikt się nie dowie, ile podpisów Andrzej Panufnik złożył w urzędach paszportowych, nie czytając, co podpisuje.

Przyjmujemy z honorami – i słusznie – jego najbliższą angielską rodzinę. Wielki polski kompozytor, niebywały talent muzyczny był „na ty” z PRL-owskim ministrem kultury i sztuki, komunistą, generałem Włodzimierzem Sokorskim, etatowym posłem na sejm, członkiem KC PZPR. Każda filharmonia w Polsce wprowadza do repertuaru utwory Panufnika, kompozytora zupełnie zapomnianego, odkąd nie wrócił z oficjalnej wyprawy na Zachód, a paszport wydany przez PRL zamienił na angielski. Andrzej Panufnik przyznaje, że kilkakrotnie spędzał wakacje w rządowych ośrodkach wypoczynkowych. Musiał tam spotykać całą galerię szubrawców – między innymi.

Obchodziliśmy Rok Panufnika – i słusznie. W TVP Kultura i w radiowej „Dwójce” prezentowano jego trudne, a bardzo wysoko przez specjalistów oceniane utwory. W wydawnictwie „Marginesy” ukazała się trudno dziś osiągalna biografia Panufnika, który jest u nas mało znany, nawet jako autor takich utworów, jak piosenka powstańcza „Warszawskie dzieci, idziemy w bój” czy przedwojenny kabaretowy przebój Adol-

fa Dymyzy „Ach pardon, och pardon, żegnam panią, poszła won”.

W tym roku ksiądz Mieczysław Maliński obchodzić będzie 92. urodziny. Nie byłoby chyba grzechem ogłoszenie 2015 roku Rokiem Mieczysława Malińskiego. W katolickiej, targanej sprzecznościami Polsce, w PRL inwigilowany przez UB i SB, przez kilkadziesiąt lat trwający w przyjaźni ze świętym Karolem Wojtyłą, towarzysz jego wędrówek i pielgrzymek papieskich, człowiek mający w dorobku około 100 książek powinien doczekać się należnego mu uznania. Wygłosił tysiące wspaniałych, krótkich kazań w kościołach, nie tylko w Polsce. Niezrównany spowiednik i rekolektant. Autor papieskich biografii, konsultant filmu o św. Janie Pawle II.

Doczekał się w wolnej Polsce pomówień, oszczerstw, oskarżeń, poniżeń, krzywd niewyobrażalnie wielkich.

Jeśli żyje ktoś, komu krzywdę wyrządził, zaszkodził w czymkolwiek, jeśli wie, że ktoś płakał z powodu krzywdy wyrządzonej przez ks. Mieczysława Malińskiego – niech o tym doniesie. Najlepiej do redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Niech da naczelnemu argument uzasadniający wydalenie wieloletniego współpracownika.

Urodziłem się w czepku i w dodatku w niedzielę. Gdybym miał wymienić wszystkie szczęścia, które mnie spotkały, to pewnie wysoko w hierarchii tych szczęść znalazłoby się poznanie tych dwóch Osób. Jedna z nich siedziała naprzeciw mnie, druga po mojej prawej stronie, przy stole weselnym w Krakowie. Byli to: prof. Andrzej Szczeklik (wygłosił wykład w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych na Uniwersytecie Opolskim) i ks. Mieczysław Maliński. Było to podczas kolacji weselnej Kingi i Stanisława Kwiecińskich. Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Atmosfera nie do zapomnienia. Przy choince i setkach świec śpiewaliśmy kolędy. Przy fortepianie, na zmianę, prof. Andrzej Szczeklik i ja – kilka kolęd zagraliśmy na cztery ręce.

I tak, okrężną drogą, dotarłem do opowieści o tym, jak... zostałem szpiegiem.

Jako urodzony w czepku, 30-letni fizyk w opolskiej WSP, otrzymałem stypendium Fulbrighta na okres siedmiu miesięcy (lipiec 1961 – luty 1962) do USA w celu zapoznania się z systemem oświaty sterowanym w USA przez Ministerstwo Zdrowia, Edukacji i Spraw Socjalnych.

W związku z tym byłem kilkakrotnie wzywany do opolskiej komendy milicji, czasem na rozmowę, czasem „przez pomyłkę”. Wzywali mnie chyba po to,

by sprawdzić moją wytrzymałość nerwową. Odniosłem wrażenie, że nie wiedzieli o tym, jak byłem zahartowany w konfrontacji z ich sposobem nękania, kiedy 14 lat wcześniej, w Ząbkowicach Śląskich, po kilkakrotnych odwiedzinach w mieszkaniu na Polnej 14 (byłem wtedy w III klasie gimnazjum) i szczegółowej nocnej rewizji w mieszkaniu, aresztowano mojego ojca na kilka miesięcy. Zarzut: sabotaż, a tak naprawdę – przynależność do lwowskiego AK. Każdy przesłuchiwany w rodzinie podpisywał wtedy szereg oświadczeń, których nawet przeczytać nie było kiedy.

Teraz, w Opolu, po kilku wezwaniach i wizytach w mieszkaniu przy Matejki 12, otrzymałem zezwolenie na paszport po podpisaniu kilku deklaracji, każda w paru egzemplarzach. Urzędnik trzymał papiery w plik złożone, odchyłał prawy dolny róg, mówił, że to kopie kalkowe tego, co podpisałem na oryginale i trzeba było podpisywać wszystko, co mi podsunęto.

Po powrocie do Polski były chyba ze trzy wizyty. Niby, ot tak, przy okazji. Pytania zbywałem, tak jakbym w ogóle niczego z nich nie rozumiał. Muszę przyznać, że nadonosilem, ile się dało: na hańbienie polskiego godła i polskich bohaterów narodowych w sklepach w Chicago, gdzie widziałem np. musztardę „Orzeł Polski”, kielbaski „Kościuszko” itp. Na tzw. polską prasę czy polską TV Chicago, gdzie wiadomości z Polski (i nie tylko) przeplatane są reklamami usług pogrzebowych, środków na biegunkę czy papierosów Marlboro (u nas jeszcze niewyobrażalne), że trudno się połapać, o co chodzi. Mówiłem o Polskiej Komnacie jako jednej z najładniejszych w Tower of Learning, na uniwersytecie w Pittsburgu i o tym, że zostawiłem tam duży album o Polsce i kilka egzemplarzy miesięcznika „Poland”. Chwaliłem się przesadnie działalnością propagandową polskiej grupy stypendystów (po jednym z Gdańska, Pszczyzny, Wrocławia i Opola).

Cztery lata po powrocie ze stypendium, a przed ponownym wyjazdem do Stanów (po rutynowych kontaktach z SB w Opolu i potem w MSZ w Warszawie), zanim ponownie wręczono mi służbowy paszport, na spotkaniu z funkcjonariuszem w stołecznej kawiarni „Szeherazada” polecono mi zapamiętać hasło: *Jak smakowała kawa w Szeherazadzie?*

Tym hasłem miał się zwrócić do mnie jakiś umyślny w Nowym Jorku. Jechałem właśnie do pracy w Szkole ONZ (United Nations International School) na zapotrzebowanie zgłoszone przez ambasadora PRL przy ONZ Bohdana Lewandowskiego (sekretarzem generalnym był wtedy U-Thant). Na to hasło był i odpowiedni odzew. Hasło pamiętam do dziś, odzewu... zapomniana-



Na zdjęciu (od lewej): dr Stanisław Kwieciński, obecnie dyrektor British Community International School w Krakowie, ks. dr Mieczysław Maliński, Wojciech Dindorf, dr Kinga Kwiecińska (pediatra)

łem, zanim wyszedłem z Szeherazady. Oczywiście znowu musiałem podpisać kilka dokumentów, w kilku kopiach każdy. O lojalności wobec Ojczyzny Ludowej i godnym zachowaniu się na obczyźnie, o przekazywaniu 5 proc. otrzymywanych tam dochodów na fundusz stypendialny Ministerstwa Oświaty.... To było normalne. I było niczym w porównaniu do dokumentów, które trzeba było podpisać w konsulacie USA: o nierozpowszechnianiu rasistowskich poglądów, o niebraniu udziału w manifestacjach antyrządowych, o nieposiadaniu żadnych zamiarów odnośnie obalenia rządu USA. W obu urzędach nie było szansy nie złożyć podpisu na podsuniętym formularzu. Choćby to była zgoda na poderżnięcie sobie gardła.

Jeśli mi jakiś wojewódzki czy centralny IPN pokazuje podpisaną przez mnie deklarację współpracy z SB z tamtych lat lub – co gorsze – z FBI, to nie będę nawet próbował się bronić. Tak. Podpisywałem, co mi pod rękę podłożono, po kilku godzinach siedzenia na korytarzu w komendzie milicji czy w innym urzędzie paszportowym. Byle tylko wyjechać. Zawsze wracałem. Nigdy świadomie nie doniosłem na nikogo cokolwiek, co mogłoby mu zaszkodzić. Dlatego nie chcę widzieć swoich teczek. A dziwiłbym się, gdybym tecki nie miał, bo w końcu przez sześć lat pracowałem w USA na paszporcie polskiego MSZ (co dwa lata powtarzana była cała procedura i prośba o przedłużenie).

A dalszy ciąg „kawy w Szeherazadzie”? Jeśli kogoś interesuje – to bardzo proszę.

Pracując w UNIS, po roku założyłem Klub Dyskusyjny dla dzieci polskich pracowników biur LOT-u, Orbisu, Biura Rady Handlowego itp. Najpierw spotykaliśmy się w Przedstawicielstwie PRL do ONZ. Potem, kiedy Klub przerodził się w regularną Sobotnią Szkołę Polską, pomieszczenia udostępnił nam UNIS. Nauczycielkami-wolontariuszkami zostały żony pracowników wyżej wymienionych placówek (kilka z

pełnymi kwalifikacjami), mające dość czasu, by raz w tygodniu uczyć tego, co najlepiej potrafiły. I oto pewnego dnia jeden z ojców, powiedzmy, że Kowalski, po którejś wywiadówce, wychodząc z budynku, zapytał mnie: *A jak dyrektorowi smakowała kawa w Szeherazadzie?* A więc – stało się.

– Panie Kowalski! – mówię. – Niech pan nie czeka na odzew, bo zapomniałem. Dobrze pan widzi, co ja tu robię. Po pięciu dniach ciężkiej harówki w UNIS, w obcym języku i całkiem obcym mi systemie, w sobotę jestem za darmo woźnym i dyrektorem Polskiej Szkoły. Żadnych dodatkowych zadań nie udźwignę. Tajemnic

nie chcę znać, bo wypaplam wszystko. Albo, jak ten odzew, zapomnę. *Forget it!*

Poszliśmy na kawę do najbliższego Drug Store. I, przysięgam, dali mi spokój. Raz tylko ktoś inny chciał ode mnie dostać listę nauczycieli szkoły ONZ. Wiedziałem, że cokolwiek im dam, to potem mają mnie w rękę. „Doniosłem” więc, że pełna lista jest ogólnie dostępna, wywieszona w szkole, jest jeszcze biuletyn ze wszystkimi informacjami dotyczącymi szkoły, który dostaje każdy rodzic.

Wojciech Dindorf

Adam Wierciński

Wczoraj i przedwczoraj w Bołszowcach

Andrzej Krzczunowicz, ostatni panicz z bołszowieckiego dworu, napisał i ogłosił wreszcie swoje wspomnienia. Tyle wyjaśnień czy przypisów należałoby dodać do tego zdania. Bo gdzie te Bołszowce? Tam, gdzie Gniła Lipa zdążyła do Dniestru (*vide*: Roman Aftanazy, *Dzieje rezydencji...*, t. VII: *Dawne województwo ruskie: Ziemia Halicka i Lwowska*; przed wojną: województwo stanisławowskie, powiat rohatyński). Krzczunowicze to rodzina ormiańska, od XVII wieku osiadła na Pokuciu, po „nobilizacji galicyjskiej” w 1785 roku mieszkali w Olejowie pod Kołomyją. Bołszowce w ich rękach pozostawały od 1830 roku; znany działacz galicyjski, Walerian Krzczunowicz, kupił je od spadkobierców po Józefie Małeckim. Syn Waleriana, Kornel (1815–1881), był posłem na Sejm Galicyjski i do Rady Państwa, wnuk – Aleksander (1863–1922), też polityk i poseł. Ostatnim właścicielem Bołszowic był Kornel Krzczunowicz (1894–1988), sławny kawalerzysta, społecznik, ziemianin i pisarz historyczny. On to, kiedy szczęśliwie wrócił z wojny, wznosił w latach 1927–1929 nowy dwór. Z trójosiowym ryzalitem, z portykiem jońskim w wielkim porządku: na trójkątnym frontonie tarcze herbowe Krzczunowiczów i Lubienieckich. I z łamanym, czterosпадowym dachem. Taki jak z obrazka, jak z przełomu XVIII i XIX wieku, kiedy powstawały najpiękniejsze polskie dwory. Budowane zgodnie z tradycją „na jedenastą godzinę”. A przedtem była straszna wojna z bolszewikami, Armia Konna u bram Lwowa i bitwa pod Komarowem (31 VIII 1920), największa od czasów napoleońskich

bitwa kawaleryjska: stanęło w polu sześć pułków kawalerii po stronie polskiej, dwadzieścia – po stronie Siemiona Budionnego. Wspomnienie po latach: *Nie potrzebuję zapewniać czytelnika, że szarża całego pułku w rozwiniętym szyku, wzorowo wyrównanym, była bezwzględnie najpiękniejszą chwilą mojego życia* (Kornel Krzczunowicz, *Ostatnia kampania konna...*, Londyn 1971, s. 285). Dowódca szarżującego 8. pułku ułanów Ks. Józefa Poniatowskiego był wtedy rotmistrzem i miał dwadzieścia sześć lat.

Jak pisać o przodkach znanych z historii, z literatury, i z obrazów Kossaków – Wojciecha i Jerzego? O rodzinie z trzema hasłami w Polskim Słowniku Biograficznym (Walerian, Kornel, Aleksander Krzczunowiczowie)? Łatwo o megalomanię, łatwo też o mitologię. Jak sobie z tym poradził późny wnuk, sam publicysta, dyplomata i pisarz polityczny, pracownik Radia Wolna Europa i dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu, pierwszy ambasador Rzeczypospolitej przy NATO i wykładowca tyłu uczelni (Akademia Polonijna w Częstochowie, Uniwersytet Opolski, Polski Uniwersytet na Obczyźnie). I prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Autor kilku książek, współpracownik paryskiej „Kultury” i „Kontaktu”, londyńskiego „Dziennika Polskiego” i nowojorskiego „Nowego Dziennika”.

Andrzej Krzczunowicz przyznał, że wspomnienia pisze właściwie na zamówienie; syn Autora, bratanica i bratankowie (dzieci braci – Jana i Aleksandra) do tego się przyczynili. Ale najpierw była podróż w czasie i przestrzeni. Autor zawiózł młodszych krew-

nych do Lwowa, Stanisławowa i Bolszowiec. Wspomina tamtą wyprawę: *Nie muszę mówić, że zainteresowanie młodszego pokolenia było wielkie. Zadawali pytania, oglądali, szperali, robili zdjęcia. Pytania, które często powracały, brzmiały: jak się żyło tutaj przed wojną, jak wyglądała codzienność, jaki był podział pracy między sporym dworem a folwarkiem i kluczem majątków ziemskich kilku tysięcy hektarów. Jakie były stosunki między dworem a miasteczkiem i jego mieszkańcami? Pytania te zapoczątkowały niniejsze wspomnienia [...]. Krótko mówiąc, namówiony przez młodzież, postanowiłem uzupełnić wrażenia z wycieczki rodzinnej opisem dnia codziennego w dworze w Bolszowcach w ostatnich latach przedwojennych. Przekazanie tych wspomnień młodszemu pokoleniu jest o tyle ważne, że czasy te nigdy już nie powrócą zważywszy radykalną zmianę układów politycznych i społecznych, wiedza zaś o życiu i dokonaniach własnych przodków jest podstawą każdej rodziny* (s. 6–7).

Tym, którym się wydaje, że ukazało się ostatnio za dużo wspomnień kresowych, a w szczególności profesorowi z Francji, który pisze, gdzie może, o szalejącej rzekomo dziś w Polsce „kresomanii”, do sztabucha: *W naszej najnowszej literaturze jest już sporo wspomnień kresowych. Wyczytałem jednak ostatnio, że w Niemczech jest 1400 placówek wszelkiego rodzaju upamiętniających ziemię straconą na wschodzie. W Polsce mało jest instytucji tego rodzaju, tym ważniejsze jest zatem udokumentowanie historii i osiągnięć tyłu naszych wcześniejszych pokoleń. Podkreślam przy tym, że nie może tu być mowy o jakimś rewizjonizmie czy rewindykacjach. Po prostu historia, nieprzypadkowo Pani, zrobiła swoje* (s. 10).

Autor nie ogranicza się tylko do spraw rodzinnych, wyznacza sobie ambitniejsze cele: *Po pierwsze pragnę przekazać obraz „dawnych dobrych czasów” dalszym pokoleniom, nie tylko w naszej rodzinie [...]. Po drugie sądzę, że sprawiedliwość wymaga przypomnienia choć pokrótce losów tych mieszkańców Bolszowiec, których już tam nie ma, to znaczy Polaków i Żydów [...]. „Last but not least” chcę uwydatnić fenomenalny wysiłek mego Ojca przy odbudowie Bolszowiec po straszliwych zniszczeniach Wielkiej Wojny, kiedy to dwukrotnie front austriacko-rosyjski przechodził przez dolinę Gnilej Lipy i nie omieszkał zatrzymać się tam przez parę miesięcy za każdym razem, siejąc grozę i spustoszenie”* (s. 9–10). W Bolszowcach-miasteczku przed I wojną światową mieszkało kilka tysięcy różnorodnych



Dwór Krzeczułowiczów w Bolszowcach, w d. powiecie rohatyńskim

nych mieszkańców, w 1917 r. mieszkało ich kilkadziesiąt, tak, kilkadziesiąt osób!

A jak się pilnować przed zbytnim sentymentalizmem czy megalomanią, jak traktować niecodzienne, wczorajsze bytowanie? Autor stara się zachować proporcje: *Zdaję sobie sprawę, że dzieciństwo miałem szczególnie uprzywilejowane, że inni Bolszowieczanie mojego pokolenia nie będą mogli utożsamiać z moimi wspomnieniami synka ziemiańskiego, nazywanego wtedy niekiedy paniczem. Jedną z moich rówieśniczek, z którą rozmawiałem po tylu latach we Wrocławiu, powiedziała mi: „Wam to było dobrze, mieliście gdzie uciekać kiedy przyszli bolszewicy. Nam to nie było dane”. Święta prawda, ale też nikt inny w Bolszowcach poza moim Ojcem nie był w tym czasie poszukiwany listem gończym przez NKWD jako „pamieszczyk”* (s. 10).

I potoczyła się opowieść o szczęśliwym dzieciństwie na ziemi wielu kultur, o żydowskich sklepikach w miasteczku, o biedocie gnieźdzącej się w osadzie, o ukraińskim życiu kulturalnym, o Cyganach i Karaimach, o postaciach zapamiętanych przez wrażliwego chłopca (Żyd Józef Klein, który odwdzięczy się za Sowieców bańką gorącego mleka, stary stróż nazywany przez dzieci Janem na Bramie), o cerkwi bolszowieckiej (od dzisiejszego księdza unickiego Autor się dowie, że jego Ojciec pomagał odbudować dom Boży po I wojnie), Babcie (Irma w Bolszowcach, Felcia we Lwowie). Opis dworu. Obrazy na ścianach. Postacie. Krewni i guwernantki (o Marie Rose: *po owdowieniu osiadła w domu spokojnej starości w Genewie, gdzie ją co roku odwiedzałem przy okazji wycieczek narciarskich. Po dziś dzień myślę o niej z miłością i wdzięcznością*, s. 36). O życiu codziennym, o nauce domowej, o nauczycielach – studentach UJK, o podróży do Truskawca z mamą, o porach roku, o krajobrazie, o kalendarzu robót rolniczych i kalendarzu kościelnym. Dy-

gresja Autora o roli dworu w tamtej przestrzeni: *Na biednej, zacofanej wsi galicyjskiej, dwór był oknem na szerszy świat, pośrednikiem dla idącej do nas z zachodu kultury [...]. Ale nawet po utracie majątków znaczna część tej tradycji przetrwała w świadomości potomków. Pamięć ta jest tym bardziej potrzebna dla utrwalenia własnej tożsamości, że za czasów komunistycznych starano się ją zniszczyć, a przynajmniej oczernić. Tymczasem sami komuniści, zabrawszy ziemianom ich majątki, zręcznie uwłaszczyli się w chwili upadku ich państwa zwanego ludowym. Znam nawet niektórych działaczy stronnictwa ludowego, którzy są dzisiaj prawdziwymi obszarnikami. Można chyba powiedzieć, że w wiecznie obracającym się kole historii, przykład na szczęście idzie z góry. Zresztą ziemianie byli, w swoim czasie, tym, czym są dzisiaj przedsiębiorcy* (s. 92). O przodkach pisze bez namaszczenia: o Kornelu z XVII wieku, który otrzymał od Jana II Kazimierza monopol usług pocztowych, o innym, który pędził duże stado wołów za armią Jana III Sobieskiego idącą na Wiedeń, o pierwszej nie-Ormianie w rodzinie; pojawiła się dopiero w połowie XIX wieku (Izabela z Suchodolskich). I podziw dla Ojca, który zrezygnował z kariery wojskowej (został przyjęty po I wojnie do Wyższej Szkoły Wojennej), odbudował majątki, zbudował piękny dwór i wszystko utracił: *Nie mogę pominąć tej okazji, by wyrazić podziw dla postawy Tatusia, który mimo straszliwych strat, do końca długiego życia (1894–1988) zachował tak charakterystyczny dla niego optymizm i odporną na wszelkie próby pogodę ducha* (s. 134).

O spotkaniach z wczorajszymi i dzisiejszymi mieszkańcami Bołszowiec; pani kustosz Kaplicy Boimów pochwaliła się, że ma nad Autorem tę przewagę, że urodziła się w jego domu, a on „tylko” we Lwowie (za sowieckich czasów we dworze był szpital): *Matka tej pani pamiętała z kolei swoje czasy szkolne w Bołszowcach. Mimo że Ukrainka zaśpiewała mi jako dowód jakąś polską piosenkę legionową, stwierdziła też, że nie było przed wojną w Bołszowcach żadnych konfliktów etnicznych. To miało się niestety zmienić* (s. 152). O wojnie, o tym, co się działo „za pierwszych Sowietów”, o wywózkach i strachu, o niemieckiej okupacji i „ostatecznym rozwiązaniu”, o pogromach i kokietowaniu Ukraińców przez Niemców, i o „czerwonych nocach” nie tylko w okolicach Bołszowiec. O stosunku do utraconego dziedzictwa autocytat z paryskiej „Kultury” (4/1996): *We Lwowie i Bołszowcach kamienie mówią do mnie po polsku, ale utrzymują je – na ogół nieźle – Ukraińcy. Oni zaś, którym własna państwowość wymykała się przez tyle stuleci, potrzebują jeszcze trochę czasu, by oswoić się ze świadomością, że Kijów zbudował wprawdzie geniusz Rusi, Lwów natomiast geniusz Rzeczypospolitej, tak jak u nas przyznaje się już bez trudu, że zabytki Śląska i Pomorza wybudowali Niemcy, którym dostęp do ich własnej spuścizny*

kulturowej jest teraz otwarty. Tędy więc droga do przyszłości (s. 173). Ale przypomni też Autor, że przy odsłanianiu przy Wzgórzach Wuleckich pomnika profesorów lwowskich, zamordowanych przez Niemców w lipcu 1941, nikt się nawet nie zająknął (delegacja z Warszawy też milczała), że to byli polscy profesorowie. I wstrząsający list – utwór w utworze – dawnej mieszkanki Bołszowiec, która odwiedziła je po 30 latach. Minęły znowu lata, było ich też 30, i korekta pióra Autora. Dla równowagi i pełni obrazu. I jeszcze długa lista Ukraińców piszących do Ojca autora wspomnień, z Bołszowiec do dalekiego Londynu (o świadectwa pracy m.in.). Spotkanie z pielęgniarkami i lekarzami w szpitalu przerobionym z dawnego dworu: *Pojawia się „hołowny likar” Stepan Hryhoryszyn. Dziękuje mi, bez cienia ironii, za to, że wybudowaliśmy mu taki piękny szpital. Prowadzi mnie do tak zwanej Polikliniki [...]. Zawiera przychodnie i pomieszczenia administracyjne* (s. 192). A jeszcze streszczone historie dawnych bołszowczan mieszkających dziś na Dolnym Śląsku i Opolskim. Niektóre losy też godne dłuższej opowieści.

Ostatnie zdania budujące: o tablicy w Bołszowcach (dawny szpital stał się domem spokojnej starości) informującej o tym, kto i kiedy zbudował dwór. I o napisie w kaplicy grobowej Krzczunowiczów na Cmentarzu Łyczakowskim. Zakończenie jak z powieści. Na przekór złym losom. *Trudno o bardziej zadowalające pokwitowanie perypetii wygnańczych naszej rodziny – przyznał Andrzej Krzczunowicz. Ostatni panicz z dalekich Bołszowiec.*

Adam Wierciński

Andrzej Krzczunowicz, *Bołszowce. Wspomnienie o dzieciństwie na Kresach*, Warszawa 2014, Wydawnictwo DiG, il.

Postscriptum. Budzi zdziwienie brak indeksu osób w książce wspomnieniowej, w której przewija się tyle nazwisk z różnych kręgów i środowisk. Nazwisk historycznych i znanych tylko w rodzinie. Zabrakło też choćby schematycznej mapy Galicji Wschodniej (mapka Bołszowiec i okolic to za mało). Tu i tam niedopatrzenia redakcyjne; na s. 63: *Śniatyń, od Śniatynia* (powinno być: „Śniatyn”, „od Śniatyna”, jak „Rohatyn”, „Rohatyna”), na s. 174: *wzgórzach Wuleckich* („Wzgórzach Wuleckich”), na s. 192: *hołowny likarz* („hołowny likar”), na s. 122: *Józefa Mehofera* („Józefa Mehoffera”), na s. 154: *z podhajeckiego* („z Podhajeckiego”). A te zapamiętane z dworskiej kuchni *kółka i pierścienie, które można było podnosić* [na blacie pieca] *razem lub osobno* (s. 42), to były zwyczajne fajerki.

A. W.

Włodzimierz Kaczorowski

Walka o tron

W bitwie pod Byczyną w ciągu kilkudziesięciu minut zginęło ponad 3 tysiące ludzi, pole zasłane było poległymi, śnieg zaś poczerwieniał od krwi.

Bitwa pod Byczyną, stoczona 427 lat temu na ziemi śląskiej, rozstrzygnęła walkę o tron polski. Echa tego wydarzenia znaleźć można w dziele Reinholda Heidensteina *Rerum Polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti libri XII*, opublikowanym przez syna Heidensteina, Jana, w 1672 r. we Frankfurcie nad Menem (przekład polski Michała Gliszczyńskiego, *Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1594 Ksiąg XII*, wydany w Petersburgu w 1854 r.), opisującym elekcje i rządy Henryka Walezego, Stefana Batorego oraz Zygmunta III Wazy.

Reinhold Heidenstein (1553–1620), historyk, prawnik, sekretarz królewski, pochodził z niemieckiej rodziny frankońskiej, która osiedliła się w Prusach Książęcych (był spolszczonym Niemcem). Odbył długoletnie studia na uniwersytecie w Królewcu (1566), Wittenberdze (1571), Padwie (1577–1581), we Francji (Orlean, Paryż). W 1582 r., powołany przez Stefana Batorego do kancelarii królewskiej, brał udział w licznych akcjach dyplomatycznych jako ekspert i pełnomocnik w sprawach pruskich. Pracował też w kancelarii Zygmunta III (do 1613 r.), używany do wielu tajnych misji dyplomatycznych; w tym okresie przygotował projekt naprawy prawa ziemskiego w Prusach. Najważniejszym dziełem historycznym Heidensteina jest *Rerum Polonicarum*. Jako historiograf naśladował w ujęciu i metodzie Cezara oraz historyków humanistycznych. Uzasadniał potrzebę silnej monarchii, wzór władcy upatrywał w Stefanie Batorym, a ideał męża stanu w Janie Zamoyskim, kanclerzu i hetmanie wielkim koronnym.

Rerum Polonicarum miało służyć celom informacyjnym dla kraju i zagranicy, a zarazem stanowić obronę polityki Stefana Batorego oraz pochwałę czynów



Epitafium Reinholda Heidensteina w ambicie Archikatedry Oliwskiej (fot. ks. Waldemar Waluk)

królewskich i kanclerza Jana Zamoyskiego. Twórczość dziejopisarską Heidensteina ocenił obiektywnie Michał Bobrzyński, podkreślając jej istotne walory poznawcze: „Uśpione od czasów Długosza prawdziwe dziejopisarstwo powstało znów z Reinholdem Heidensteinem, który nie szczędząc gorzkiej prawdy, a z wielkim talentem dzieje bezkrólewki i panowania Batorego z natchnienia Zamoyskiego skreślił, a jeden ustęp z tych dziejów o wojnie moskiewskiej już w r. 1584 wykończył i drukiem ogłosił” [*Commentatorium de Bello Moscovitico libri sex*]¹.

Zbyteczne dodawać, że dzieło Heidensteina stanowiło jedno z głównych źródeł dla historyków zajmujących się epoką Batorego i Zygmunta III. Przykładem niech tu będą *Dzieje narodu polskiego* Teodora Morawskiego² i *Dzieje Polski* Józefa Szujskiego³.

Reinhold Heidenstein zmarł 24 grudnia 1620 r. i pochowany został prowizorycznie w Suleczynie, skąd 4 lutego 1621 r. zwłoki przeniesiono do Oliwy i złożono w opactwie cystersów.

Po śmierci Stefana Batorego, która nastąpiła nieoczekiwanie i przedwcześnie 12 grudnia 1586 r. w Grodnie, dwa potężne stronnictwa magnackie stanęły do walki o przeforsowanie własnych kandydatów do tronu polskiego. Jednym z nich było stronnictwo Zborowskich, drugim – stronnictwo Jana Zamoyskiego.

¹ M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, t. 2, Warszawa 1927, s. 118; por. B. Kocowski, *Trzej padawczy. Wpływ Batorego i Zamoyskiego na działalność Reinholda Heidensteina*, Lwów 1939.

² T. Morawski, *Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane. Królowie obieralni. Wazowie*, t. 3, Poznań 1877.

³ J. Szujski, *Dzieje podług ostatnich badań spisane*, t. 3: *Królowie wolno obrani*, cz. 1: 1572-1688, Kraków 1894.

Zborowscy forsowali niepopularną w społeczeństwie polskim niemiecką kandydaturę arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, natomiast Jan Zamoyski liczył na wybór Piasta, mając na myśli zapewne własną kandydaturę. Anna Jagiellonka, wdowa po Stefanie Batorym, wysunęła natomiast kandydaturę swego siostrzeńca, królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazy.

Na sejmie elekcyjnym w dniu 19 sierpnia 1587 r. ogłoszony został wybór Zygmunta. W odpowiedzi na to stronnictwo Zborowskich, trzy dni później, dokonało wyboru arcyksięcia Maksymiliana. W ten sposób Rzeczpospolita zyskała dwóch królów elektów. Wysiłki obu stronnictw zmierzały do szybkiego przeprowadzenia koronacji. Maksymilian znajdował się blisko, natomiast Zygmunt Waza ze względu na oddalenie wydawał się nie stanowić zagrożenia dla swego konkurenta. Rozwój wypadków sprawił, że obrona Krakowa stała się głównym zadaniem postawionym Janowi Zamoyskiemu.

Maksymilian wyruszył 29 września 1587 r. z Ołomuńca i 16 października dotarł do Krakowa. Ponieważ oblężenie Krakowa nie dało rezultatów, Maksymilian cofnął się pod Wieluń w oczekiwaniu na posiłki ze Śląska⁴.

Reinhold Heidenstein dalszy bieg wydarzeń przedstawił w sposób następujący⁵:

„Doradzano mu [Maksymilianowi], aby się cofnął do Byczyny⁶ na granicę śląską, utrzymując, że [Jan] Zamoyski [kanclerz i hetman wielki koronny] nie będzie śmiały przejść granicy, bo traktaty Austrii z Polską na to nie pozwalają. W samej rzeczy Maksymilian bardzo rano opuścił Wieluń i uciekając raczej niż się cofając, pod Byczynę się skierował. Zamoyski łatwo to już przewidział i uzyskał naprzód upoważnienie stanów do przejścia granicy, którą Maksymilian też był przekroczył i tyle złego w Polsce nabroił, chociaż go kilka razy upominano, żeby tego nie czynił. Ruszył tedy za Maksymilianem i w sobotę dnia 23 stycznia [1588 r.] w Dziekanowie o milę od Wielunia zanocewał, wysławszy naprzód [Aleksandra] Koniecpolskiego [rotmistrza królewskiego, starostę wieluńskiego], Jakuba Potockiego [rotmistrza królewskiego], Jana Zamoyskiego [dziedzica Piask (Ruskich), rotmistrza], krewnego swego i [Gabriela] Hołubka [dowódcę kozackiego, rotmistrza królewskiego]. Sam o 4 z rana z resztą wojska za nimi pociągnął. Przejrzawszy dobrze drogi i miejsca, dowiedział się, że nieprzyjaciel na królewskim gościńcu stoi, naumyślnie więc zboczył z drogi, chcąc na niego z boku napaść. Dnia 24 stycznia [1588 r.] około godziny 10 z rana oba wojska stanęły



Obelisk upamiętniający miejsce bitwy pod Byczyną w 1588 r. (fot. Przemysław Mączka)

naprzeciw siebie. Tego samego dnia przybyły z Moraw i z Węgier świeże posiłki Maksymilianowi, tak długo oczekiwane. Zrównały się siły i arcyksiążę z miasta wojska swe wyprowadził i do boju uszykował. Dowodził nimi Andrzej Zborowski, marszałek nadworny. Wojsko to, jak przewidział Zamoyski, stało frontem do gościńca królewskiego obrócone, myśląc, że Zamoyski stamtąd będzie nadciągał. Obsadził go tedy Zborowski Węgrami pod dowództwem [Walentego] Prepostvarego [dowódcę wojska węgierskiego przy arcyksięciu Maksymilianie]. Zamoyski zajął z boku dosyć wysoką groblę, działa na nią zatoczył i piechotę postawił, sam zaś, zmieniawszy odzież, posunął się na koniu pod same nieprzyjacielskie szeregi i dojrzał, że skrzydła są słabe i źle obsadzone. Stała tutaj na przeszkodzie dosyć znaczna góra, trzeba było ją obejść, żeby na równinie lepiej się rozwinąć. Złożył tedy radę z [Jerzym] Farensbachem [prezydent wendeński, dowódca rajtarii] i [Stanisławem] Pękosławskim [rotmistrem królewskim, starostą sandomierskim], a ci radzili, żeby bitwę do jutra odłożyć. Zamoyski kazał sobie pokazać zegar i rzekł: *Pięć godzin jeszcze mamy do nocy, żołnierze nasi nieprzyjaciela za zwyciężonego uważają, bo uciekł przed nimi, nie wiedzą jeszcze, że posiłki świeże nadciągnęły, do jutra zaś tego ukryć przed nimi nie potrafimy. Trzeba więc korzystać z ich zapalu i bitwę stoczyć. Kiedyśmy już za groblę przeszli, konieczne bić się potrzeba, bo nieprzyjaciel może zmienić pozycję, zatem lepiej za jednym zamachem wojnę rozstrzygnąć. Zresztą niedziela zawsze pomyślną była dla mnie.* Powiedziawszy to, zaczął wojsko do boju szy-

⁴ Por. W. Kaczorowski, *Bitwa pod Byczyną 1588 r.*, Opole 1988.

⁵ Cytowany tekst został zmodernizowany i objaśniony w kwadratowych nawiasach przez W. Kaczorowskiego.

⁶ Byczyna, miasto na Śląsku Opolskim, koło Kluczborka, należące do ksiąząt brzeskich, lokowane w XIII w., kilkakrotnie rabowane i palone w XVII w.; otoczone jest murami gotyckimi z XV i XVI w. z dwiema bramami „Polską” od wschodu i „Niemiecką” od zachodu.

kować. Na prawym skrzydle postawił Hołubka i Jana Zamoyskiego z Kozakami, za nimi jazdę podskarbiego [wielkiego koronnego Jana Dulskiego] i Niemców, którym Henryk Ramel [rotmistrza, dowódcy piechoty] przywoził, Farensbacha z ochotnikami, Andrzeja Zebrzydowskiego, podczaszego koronnego, Mikołaja Sobockiego [rotmistrza], Jaskołeckiego [rotmistrza, dowódcę chorągwi kozackiej], [Stanisława] Chańskiego, rotmistrza oddziału arcybiskupiego [kozaków Stanisława Karnkowskiego], [Jakuba] Pszonkę z hetmańskimi chorągwiami i [Wawrzyńca] Wybranowskiego [rotmistrza] z piechotą. Na lewym skrzydle pierwszy stał Karnkowski [rotmistrz] z dobozem jazdy, dalej Jakub Potocki [rotmistrz królewski], Baltazar Batory [książę siedmiogrodzki, bratanek króla Stefana Batorego], Stanisław Żółkiewski syn [sekretarz królewski, hetman polny], [Jan] Borremissa [szlachcic węgierski, kapitan artylerii], [Albrecht] Kirali [Király, pułkownik węgierski, rotmistrz pieszy], Aleksander Koniecpolski, starosta wieluński, [Piotr] Kazimierski, dowodzący chorągwią Sebastiana Lubomirskiego [żupnika krakowskiego], Baltazar Stanisławski, kuchmistrz koronny, [pisarz polny], Joachim Osiecki, starosta olsztyński, [rotmistrz wojsk koronnych], Kasper Maciejowski, starosta spiski, Stanisław Pękosławski, starosta sandomierski, Piotr Myszkowski, starosta oświęcimski, każdy ze swoją chorągwią. W środku przy sobie zatrzymał Zamoyski najdzielniejsze hufce swoje własne, którymi dowodził Mikołaj Urowiecki [rotmistrz], dodawszy im jeszcze Stefana Grudzińskiego, kasztelana nakielskiego, Stanisława [Jakse] Bykowskiego [starostę łączycyckiego, kasztelana konarsko-łączycyckiego] i [Stanisława] Ligęzę, starostę opoczyńskiego. Abramowicz⁷ z Tatarami w odwodzie pozostał. Naprzeciw naszego prawego skrzydła stał oddział nadworny jazdy z samych baronów złożony, a było jej około 600 i drugi węgierski; w środku piechota węgierska, polska i morawska, a na prawym ich skrzydle znowu Węgrzy pod wodzą Walentego Prepostvarego z jazdą i piechotą. Na pagórku dosyć wyniosłym, tam właśnie, gdzie jazda nadworna znajdowała się, stał sam Maksymilian z[e] [Stanisławem] Górką [wojewodą poznańskim], Andrzejem Zborowskim, Aleksandrem [Fryderykiem] Prońskim [kniaziem, starostą łuckim] i Stanisławem [Sędziwojem] Czarnkowskim [starostą drahimskim, inowłodzkim, płockim]. Obok nich armaty.

Zostawiwszy na straży w obozie Stanisława Łaskiego, rozkazał hetman [Jan Zamoyski] Hołubkowi i Janowi Zamoyskiemu [rotmistrzowi] obejść nieprzyjaciela i odciąć go od miasta. Z lewego skrzydła ruszyli się także na nieprzyjaciela, ale po poranej roli pomalutko się posuwali, sam zaś Zamoyski przez dolinę obejść górę postanowił, już to żeby wygodniej na otwartym polu bój stoczyć, już żeby uniknąć nieprzyjaznego wia-

tru, który mu ciągle w oczy dał. Wszyscy dobrze widzieli, że gdyby był nieprzyjaciel nie dozwolił naszym albo przynajmniej utrudnił zdobycie grobli, byłby nas niemało zmitrężył. Ufny jednak w swe siły, nie dbał o tak korzystne stanowisko. Hołubek i Zamoyski napadli pierwsi na nadworną jazdę, ale odparci zostali. Hołubek zginął przeszyty trzema kulami. Podparły ich zaraz hufce podskarbiego [Jana Dulskiego], [Mikołaja] Sobockiego i Niemcy. Wtedy Zamoyski na nowo do walki swoich poprowadził. Na lewym skrzydle także się walka rozpoczęła. Stanisław Stadnicki [zwany „Diabłem Łańcuckim”, starosta zygwulski] wpadł na Karnkowskiego, ale do szczętu rozbity, musiał z placu boju ustąpić. Naprzeciw Siedmiogrodzian stał w niewygodnym miejscu Prepostvary, dowódca przybyłego świeżo wojska z Węgier i z Moraw. Chciał on zmienić położenie swoje i rozkaz do tego wydał. Szyki jego, mniemając, że im znak do odwrotu dano, uciekać poczęły.

Tym sposobem prawe skrzydło nieprzyjacielskie przełamane i rozbite zostało. Żółkiewski i Pękosławski wpadli na jazdę niemiecką, na lewym skrzydle stojącą. Spostrzegłszy to Engelhardt Kurtz [sekretarz i doradca arcyksięcia Maksymiliana], dowódca niemieckiej piechoty, który, kiedy Hołubek zginął i prawe nasze skrzydło złamało się, wieszował już zwycięstwa Maksymilianowi, zaczął teraz na arcyksięcia nalegać, żeby się ucieczką ratował, bo już wszystko stracone. Długo się wahał Maksymilian, aż wreszcie Erazm Lichtenstein [dowódca wojsk cesarskich], ująwszy konia jego za cugle, wyprowadził go z placu bitwy.

Tymczasem Żółkiewski, przypuszczając atak na jazdę niemiecką, w biodro z arkabuzy ugodzony został. Z rany tej po ciężkiej chorobie wyleczył się jednak. Jazda niemiecka i tu nie dotrzymała placu, wszędzie tedy ucieczkę tylko i rzeź było widać. Piechota wszystka zginęła, jazda, szczególnie niemiecka, ucieczką się ocaliła. Z obu stron jednakowa broń i stroje walczyły, toteż zabitych, a na sposób węgierski i polski podgolonnych, naliczono 1 800, a na sposób niemiecki strzyżonych 1 200⁸. Powiadają, że Siedmiogrodzianie postawieni przypadkiem naprzeciw Węgrów, wściekle się z nimi bili i okrutnie ich mordowali. Bitwa pomyślnie się naszym udała, ale Zamoyskiemu chodziło o samego Maksymiliana. Dowiedziawszy się, że w Byczynie się zamknął, miasto wojskiem opasał i wyjścia wszystkie przeciął. Żołnierze nasi świeżym zwycięstwem zagrani i na łup chciwi, śmiało i wesoło szli na zdobycie miasta. Już nawet siekierami bramy walić poczęli, kiedy z miasta znak dano do układów. Rzeczywiście przybyli z miasta Polacy Aleksander Proński, starosta

⁷ Abramowicz (Abrahamowicz), brak pewności, który z Abramowiczów h. Jastrzębiec, może Tatar litewski lub Jan, wojski i namiestnik wileński, starosta wendeński (1589), wojewoda miński (1593).

⁸ Abraham Schwalbe (Schwalbius) (1533-1606), lekarz przyboczny arcyksięcia Maksymiliana (W. Kaczorowski, *Schwalbe Abraham*, w: *Słownik medycyny i farmacji Górnego Śląska*, red. J.M. Dyrda, t. 4: Biograficzny (A-Z), Katowice 2000, s. 346) w relacji poświęconej bitwie byczyńskiej (mającej formę listu adresowanego do ojca mieszkającego w Zgorzelcu, datowanego 4 II 1588 r. w Opolu) napisał, że w bitwie pod Byczyną „w ciągu kilkadziesiąt minut padło 3 077 ludzi, pole zasłane było poległymi, śnieg zaś poczerwieńiał od krwi”.



Poddanie się arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną (pomysł i rysunek Kossaka). Reprodukacja z: L. Jenike, *Bitwa pod Byczyną i poddanie się arcyksięcia Maksymiliana (dnia 24 i 25 stycznia 1588 r.)*, „Tygodnik Ilustrowany” 1862, t. 5, nr 123, s. 44)

łucki, Stanisław Ciołek [z Żelechowa, szlachcic polski] i Jan Loga⁹, Niemiec. Wyrzucali oni Zamoyskiemu, że obce granice najechał w czasie pokoju, odpowiedział hetman, że dosyć już o tym w Krakowie na sejmie mówiono i że obecnie o czym innym myśleć powinni. Niedługo powrócili znowu i dowodzili, że Maksymilian nie jako nieprzyjaciel, ale jako wybrany i wezwany król do Polski wkroczył i że gotów jest zrzec się i tronu, i tytułu króla. Odpowiedziano, że nie o to idzie teraz, żeby Maksymilian abdykował, ale o to, żeby dla uspokojenia Polski, dla przytłumienia wewnętrznych zamieszek i dla zawarcia pewnego i stałego pokoju, oddał się w ręce króla i Rzeczypospolitej.

Umawiano się więc o warunki poddania się. Nie mając pod ręką ani papieru, ani atramentu, Zamoyski przesłał Maksymilianowi olówkiem w pugilaresie napisany list tymi słowami: *Upraszam naprzód Waszą Księżęcą Mość, abys przygodę obecną mężnym zniósł umysłem. Wyroki Boskie są niedoścignione, toteż nagrodi On Waszej Księżęcej Mości czym innym klęskę tu poniesioną. Przystoi też mężowi tak wysoko urodzonemu wszelkie przeciwności z pogodnym czołem przyjmować. Nie przez dumę wyniosłą, lecz dla uspokojenia ojczyzny mojej, upraszam Waszą Księżęcą Mość, abys raczył oddać osobę swoją straży mej, która bę-*

dzie odpowiednią godności arcyksięcia i wysokiemu urodzeniu Waszej Księżęcej Mości. Żadne upokorzenie ani zniewaga nie spotka nigdzie Waszej Księżęcej Mości. Uda się Wasza Księżęca Mość do zamku którego, gdzie wszystkie honory należne Waszej Księżęcej Mości oddawane będą, dopóki nie będą zawarte i wypełnione warunki, potrzebne do ustalenia pokoju między Waszą Księżęcą Mością, cesarzem i jego posiadłościami z jednej a między królem i Rzeczpospolitą z drugiej strony; dopóki szkody wszystkie publiczne i prywatne wynagrodzone nie zostaną, a królestwo uspokojone nie będzie. Cudzoziemcom przy Waszej Księżęcej Mości będącym zapewniam wszelkie bezpieczeństwo. Gemejni¹⁰, złożywszy broń, do domów wypuszczeni zostaną, znaczniejsi umówiony okup zapłacą. Polacy zaciężni niższego stopnia i żołnierze, wykonawszy przysięgę na wierność Zygmuntovi, wolno będą puszczeni, wyżsi stopniem dotąd przy Waszej Księżęcej Mości pozostaną, dopóki król i senat na nich wyroku nie wydadzą. Życie i honor ich nietkniętymi pozostaną, ale zapewne tak się o nich postanowi, żeby na potem ani przeciw królowi, ani przeciw jego stronnikom żadnych kroków przedsiębrać nie mogli. Przyrzekam nadto wstawić się do króla, żeby im i dobra zachowano. Co się tyczy ru-

⁹ Mathias (Maciej) a Logau et Altendorf, radca cesarski i poseł.

¹⁰ Gemajn (niem. *gemein* – prosty, zwykły), szeregowiec w polskim wojsku cudzoziemskiego autoramentu w XVII i XVIII w.



Pojednanie między królem Zygmuntem III Wazą a arcyksięciem Maksymilianem Habsburgiem, w centrum kardynał Ippolito Aldobrandini, nuncjusz apostolski (N. Fiammingo, detal z pomnika nagrobnego papieża Sykstusa V, Rzym, bazylika Santa Maria Maggiore, Cappella Sistina). Reprodukacja z: J.W. Woś, *Annibale di Capua. Materiali per una biografia*, Roma 1984, (ryc. 9)

chomości, które obecnie przy sobie mają, nie mogą praw wojny i praw wojska mego nadwerężyć. Proszę też Waszą Książęcą Mość, abys Lubowlę natychmiast oddać rozkazał.

W skutku tej odezwy Zamoyskiego Maksymilian poddał się, wyjechał konno z miasta do obozu Zamoyskiego, który go okazałe przyjął i do namiotu swego wprowadził. Tutaj wstawiał się najwięcej Maksymilian do Zamoyskiego za Polakami przy nim będącymi. Stanisław Ciołek, przysłany razem z innymi od Maksymiliana, wzięwszy na bok Zamoyskiego, rozmawiał z nim po cichu, przez co wpadł u Maksymiliana i u swoich w podejrzenie, że nie w dobrej wierze postępował. Podejrzenie to potwierdziło się jeszcze tym, że on jeden ze wszystkich Polaków nie tylko został wolno puszczony, ale że [Stanisław] Suchorzewski [kanonik krakowski], marszałek dworu kardynała [Andrzeja] Batorego [bratanka króla Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego, proboszcza bożogrobców w Miechowie, biskupa warmińskiego], który uprzednio podczas rozruchów krakowskich został w domu swoim w okolicy Krakowa przez Ciołka ujęty i srodze pokrzywdzony, darował mu wszystkie krzywdy i zniewagę. Zamoyski oświadczył, że wszystko to wyrobił dla Ciołka ze względu na przyjaźń, która ich od dawna łączyła.

Z Maksymilianem dostali się do niewoli: [Stanisław] Górka, wojewoda poznański, Andrzej Zborowski, marszałek nadworny, Stanisław Karnkow-

ski¹¹, Aleksander Proński, Ernest Frykacz [stronnik Zborowskich]. Niemcy znaczniejsi: Erazm Lichtenstein, Jan Fryderyk Homan [Hoffman, komornik arcyksięcia Maksymiliana], Franciszek Kelenker [Keinhiller, szambelan arcyksięcia Maksymiliana], Engelhardt Kurtz i inni. Jakub Woroniecki, [biskup] nominat kijowski, Stanisław Stadnicki, Piotr Dunin [Szpot], starosta piotrkowski i Krzysztof Warszewicki [kanonik krakowski] uciekli do Wrocławia. Złota, srebra, dzielnych koni, sprzętów drogich, dział wielka moc w zdobywcy naszym się dostała. Kredens i inne naczynia domowe Maksymiliana oddane mu zostały. Wszystko zresztą na jedno miejsce zniesiono, bo na równy dział pójść miało, ale żołnierz, działu nie czekając, rozchwycił prawie wszystko. Miasto spalono, chociaż Zamoyski sprzeciwiał się temu. Tymczasem rozbitkowie z wojska cesarskiego, do których się ciury obozowi dołączyli, razem w liczbie 8 000 rabowali i palili bezbronne okolice.

Bitwa pod Byczyną stoczona była 24 stycznia 1588 r.¹²

Włodzimierz Kaczorowski

¹¹ Widoczna pomyłka, mógł to być Jan Karnkowski, krewny prymasa Stanisława Karnkowskiego.

¹² R. Heidenstein, *Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1594 Książ XII*, przeł. M. Gliszczyński, oprac. i wyd. J. Byliński, W. Kaczorowski, Opole 2015, s. 604-611 (publikacja ukaże się w maju 2015 r. w Wydawnictwie Świętego Krzyża w Opolu).

Prof. Stanisław Rogala

(1932–2015)

2 kwietnia br. na cmentarzu w Opolu-Pólwsi pożegnano zmarłego prof. Stanisława Rogalę, emerytowanego profesora Uniwersytetu Opolskiego. Mowę pożegnalną wygłosił Jego wieloletni przyjaciel Harry Duda:

– Bogactwa osobowości i dokonań Stanisława Rogali nie da się wyczerpać w okolicznościowym wystąpieniu, chociaż przedstawiono już, co się zwykle przy pożegnaniach czyni, Jego drogę życiową, w tym ponad 60-letnie dokonania naukowo-zawodowe i społeczne. Obok tych dokonań, także tych trwale zapisanych na kartach naukowych publikacji, bardzo ważne jest i to, co zostaje po człowieku w pamięci innych ludzi. Dlatego, jeśli — mimo głębokiego smutku, który skłania raczej do milczenia — mam zaszczyt przemawiać tu w imieniu przyjaciół Stanisława i własnym, przywołam trzy słowa, tworzące oś mojego wspomnienia. Są to: „przyjaźń”, „dobroć” i „misja” spięte klamrą słów „badanie dusz ludzkich”, cokolwiek by przez pojęcie „duszy” rozumieć...

Myślę, że każdy z nas przybył na tę pożegnalną uroczystość nie z powinności obyczaju i konwencji, lecz z przyczyny najzupełniej osobistej, która właśnie nazywa się „przyjaźń”. Przyjaźń ma różne oblicza — tak jak każdy człowiek inną ma twarz. Na tym też polega jej piękno i waga międzyludzkiej więzi. Więzy tym cenniejszej, że coraz rzadszej w świecie postępującego chłodu i pustki, jaka się między ludźmi rozrasta, a której wypełnić nie może sama tylko materia wynaturzającej się cywilizacji. Staszek był człowiekiem wiernej przyjaźni, pełnej taktu, nacechowanej partnerstwem i koleżeństwem, a nawet braterstwem. Na jeden z jubileuszy Profesora Rogali, które On zwykle traktował jako okazję do ugoszczenia licznych przyjaciół, napisałem krótki tekst, który pozwolę sobie przytoczyć:

*Nasze ślady na drodze — rdza zdarzeń nadjada,
ale pamięć tej drogi — wierniejsza od śladów;
kiedy pójdzie ktoś za nią — to zapis jej zbada:
ujrzy trwałość w nietrwałym — pośród myśli skrytą,
a w czynach dokonaną — prawdę wśród odpadów.
Zobaczy blask i moce idące od słowa
i przyjaźń jako pieczęć w kamieniu wybitą.
Tyle światła jest po nas, ile serce schowa.*

TYLE ŚWIATŁA JEST PO NAS, ILE SERCE SCHOWA — myślę, że te słowa celnie oddają stan ducha, który sprawia, że tu jesteśmy; że każdy z nas nosi w sercu wiele z tego światła, jakie zostało i trwa po Staszku Rogali.

Zdolność do takiej przyjaźni brała się stąd, że Staszek miłował ludzi. Po prostu. Był więc humanistą prawdziwym, a nie tylko z nazwy. To miłowanie niosło ze sobą postawę **przyzwoitości** — słowo dziś już ginące — jaką zachowywał w każdej sytuacji życiowej i społecznej, nawet w okresie tak specyficznym i trudnym jak stan wojenny.

Z tego samego źródła brały się Jego niezwykła wyrozumiałość i cierpliwość dla słabości i kruchości ludzkiej natury w zdrowiu i chorobie, dla jej błędów, braków i skrzywień, także u studentów i podwładnych; jego nieustające poświęcenie rodzinie, jego stała gotowość do pomocy innym.

Stanisław Rogala zwyczajnie (a jakże trudno o taką zwyczajność) **czynił dobro**. Był, jak ja to nazywam, ateistą otwartym, a więc szukającym i pełnym szacunku dla innych światopoglądów, ale w pełni odnosi się do Niego ewangeliczne twierdzenie: „Po ich owocach poznacie ich”. Poznawaliśmy Stanisława po tych owo-



Prof. Stanisław Rogala

cach i myślę, że w wielu osobach istnieje tych owoców pamiętka, dobre wspomnienie o Jego empatii i uczy-nionym im dobru.

Darzył tą empatią ludzi, lecz także zwierzęta, któ-rych był pełnym ciekawości i serca miłośnikiem, po-dobnie jak w ogóle przyrody. Dowodem na to jest Jego wspaniale wypielęgnowany, bujny, niezwykle ogród, w którym dokarmił wszelkie ptaki i którego nigdy nie ogrodził — wbrew pochodzeniu nazwy ‘ogród’, czy-li ‘czegoś ogrodzonego’ — podobnie jak całej swojej posesji, bo uważał, że ludzie od ludzi, sąsiedzi od są-siadów, nie powinni się odgradzać. Dowodem też ma-łe arboreta złożone z drzew własnoręcznie przez Nie-go sadzonych przy obiektach oświatowych instytucji w Opolu i Niwkach, którymi niegdyś kierował.

Jeśli chcę jeszcze powiedzieć o Rogali jako o **czło-wieku misji**, muszę się odwołać nie tyle do wznio-słego, co do fundamentalnego w Jego życiu faktu, że przede wszystkim był z powołania i misji nauczycie-lem i nigdy nim być nie przestał. I nawet nauka w jej najlepszym rozumieniu nie była dla Niego celem, lecz tylko narzędziem do celu, czyli wypełniania misji na rzec edukacji. Edukacji, która jest spójnym złącze-niem wiedzy i wychowania. Misję tę realizował naj-pierw jako nauczyciel szkół średnich i półwyższych, potem organizator, kurator i badacz oświaty, wreszcie **nauczyciel nauczycieli** dążący do ich doskonalenia, a potem nauczyciel akademicki. Towarzyszył mu w tej pracy etos dążenia do prawdy i tylko prawdy, na ile to możliwe — razem ze studentami.

Pod koniec kariery zawodowej realizował tę misję jako nauczyciel starości — nauczał wiedzy kierowanej tak do samych „ludzi żyjących długo” (to Jego no-

watorski termin gerontologiczny określający starców), jak do studentów, lecz także do innych ludzi młodych i wieku dojrzałego, którzy starości winni się uczyć choć-by dlatego, że kiedyś, być może, także będą starzy oraz dlatego że z poczucia powinności moralnej umieli mą-drze traktować cudzą starość w wymiarze tak osobi-stym, jak społecznym. Wszystkie te misyjne działania podejmował z niesłuchaną pasją i zawsze skutecznie zarówno w formach merytorycznych, jak organizacyj-nych.

Zaznaczmy koniecznie, że etos nauczycielski Rogali był najwyższej próby, rzecz by można — pozytywi-styczny, a więc pracy od podstaw, zmierzający do te-go, aby ludzi dźwigać wzwyż wedle zasady tworzenia równych szans i ustawicznego doskonalenia, począw-szy od samych nauczycieli, a nie w drodze antyhuma-nistycznej rywalizacji z cechami wyścigu szczurów.

Krytycznie, a w moim odczuciu — z odrazą, odno-sił się do prób wyłącznie rynkowego traktowania edu-kacji jako tylko towaru, a podmiotów edukacyjnych ja-ko klientów, co w swoim czasie (a nierzadko obecnie) nachalnie propagowali niedouczeni i cyniczni zarazem decydenci, publicyści i wykonawcy-wyrobnicy.

Stanisław Rogala był człowiekiem dociekliwym. Zawsze nurtowało Go pytanie o przyczyny takich sta-nów ludzkiego ducha, umysłowości i mentalności, tak w zdrowiu, jak w chorobie, które z kolei determinu-ją ludzkie czyny i zaniechania, i gdzieś tam, na koń-cu, przecież, wpływają na efekt wychowawczy czy też edukacyjny. Stąd Jego trwałe zainteresowanie psycho-logią i naukową ku niej drogą, jaką obrał — zawsze ambitna, zawsze pod kierunkiem naukowych wybit-ności, a przy tym samodzielna, niezwiązana z jakim-

Dr hab. Stanisław Rogala, emerytowany prof. UO (1990–2000), prof. WSZiA w Opolu (2000–2015), matematyk, pedagog i psycholog, działacz oświatowy i ekspert ds. oświaty. Ur. 27 stycznia 1932 r. w Plechowie (woj. kieleckie), zm. 29 marca 2015 r. w Opolu. W latach 1951–1954 odbył matematyczne studia I stopnia w WSP w Katowicach; magisterium z pedagogiki (eksternistycznie) w 1964; doktorat z psycholingwistyki (pod kierunkiem prof. Marii Przetacznikowej) na UJ – 1974; habilitacja z psychologii również na UJ – 1984; rok później — docent. Pracę rozpoczął jako nauczyciel w Liceum Pedagogicznym w Kluczborku. Po magisterium wykładowca oraz wicedyrektor Studium Nauczycielskiego w Opolu. Następne miejsca pracy w Opolu: Wojewódzka Poradnia Wychowawczo-Zawodowa (1969); WSP (od 1969); 1972–1981 na stanowisku kuratora oświaty i wychowania; 1981–1991 Oddział Doskonalenia Nauczycieli (ODN) — na stanowisku dyrektora. Do 1989 r. (jeszcze w PRL) był członkiem zespołu (od 1985 jako przewodniczący), w którym tworzone model-koncepcję przyszłego Uniwersytetu Opolskiego. W latach 1975–1990 kierował współpracą oświatową i wymianą delegacji nauczycielskich Opolszczyzny z krajem Schleswig-Holstein Republiki Federalnej Niemiec. Autor 7 samodzielnych pozycji zwartych oraz 170 artykułów naukowych i popularno-naukowych, redaktor naukowy wielu prac zbiorowych i materiałów pokonferencyjnych, uczestnik lub organizator ok. 40 konferencji naukowych (regionalnych, krajowych i zagranicznych), a także licznych konferencji zawodowo-oświa-towych. W latach 1992–1993 jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego przygotował XXVIII Zjazd Naukowy Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. W latach 2006–2012 organizował konferencje naukowo-publicystyczne z zakresu szeroko rozumianej problematyki starzenia się człowieka. Pod jego kierunkiem magisterium uzyskało ok. 1000 osób, wypromował dwóch doktorów. Laureat ośmiu nagród resortowych (ministra oświaty), w tym jednej I stopnia, odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim OOP, tytułem „Zasłużonego Nauczyciela PRL” i Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

kolwiek karierowiczostwem tzw. układów, partyjnych ścieżek i innych pozoracji, produkujących (jakże często i dzisiaj) pseudouczonych karierowiczów.

Do końca swoich dni zajmował się więc badaniem dusz ludzkich, w tym własnej, poddawanej mądrej, zdystansowanej obserwacji wewnętrznej, szczególnie wtedy, gdy dotykały go straszliwe choroby, którym heroicznie stawiał czoła, zachowując pogodę ducha i uśmiech życzliwości dla innych. Kika dni przed śmiercią zapewniał w telefonicznej rozmowie, że idzie ku dobremu, a sercowy incydent zdrowotny jest przejściowy.

Żegnamy dziś wielowymiarowego, pięknego Człowieka, drodzy Państwo, oddanego swym życiem — spontanicznie, nie w sposób wyrozumowany — in-

nym ludziom oraz starożytnej triadzie Prawdy, Dobra i Piękna. Triada to Platońska, idealistyczna. Ktoś powie — czy pasuje do realisty mocno kroczącego po ziemi, jakim też na co dzień był Staszek? A jednak — w moich oczach do Stanisława pasuje. Myślę, że człowieczeństwo jest czymś ponad uproszczone podziały.

Staszek był Człowiekiem Prawdziwym i dziękujemy Mu dzisiaj za Jego obecność **wśród nas**. Niestety — teraz będzie to już tylko, i aż, obecność **w nas**, w naszej wdzięcznej i wiernej jak Ty, Stasiu, pamięci. Spoczywaj tu jako dobry i trwały znak przeszłości, w której razem z Tobą mieliśmy udział. Cześć Tobie i pamięć!

Harry Duda

Odeszli

Prof. dr hab. Krystyna Dubel (1932–2015)

Profesor Krystyna Dubel urodziła się 13 września 1932 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Tam też spędziła szczęśliwe dzieciństwo, w towarzystwie sióstr, otoczona opieką rodziców. W Tomaszowie odebrała również podstawowe i średnie wykształcenie. Dopiero na studia z zakresu geografii wybrała się do Łodzi. Studia w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej ukończyła w 1954 r. i w tym samym roku rozpoczęła pracę w Liceum Ogólnokształcącym nr 3 w Opolu. Tak rozpoczął się Jej kontakt z miastem i regionem opolskim, w którym spędziła resztę swego życia. Praca w opolskim liceum pozwoliła na doskonalenie umiejętności dydaktycznych – profesor Dubel miała znakomity kontakt z młodzieżą, była z tego znana także później, w środowisku akademickim. Dalsze studia, na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego, rozpoczęła już w 1962 r., a w 1964 r. obroniła pracę magisterską nt. wpływu warunków przyrodniczych na terytorialny i gospodarczy rozwój miasta Opolu. W 1965 r., rezygnując z pracy w szkole, rozpoczęła studia doktoranckie w Instytucie Geografii PAN w Warszawie. Miała tu okazję słuchać wykładów i podjąć współpracę z prof. Stanisławem Leszczyckim, prof. Jerzym Kostrowickim oraz prof. Jerzym Kondrackim. Po czterech latach (w 1969 r.) przygotowała pod promotorską opieką prof. Jerzego Kondrackiego pracę doktorską pt. „Warunki przyrodnicze a użytkowanie ziemi w powiecie opolskim”. W 1970 r. rozpoczęła swoją karierę naukową – od pracy w Rolniczym Rejonowym Zakładzie Doświadczal-

nym w Łosiowie k. Brzegu. Zajmowała się tam problematyką uwarunkowań środowiskowych produkcji



Prof. Krystyna Dubel

rolnej, stanowiących podstawę rozwoju jednostek administracyjnych, głównie gmin wiejskich. Naturalną kontynuacją tematyki uwarunkowań przyrodniczych i ich wpływu na rozwój obszarów wiejskich było podjęcie pracy – wówczas jeszcze przez doktor Krystynę Dubel – w Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych. Tu, pracując kolejne dwa lata (1972–1974), podejmowała tę samą tematykę, poszerzając ją o kolejne aspekty analiz wielkoprzestrzennych. Pozwoliło na to powołanie Jej (w 1973 przez prof. K. Secomskiego) w skład Zespołu Generalnego Projektanta Planu Makroregionu Południowego jako kierownika podzespołu ds. kompleksowego programu ochrony środowiska w województwie opolskim. Równoległe podjęła współpracę z Instytutem Ochrony Środowiska Oddz. we Wrocławiu, dla którego przygotowała „Kierunki opracowania kompleksowego programu ochrony środowiska w Polsce”. Współpraca ta zaowocowała utworzeniem w Opolu Zakładu Ochrony Środowiska Instytutu Ochrony Środowiska we Wrocławiu. Kierowała tą placówką w latach 1974–1978, realizując badania dotyczące województwa opolskiego z zakresu obecnie definiowanego jako ekorozwój (wówczas: zrównoważony przyrodniczo rozwój społeczno-gospodarczy). Elementem tych prac było badanie przyrodniczego wymiaru procesów degradacji i dewastacji środowiska. Najintensywniej procesy te przebiegały na Śląsku, stąd w latach 1979–1985 podjęła pracę w Instytucie Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrze. Pomimo to nie porzuciła Śląska Opolskiego i nadal prowadziła tu większość swoich badań, czego efektem było wydanie w 1980 r. pracy pt. „Podstawy wykorzystania zasobów i walorów środowiska geograficznego dla potrzeb rozwoju społeczno-gospodarczego regionu – na przykładzie województwa opolskiego”. Potrzeba współdziałania z młodzieżą i kształcenia kolejnych pokoleń sprawiła, że w 1985 r. powróciła do Opolu, zatrudniając się w Wyższej Szkole Pedagogicznej, jako zastępca dyrektora Instytutu Chemii ds. agrobiochemii. Tu, w następnym roku, założyła Koło Naukowe EKOLOG, a w 1989 r. – Akademickie Centrum Edukacji Ekologicznej. Jej działania doprowadziły do utworzenia w 1988 r. Ogólnouczelnianego Zakładu Ochrony i Kształtowania Środowiska. Kadra tej jednostki rozpoczęła intensywne prace nad stworzeniem podwalin pod kierunek studiów: ochrona środowiska. Nabór studentów na studia z tego zakresu rozpoczął się już w maju 1990 r., a od października pierwsza w Polsce grupa studentów rozpoczęła zajęcia. Równocześnie z uruchomieniem kierunku studiów przekształcono Ogólnouczelniany Zakład w Instytut Ochrony i Kształtowania Środowiska, którego była pierwszym dyrektorem. Pierwsi w Polsce absolwenci kierunku ochrona środowiska obronili swoje prace magisterskie w 1995 r., da-

jąc początek studiom uniwersyteckim z tego zakresu w Polsce. Jako prekursorka tych studiów organizowała i była zapraszana na konferencje dotyczące edukacji ekologicznej w całej Polsce, a na przykładzie programu studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu konstruowano programy kształcenia na innych uczelniach. Równoległe do prowadzenia kierunku studiów powołała dwa studia podyplomowe: ochrony i kształtowania środowiska (dla pracowników administracji rządowej i samorządowej) oraz edukacji ekologicznej (dla nauczycieli).

Tak aktywna praca organizacyjna i dydaktyczna nie przeszkodziły Jej w przygotowaniu i opublikowaniu w 1990 r. syntezy prac, na podstawie której uzyskała stopień naukowy doktora habilitowanego.

W 1995 r. powróciła na kilka lat do pracy w Instytucie Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrze, Samodzielnej Pracowni Ocen Oddziaływania na Środowisko w Opolu, by w 1999 r. rozpocząć ponownie kształcenie studentów na kierunku gospodarka przestrzenna Politechniki Wrocławskiej, które kontynuowała do emerytury. Podczas pracy na Wydziale Architektury PWr Rada tegoż wydziału zawnioskowała o nadanie Jej tytułu profesora, który uzyskała, otrzymując nominację z rąk ówczesnie urzędującego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Pracę ze studentami realizowała również na kierunku gospodarka przestrzenna w Szkole Wyższej im. B. Jańskiego Wydziale Zamiejscowym w Opolu – w latach 2005–2012 (od 2005 do 2009 r. pełniła funkcję dziekana).

Mimo intensywnej pracy i szerokiej działalności społecznej zawsze uczestniczyła w życiu rodzinnym. Jej oczkiem w głowie była wnuczka Kasia, której zdrowie, nauka, zainteresowania były przedmiotem wielu rozmów, nie tylko w gronie rodzinnym.

25 lutego 2015 opuścił nas człowiek twórczy, o wielorakich zainteresowaniach, człowiek niespożytych sił witalnych, niebanalnego sposobu bycia, odciskający piętno na każdym, z kim się spotkał. Charyzma profesor Krystyny Dubel była na szczęście zaraźliwa. Pozostawiała w swoich współpracownikach z Uniwersytetu Opolskiego oraz wśród studentów przekonanie, że można w małym Opolu tworzyć wielkie rzeczy, że można – nawet przy niezbyt rozbudowanym warsztacie badawczym – realizować projekty o znaczeniu ponadregionalnym, że można przy istotnych ograniczeniach w dyspozycyjności prowadzić zajęcia w sposób atrakcyjny i znakomicie wpływający na tzw. głód wiedzy.

**Mariusz Głowacki
Arkadiusz i Sylwia Nowak
Krzysztof Badora
Grzegorz Kusza**

Cytaty z importu

Dr hab. Mikołaj Iwanow, prof. UO, z Katedry Historii Najnowszej Instytutu Historii UO został laureatem XXII edycji Nagrody „Przeglądu Wschodniego” 2014 za książkę pt. „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. Operacja polska 1937–1938”. O swojej książce opowiada w rozmowie z Waldemarem Kowalskim w serwisie internetowym naTemat.

– **Pańska książka, poświęcona tzw. operacji polskiej przeprowadzonej przez NKWD w drugiej połowie lat 30. XX wieku, nosi wymowny tytuł „Zapomniane ludobójstwo”. No właśnie, to temat w Polsce zupełnie niezany...**

– Kiedy prawie 20 lat temu po raz pierwszy dotknąłem tego tematu, byłem przekonany, że informacja o potwornej zbrodni stalinowskiej wywoła w Polsce burzę emocji, że będzie to jak „nowy, niezany Katyń”. Tym bardziej, że w wielkim terrorze stalinowskim zginęło co najmniej pięć razy więcej Polaków niż w Katyńiu i innych miejscowościach, gdzie rozstrzeliwano polskich oficerów oraz pozostałych „niedobrych” Polaków. Nic podobnego. Minęły dwie dekady, a nadal wychodzi książka pod tytułem „Zapomniane ludobójstwo”. Jak długo jeszcze ta potworna zbrodnia będzie zapominana?

– **Kto był odpowiedzialny za przygotowanie i przeprowadzenie operacji? Kogo Sowieci uznali za „wrogów ludu”?**

– Głównym odpowiedzialnym za tę zbrodnię był oczywiście sam Stalin. Świadomie nasilał on psychozę polskiego zagrożenia wojennego, gdyż Polska była mu potrzebna jako swoisty straszak, uzasadniający rozpętywanie kolejnych, narastających fal terroru. Do tego dochodziły także osobiste uprzedzenia Stalina wobec Polaków i zadawnione antypolskie nastroje w społeczeństwie rosyjskim i sowieckim. Likwidacja polskiej „piątej kolumny” stała się jednym z najważniejszych elementów terroru stalinowskiego długo przed Katyńiem i masowymi represjami wobec Polaków obywateli II Rzeczypospolitej. NKWD na polecenie Stalina wykryła ponad 100 tys. „polskich szpiegów”. W rzeczywistości ludobójstwo Polaków było potrzebne w celu zastraszenia własnego narodu i II RP. Był to również swoisty odwet za porażkę 1920 roku pod Warszawą. „Operację polską” przeprowadzono na podstawie rozkazu nr 00485 z 2 października 1937 r., wydanego przez komisarza ludowego spraw wewnętrznych Związku Sowieckiego Nikołaja Jeżowa. Rozkaz ten wyszczególniał następujące kategorie Polaków podlegających represjom: „emigranci polityczni, wymienieni więźniowie polityczni z Polski [...], byli członkowie PPS i innych polskich partii politycznych [...], wszyscy pozostający w ZSRS jeńcy wojenni armii polskiej [...]. A także naj-

bardziej aktywny miejscowy antysowiecki i nacjonalistyczny element polskich rejonów autonomicznych”.

– **Jaka była skala zbrodni? Jak i gdzie mordowano Polaków?**

– Przeprowadzona w latach 1935–1938 tzw. „polska operacja” NKWD przeraża nawet doświadczonego badacza swym rozmachem i bezwzględnością. Rozstrzelano w tym okresie 111 tys. Polaków, obywateli sowieckich, czyli co siódmego mającego w swym paszporcie zapisaną narodowość polską. Polacy w tym okresie stanowili mniej więcej 0,6 proc. ludności Kraju Rad, natomiast wśród ofiar terroru stalinowskiego było ich prawie 15 proc. Zniszczenie polskości na tzw. dalszych Kresach w okresie międzywojennym stanowiło kolejny etap konsekwentnej polityki odpolonizowania tych terenów, prowadzonej przez Rosję carską nieprzerwanie na przestrzeni całego XIX wieku. Antypolska polityka caratu i stalinowskie niszczenie narodu miały wyraźnie wspólny cel – doprowadzić do powstania zupełnie nowej sytuacji narodowościowej, do przekształcenia niegdyś licznych Polaków-kresowiaków w kategorię wyłącznie historyczną. Wymagana przez centralę NKWD skala antypolskich represji była tak wielka, że miejscowe oddziały sowieckiej bezpieki musiały w wielu wypadkach korzystać po prostu z książek telefonicznych, wybierając z nich polskie i polsko brzmiące nazwiska ewentualnych „przestępców” politycznych. Zdumiewa również niezwykła, nawet na tle całokształtu wielkiego terroru, surowość represji antypolskich. Uniewinnienie w przypadku osoby o polskim rodowodzie było rzeczą wyjątkowo rzadką, prawie niespotykaną. Ze 143 810 aresztowanych w wyniku przeprowadzenia „operacji polskiej”, represji udało się uniknąć zaledwie 3975 osobom. Helena Trybl, sędziwy świadek tego bez wątpienia ludobójstwa, matka byłego premiera Ukrainy Jurija Jechanurowa, która ocalała z tej polskiej gehenny, określa ten okres w sposób następujący: „Być Polakiem w roku 1937 w ZSRS było mniej więcej tym samym, co być Żydem w III Rzeszy w okresie Holocaustu”.

– **Kiedy i w jakich okolicznościach o operacji dowiedziały się polskie władze? Czy Sowieci ukrywali zbrodnię, podobnie jak mord katyński, przez lata?**

– Informacja o zbrodni Stalina na Polakach na pewno dochodziła do Warszawy. Pisała o tym również prasa polska. Niestety musimy uznać, że pod wieloma względami polska dyplomacja nie spisała się najlepiej w niesieniu pomocy prześladowanym Polakom. Strach przed możliwą inwigilacją kraju przez agenturę komunistyczną i trudna sytuacja ekonomiczna paraliżowały działania polskiej dyplomacji. Gwoli usprawiedliwienia polskiej dyplomacji musimy odnotować, że z nadejściem wielkiego terroru jej możliwości opiekuńcze skurczyły się prawie do zera. Polska ambasada w Moskwie, a w szczególności polskie konsulaty, przekształciły się w oblężone twierdze. Każdy krok polskich dyplomatów był śledzony przez NKWD. Dlatego w większości przypadków polska dyplomacja była z konieczności tylko biernym obserwatorem ludobójstwa.

– Czym charakteryzował się tzw. wielki terror w Związku Sowieckim i jakie były jego skutki?

– Terror od początku, od pierwszych dni po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji Październikowej w 1917 roku, towarzyszył sowieckiemu systemowi władzy. Od początku również aż do upadku komunizmu w 1991 roku terror (jego rozmaite formy) stanowił podstawowe narzędzie rządzenia w tym totalitarnym państwie. W ZSRS stał się on czymś zupełnie zwyczajnym, towarzyszącym człowiekowi sowieckiemu od kolebki aż do śmierci. To spowszednienie terroru prawdopodobnie stało się najbardziej niebezpieczną jego cechą. Czerwony terror okresu rewolucji i wojny domowej, represje antychłopskie okresu kolektywizacji, klasowy terror stosowany wobec przedstawicieli resztek arystokracji i klasy posiadającej w okresie międzywojennym, wielki terror z lat 1937–1938, terror wobec ludności ziem przyłączonych do ZSRS w latach 1939–1940, terror okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, terror powojenny stosowany wobec własnych obywateli, jak i przeciwko obywatelom krajów tzw. obozu socjalistycznego – to wszystko daleko niepełna lista ohydnych przestępstw kryminalnych popełnionych na własnym narodzie i na narodach innych krajów. Komunizm to zbrodniczy system, który jak dotąd nie miał swej Norymbergi, który nie poniósł kary za swoje zbrodnie. Terror antypolski był częścią składową sowieckiego systemu rządzenia.

– Odpowiedzialny za akcję, poprzednik dobrze znanego Polakom Ławrentija Berii na stanowisku szefa NKWD Nikołaj Jeżow, zwany Krwawym Karlikiem, słynął z okrucieństwa. Jakie były jego losy?

– Po tym, jak kaci z NKWD wykonali swą brudną robotę, Stalin zrozumiał, że wielki terror wychodzi spod jego kontroli, zaczyna żyć własnym życiem, zżerając więcej niż to było polecane przez niego i dlatego zdecydował znaleźć kozła ofiarnego. Ofiara ta miała oczyścić głównego zbrodniarza. Jeżowa rozstrzelano w 1940 roku. Przed śmiercią przyznał się, że był pol-

skim agentem, a także japońskim i angielskim. Jedyny przywilej, który miał po aresztowaniu – nie był katowany. Wiedział, że opór wobec śledczych nie ma najmniejszego sensu. Podpisał wszystko...

– Czy fakt, że jest Pan z pochodzenia Rosjaninem, miał wpływ na zajęcie się zbrodniczą działalnością NKWD w stosunku do Polaków?

– Kiedy rozpocząłem prace nad tematem, jeszcze istniał Związek Sowiecki. W ZSRS nikt nie miał zielonego pojęcia o jakichś Polakach, o ich tragicznych losach. To wyraźnie ułatwiło mi pracę. Nikt nie podejrzewał, że Rosjanin zajmuje się tak drastycznym problemem. Jeszcze żyło wielu świadków ludobójstwa Polaków. Notowałem ich opowieści. Ale początkowo nawet ja nie byłem w stanie uwierzyć w skalę tej zbrodni. Dopiero po ujawnieniu dokumentów z archiwów sowieckich stało się jasne, że było to ludobójstwo.

– O jakich białych plamach mówimy jeszcze w przypadku stosunków polsko-sowieckich? Co mogą kryć rosyjskie archiwa?

– Istnieje mnóstwo białych plam. Gdzie są teczki personalne rozstrzelanych w Katyniu? Czy był rozkaz Stalina dla Armii Czerwonej zatrzymać się u bram Warszawy w sierpniu 1944 roku i pozwolić Niemcom wymordować powstańców Warszawy? Jaki udział miała Moskwa w decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego? To są jedynie niektóre białe plamy... Jest ich na pewno więcej.

– Wiedzę o tragicznych skutkach operacji polskiej popularyzuje m.in. rosyjskie Stowarzyszenie Memorial, któremu niedawno groziło rozwiązanie. Jak Pan ocenia jego rolę?

– Jest to organizacja unikatowa. Walczy o prawa człowieka w Rosji w warunkach dalekich od demokratycznych. W sprawie upamiętnienia ofiar operacji polskiej wykonuje zadanie, które powinien realizować polski IPN. Zbiera i dokumentuje imiona ofiar, prowadzi badania tej zbrodni. W Polsce natomiast realizacją tego zadania nadal zajmuje się kilka „zwariowanych” osób. I nie widzę perspektyw, aby to się zmieniło.

– Czy obserwując działania Putina, dostrzega Pan nostalgię za Związkiem Sowieckim? Jaką przyszłość Rosji Pan widzi?

– Władimir Putin nie raz już mówił o tym, że dla niego rozpad Związku Sowieckiego to tragedia osobista. Jego obecna polityka to swoista forma nostalgii za ZSRS. Dlatego przyszłość Rosji, niestety, widzę czarno. Pogorszenie sytuacji ekonomicznej i wyraźny spadek materialnego poziomu życia ludności doprowadzi prawdopodobnie do moskiewskiego Majdanu. Jak pisał Dostojewski „rosyjski bunt jest straszny”. Może on doprowadzić do rozpadu tego kraju. Modlę się, aby tak się nie stało.

Zbigniew Zagórowski

Nasz trener

Wojciech Dereziński – pierwszy kierownik Studium Wychowania Fizycznego

Dr Wojciech Dereziński, który w tym roku obchodzi swoje 90. urodziny, wpisał się w historię naszej uczelni jako założyciel i pierwszy kierownik Studium Wychowania Fizycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Pochodzi z Wielkopolski – urodził się w Wągrowcu 25 marca 1925 roku w wielodzietnej rodzinie jako najmłodsze, dwunaste dziecko Antoniego i Wiktorii Derezińskich. Ojciec był murarzem, matka gospodynią domową. Wychował się w Wągrowcu, tam też skończył szkołę podstawową. Naukę, po pierwszej klasie Gimnazjum Ogólnokształcącego, przerwała wojna. We wrześniu 1939 roku, jako 14-letni chłopiec, wziął udział w czasie kampanii wrześniowej w obronie Kłocka, w Wielkopolsce. Po zdobyciu miasta przez Niemców ledwo uszedł z życiem. Najeźdźcy, oddziały Wehrmachtu i SS w bestialski sposób rozstrzelały wtedy ponad 300 obrońców Kłocka.

W czasie wojny podejmował najróżniejsze prace. Był robotnikiem rolnym, palaczem w tartaku, maszynistą, murarzem. Pod koniec wojny, schwytany przez Niemców, został przymuszony do pracy w niemieckim przemyśle zbrojeniowym. W styczniu 1945 roku uczestniczył w walkach z wojskami hitlerowskimi, za co został odznaczony „Odznaką Grunwaldzką” (1945 r.) i Medalem Zwycięstwa i Wolności” (1945 r.).

Po wojnie ukończył w trybie przyspieszonym szkołę budowlaną w Poznaniu. Wrócił do rodzinnego Wągrowca, ukończył Gimnazjum Ogólnokształcące, a później Liceum Pedagogiczne. W tymże liceum zdał maturę w 1947 roku, po czym rozpoczął studia w Studium Wychowania Fizycznego, działającym przy Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Studium Wychowania Fizycznego było załącznikiem Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Poznaniu, którą powołano rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 1 lipca 1950 roku. Wojciech Dereziński ukończył WSWF w Poznaniu w 1950 roku z tytułem magistra wychowania fizycznego. Był absolwentem pierwszego rocznika nowo powstałej uczelni.

Po studiach otrzymał nakaz pracy w Ełku, gdzie był nauczycielem wychowania fizycznego w Liceum Ogólnokształcącym Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, potem wizytatorem szkolnym w Białymstoku. W 1953 roku przyjechał do Opola. Pracował jako trener koordynator w Radzie Okręgowej Szkolnictwa Zawodowego „Zryw” w Opolu. W roku 1957 za namową doc.

dr. Alojzego Gembali, ówczesnego prorektora WSP Opole, od 1 kwietnia 1957 roku podjął pracę w opolskiej uczelni. Dołączył do grona nauczycieli akademickich prowadzących zajęcia z wychowania fizycznego, do których należeli Irena Ostern i Włodzimierz Wompel (późniejszy długoletni kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu WSP Opole). W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu nie było jeszcze żadnej komórki organizującej zajęcia wychowania fizycznego i kierującej życiem sportowym studentów. Dzięki staraniom m.in. Wojciecha Derezińskiego w 1959 roku utworzono Studium Wychowania Fizycznego przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Stało się tak zgodnie z zarządzeniem ówczesnego ministra oświaty z 30 kwietnia 1959 roku. W październiku 1959 roku miała miejsce inauguracja działalności Studium, którego pierwszym kierownikiem został Wojciech Dereziński (Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu była, według W. Derezińskiego, pierwszą pedagogiczną uczelnią w Polsce, w której strukturach powołano Studium Wychowania Fizycznego).

Początki były trudne. Jak wspomina Wojciech Dereziński, Studium nie posiadało na uczelni żadnego pomieszczenia, stąd „biuro nosił w teczce”. W następnym roku akademickim, 1959/1960, jednostce przydzielono tymczasowo pokój na I piętrze budynku głównego przy ul. Oleskiej 48, który służył wszystkim pracownikom Studium.

Wojciech Dereziński był trenerem lekkiej atletyki. Propagował wśród studentów ćwiczenia przede wszystkim na świeżym powietrzu. Zachęcał ich do udziału w zajęciach wychowania fizycznego. Był założycielem i aktywnym członkiem sekcji lekkoatletycznej AZS WSP Opole. Pamięta, że jego studentami i zawodnikami sekcji sportowej AZS WSP Opole byli m.in. prof. Mieczysław Piróg, prof. Michał Lis, dr Ignacy Bójko, dr Eryk Holona. Wychowankiem Wojciecha Derezińskiego i studentem WSP w Opolu był też trener lekkiej atletyki, współzałożyciel Wydziału Wychowania Fizycznego i Fizjoterapii na Politechnice Opolskiej, prof. Józef Wojnar.

W czasie pracy w Studium Wychowania Fizycznego Wojciech Dereziński rozpoczął pisanie pracy doktorskiej pt. „Wpływ określonych form wysiłku fizycznego na zachowanie się cholesterolu całkowitego w surowicy krwi”. Pracę przygotowywał w Instytucie



Wojciech Dereziński (fot. autor)

Naukowym Kultury Fizycznej w Warszawie u światowej sławy profesora fizjologii wysiłku fizycznego Włodzimierza Misiury. Pracę, której promotorami byli prof. dr E. Preisler i doc. dr W. Romanowski, obronił 30 czerwca 1966 roku.

Dalsze losy tego doktoratu potoczyły się niecodziennie. Otóż, jak twierdzi, kiedy otrzymał zaświadczenie o pozytywnym wyniku obrony doktoratu i czekał na zatwierdzenie Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, zmarł profesor Włodzimierz Misiuro, promotor jego rozprawy doktorskiej. Za jakiś czas ogłoszono decyzję Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej w sprawie przyznania mu tytułu doktora nauk wychowania fizycznego – z wynikiem... negatywnym.

Wojciech Dereziński kierował pracami Studium WF od października 1959 r. do września 1965 r. Część ćwiczeń odbywała się w sali gimnastycznej przy ul. Luboszyckiej 9, większość jednak prowadzono na placu przy ul. Katowickiej, gdzie obecnie znajduje się siedziba WZSM, a także na zapleczu budynków przy ul. Luboszyckiej 9 (obecnie kort tenisowy), m.in. w szatniach prowadzono ćwiczenia siłowe ze sztangami, hantlami i innymi ciężarkami (dziś powiedzielibyśmy: zajęcia z kulturystyki). Z inicjatywy Wojciecha Derezińskiego zaczęły odbywać się uczelniane spartakiady lekkoatletyczne na stadionie „Gwardii” i „Odry” Opole. O wysokim poziomie studentów świadczy fakt pobicia podczas tych zawodów rekordów województwa opolskiego seniorów w takich konkurencjach, jak pchnięcie kulą, rzut dyskiem, rzut oszczepem, rzut młotem. Braли w nich udział nie tylko studenci opolskiej WSP, ale także ich rówieśnicy spoza uczelni. Jednym z uczestników Spartakiady Lekkoatletycznej w 1958 roku był

Władysław Czaczka, który osiągnął znaczący w tamtych czasach wynik w rzucie dyskiem (44.13 m), bijąc rekord Opolszczyzny seniorów. Świetne wyniki uzyskiwali także studenci naszej uczelni: Ginter Palder w rzucie młotem i Józef Wojnar w rzucie dyskiem i pchnięciu kulą. Obaj byli wychowankami Wojciecha Derezińskiego. Warto przypomnieć, że wcześniej sam Wojciech Dereziński był rekordzistą województwa opolskiego w skoku o tyczce i rzucie młotem.

W roku 1960 były organizowane po raz pierwszy obozy sportowe dla aktywnych sportowo studentów naszej uczelni. Na przełomie stycznia i lutego 1960 roku zimowy obóz odbył się w Karpaczu. Następnie zorganizowano zgrupowanie letnie w przerwie wakacyjnej we Władysławowie – Cetniewie nad polskim morzem.

Na początku lat sześćdziesiątych działała również sekcja piłki siatkowej mężczyzn, której organizatorem i aktywnym uczestnikiem był student fizyki, późniejszy pracownik Instytutu Fizyki, Jan Mochniak.

Pasją Wojciecha Derezińskiego była lekka atletyka. Pracując zawodowo, nadal zajmował się działalnością trenerską. Od 1966 roku pracował w „Odrze” Opole (1966–1970) – jednym z jego wychowanków był Mieczysław Kropelnicki, rekordzista Polski w pchnięciu kulą. W latach 1970–1975 był zatrudniony w Wojewódzkim Ośrodku Szkolenia Sportowego w Opolu. Pełnił funkcję trenera koordynatora. Za wybitne osiągnięcia szkoleniowe w lekkiej atletyce otrzymał 1 stycznia 1976 roku tytuł trenera klasy mistrzowskiej.

Wojciech Dereziński był niestrudzony w osiągnięciu wyznaczonych sobie celów. Nie zaprzestał starań o uzyskanie stopnia naukowego doktora: ponownie napisał i obronił pracę doktorską z dziedziny historii kultury fizycznej, 20 czerwca 1977 r., na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Praca dotyczyła powojennego sportu wyczynowego rozwijającego się wśród robotników i chłopów. Tytuł pracy doktorskiej: „Problem kultury fizycznej w działalności społeczno-wychowawczej Związku Walki Młodych 1945–1948”.

Największe sukcesy trenerskie Wojciecha Derezińskiego związane są z grupą miotaczy w „Chemiku” Kędzierzyn-Koźle, wówczas jednej z najsilniejszych sekcji lekkiej atletyki w Polsce. Wśród jego podopiecznych byli wielokrotni mistrzowie kraju: Marek Majkrzak w rzucie dyskiem, Helmut Krieger w pchnięciu kulą (10-krotny mistrz kraju na otwartym stadionie i 9-krotny w hali). Startował też w mistrzostwach świata (1987) i Europy (1986, 1990). Prawdziwym talen-

tem był też Piotr Żurowski, mistrz i reprezentant Polski juniorów (kula, dysk), a także Edward Gładysz (kula, dysk) i wielu innych.

W końcu lat 90. Wojciech Dereziński powrócił do pracy na opolskiej uczelni. Był pracownikiem Studium Wychowania Fizycznego i Sportu WSP w Opolu od 1 października 1987 r. do 30 września 1990 r. Zatrudniony na pół etatu, prowadził sekcję lekkiej atletyki AZS WSP Opole.

Po latach Wojciech Dereziński na stałe osiadł w miejscowości Pokój na Opolszczyźnie, tam założył sekcję sportów siłowych w klubie „Olimpia” Pokój, w którym trenował siłaczy w wyciskaniu sztangi leżąc. Jego zawodnicy zdobyli 23 medale w mistrzostwach świata i Europy.

W maju 2004 roku Wojciech Dereziński jako jeden z najbardziej doświadczonych polskich szkoleniowców królowej sportu otrzymał najwyższe wyróżnienie, jakim jest Honorowa Odznaka „Zasłużony trener lekkiej atletyki”. Tytuł taki nadaje się tylko nielicznym trenerom. W Polsce ma go niewielka grupa szkoleniowców,

a trener Dereziński jest pierwszym posiadaczem tego wyróżnienia na Opolszczyźnie.

W październiku 2009 roku, w czasie uroczystości z okazji 50-lecia Studium Wychowania Fizycznego i Sportu w Wyższej Szkole Pedagogicznej i Uniwersytecie Opolskim dr Wojciech Dereziński otrzymał Medal Uniwersytetu Opolskiego, który wręczyła mu ówczesna rektor uczelni prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja.

Obecnie Wojciech Dereziński mieszka w Pokoju. Dalej jest inicjatorem wielu przedsięwzięć sportowych, w szczególności związanych ze sportami siłowymi.

Zbigniew Zagórowski

Źródła:

1. Notatki autora z rozmowy z W. Derezińskim.
2. Z. Zagórowski „50 lat Studium Wychowania Fizycznego i Sportu WSP i UO”, Opole 2009.
3. J. Wojnar, B. Kociński „Lekka atletyka na Opolszczyźnie w latach 1945–2005, Opole 2006.
4. Akta osobowe W. Derezińskiego – Archiwum Uniwersytetu Opolskiego.

Jubileusz „Radio-Sygnalów”

Narodziny pięćdziesięciolatka

14 kwietnia 1965 r. od kolegi-studenta Wojciecha Wojtysiaka otrzymałem książkę. Z następującą dedykacją: „W pierwszą rocznicę powstania *Radio-Sygnalów* książeczkę tę dedykuję ich twórcy – Włodkowi Kolmanowi”.

Ta książeczka, to opowieść Juliana Strykowskiego „Głosy w ciemności”. Czemu Strykowski, nie wiem. A Wojtek Wojtysiak, z nieznanym mi przyczyn porzucił studia i słuch o nim zaginął. Data zawarta w dedykacji jest jedyną szczegółową informacją o drugim starcie radiowęzła studenckiego, już nie anonimowego (o poprzedniku „Radio-Sygnalów” pisze Zbyszek Korejwo w starannie zebranych i bardzo osobistym wspomnieniu). Tak więc dzięki dedykacji Wojtka wiemy, że start studenckiego studia „Radio-Sygnalów” miał miejsce w kwietniu 1964 roku, po trwającym wiele miesięcy remoncie radiowej siedziby.

Było to 50 lat temu, a obecny jubileusz studenckiej rozgłośni zbiegł się z jubileuszem naszej uczelni, której rektorem jest dziś profesor Stanisław Nicieja, szef „Radio-Sygnalów” w burzliwych latach 60. ubiegłego wieku.

Sprawcami mojego krótkiego anonsu są

Olek Wolański – szef techniczny „Radio-Sygnalów” w latach 1964–1967 i jego żona Janeczka. Przyrzekłem napisać kilka zdań o tym wspaniałym miejscu, gdzie miałem wielkie szczęście spotkać tylu zdolnych i wspaniałych ludzi, dzięki którym mogłem utwierdzić



Jolanta Mirosławska

Studiowanie przez mikrofon

Pewnego smętnego wieczoru w pokoju akademika ciszę przerywa utwór Shadowsów „Blue Star” i słychać zapowiedź: „Tu Radio-Sygnaly...”. I wtedy zrozumiałam, co chcę robić.

Jest rok 1966. Początek studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, milenium państwa polskiego, ale i ważny rok w moim (wówczas Kołodziejówny) życiu. Z duszą na ramieniu przekroczyłam próg amplifikatorni (Boże, co to była za magiczna nazwa!), gdzie rozmowę kwalifikacyjną przeprowadziła ze mną ówczesna kierowniczka programowa Halina Król „Królewna”. Jej ksywka wydała mi się wówczas niezwykle trafna, zrobiła bowiem na mnie wrażenie wyniosłej, po królewsku dostojnej, ale przede wszystkim kompetentnej. Pewnie również dlatego, że byłam oszołomiona i przerażona, ale też zdeterminowana, by zostać sygnałowcem, nawet gdyby moja rola w studio polegać miała na parzeniu kawy szefostwu. Emocje sięgnęły mi zenitu, gdy do akcji wkroczyli Włodek Kolman – szef szefów, i Olek Wolański – szef techniczny, niepodzielny władca amplifikatorni. Posadzono mnie przy biurku w spikerni, pokazano światelka... I odbyła się pierwsza próba mego głosu pokonującego ściśnięte emocjami gardło. Wysłałam ze studia spocona i przerażona, z przeświadczeniem, że był to mój pierwszy i ostatni raz.

Ale wkrótce dostałam zadanie przygotowania niewielkiej audycji literackiej (studiowałam polonistykę) na temat: „Franciszek Karpiński. Poeta serca”. Do dziś mi wstyd za ten szkolny gniot bez polotu i wyobraźni! Mimo kiepskich początków kierownictwo „Radio-Sygnalów” dostrzegło drzemający we mnie potencjał. I pewnego dnia usłyszałam: „Poprowadzisz dzisiaj pro-

gram”. Od tego momentu stałam się członkiem sygnałowej rodziny, a moje życie zdeterminowała praca w „Radio-Sygnalach” (w porywach przeplatana studioowaniem, głównie zresztą podczas sesji).

Jako zieloniutki szczypiorek rozpoczynałam zatem swoją sygnałową karierę”. Nabożny podziw pomieszany z lękiem wzbudzali we mnie szefowie. O Halince „Królewnie” już wspominałam, Włodek Kolman to cała historia! Przystojniak o niezwykłym, ciemnym i ciepłym głosie. Mało, że szef, to jeszcze facet zgoła bez wad, no, może z jedną, ale jakże istotną: na jego ręce *łśniła srogo, obrączka jaką noszą ptaki*... Oboje okazali się zresztą fantastycznymi, mądrymi i życzliwymi ludźmi umiającymi zarazić swoją pasją, zaangażowaniem i miłością do „Radio-Sygnalów”. Zaszczepili nam odpowiedzialność za wizerunek studia, pracowitość i chęć tworzenia, co nie kłóciło się zszaleństwami młodości.

Ręczna ryba

Marzyło nam się tworzenie profesjonalnych słuchowisk. Środki techniczne mieliśmy zresztą absolutnie rewelacyjne – jednym z moich najwyraźniejszych wspomnień jest słuchowisko, w którym wcielałam się w postać... ryby. Co polegało na odtwarzaniu szumu fal – dłonią zanurzoną w misce wody. Jak ją kochałam tę atmosferę, te fluidy, to coś nieuchwytnego, co fruwało w powietrzu w okolicach studia, ukrytego za trzema oknami na parterze „Mrowiska”. Kiedy wracało się z uczelni, nogi same prowadziły tam, skąd dobiegały ówczesne przeboje. A mieliśmy szczęście przeżywać

naszą młodość w rytmie Beatlesów, Stonesów, boskiego Elvisa, Brendy Lee, Paula Anki, Demisa Roussosa, Toma Jonesa – którego „Delilah” wybrzmiewała dramatycznie w przestworza kampusu, zwanego naonczas miasteczkiem akademickim, Clifa Richarda, Tyny Turner etc. etc. Taśmoteka była zresztą imponująca – pewnie nie powstydziliby się takiej niejedno profesjonalne radio – dzięki m.in. ekipie technicznej, którą tworzyli: Olek Wolański – szef, Janeczka Syguła (przyszła Wolańska), Edek Turski, Zygmunt Rudziński, Robert Antoszewski, Staszek Mirosłowski, Andrzej Głowacki, Wirek Rudko, Heniek Mojek.



Ślub Jolanty i Stanisława Mirosławskich

Pozostali pracownicy studia to ekipa spikersko-reżysersko-lektorsko-nie wiem jeszcze jaka tam. Po prostu robiliśmy wszystko, co było w danym momencie potrzebne, czasami też niepotrzebne, ale dla nas ważne. Bo – jakby to pompatycznie nie zabrzmiało – mieliśmy misję. Obsada spikerska: Halinka Król, Wiesia Malong, Krysia Hadrian, Halinka Romuzga (później Nicieja), Luśka – dziewczyna z burzą przecudnych rudych włosów, której nazwiska nie pomnę, Janusz Maćkowiak, Teresa Cichoń i ja, pod koniec drugiego roku studiów – kierownik programowy. Funkcję tę pełniłam niemal do końca studiów, które – o dziwo – ukończyłam w terminie, bez poważniejszych zawirowań w postaci obłanych egzaminów.

Pamiętać należy, że podczas sesji również nadawaliśmy codzienny program, tyle tylko, że opierał się on głównie na koncertach życzeń, które w tym gorącym okresie cieszyły się zresztą szczególną estymą słuchaczy. Życzenia przyjmowała Różyczka Trybus, kasując dwa złote za każde. Nasza taśmoteka liczyła wówczas 150 taśm z trzydziestoma utworami na każdej. Zdobywało się te nagrania poprzez przegrywanie „nielegalnych” płyt, przywożonych przez kogoś z Zachodu. Jeszcze wiele lat po zakończeniu studiów mieliśmy prywatne zbiory taśm przegranych z tamtych, studyjnych.

Umer ma kota

Studio „Radio-Sygnarów” odwiedzali niezwykle goście. Zapadło mi szczególnie w pamięci spotkanie z Wojciechem Młynarskim, wówczas młodym chłopakiem z „wicherkiem” nad czołem, już wtedy mistrzem tekstu piosenki literackiej. Boże, z jakim nabożeństwem przygotowywaliśmy się do tego spotkania! Tymczasem wszedł wyluzowany, przesympatyczny młody człowiek, żaden tam autorytet, który potraktował nas jak partnerów, co ostatecznie zaowocowało koleżeńskim spotkaniem w miejsce dętego wywiadu. Niezwykle emocjonalnie wspominam też występ Magdy Umer w czasie Ogólnopolskiej Zimowej Giełdy Piosenki Studenckiej w Opolu. Był rok 1969 – piąta edycja konkursu. Umer wyśpiewała wówczas III miejsce (*ex equo* z Elżbietą Jodłowską) poetycką piosenką „Jeśli myślisz” (muz. K. Knittel, sł. A. Wojciechowski). W czarowną atmosferę tego wykonania wpisał się zabłąkany kotek, który w pewnym momencie wtargnął na scenę. Piosenkarka przytuliła go, usiadła z nim na brzegu sceny i oboje czarowali publikę. Ona – ciepłem, pięknem i subtelnością. Taka też okazała się w bezpośredniej rozmowie.

Opolskie Giełdy Piosenki Studenckiej były nie tylko



Przymierzanie skórzanej kurtki Daniela Olbrychskiego

istotnym elementem naszego życia studenckiego, ale też pracy poszczególnych redakcji (nagrywanie wywiadów i spotkania w „Radio-Sygnalach”) oraz techników, którzy wiele godzin spędzili w wozie transmisyjnym nagrywając koncerty. Pierwsza Giełda odbyła się w 1965 roku – wtedy, jako uczennica rybnickiego liceum nie wiedziałam nawet, że już za rok, jako studentka WSP w Opolu, będę śledzić rodzące się kariery piosenkarzy, którzy na wiele lat zawładnęli polskim rynkiem muzycznym.

W opolskiej auli wystartowała do swej wielkiej kariery m. in. Urszula Sipińska, która w 1967 r. właśnie u nas po raz pierwszy wykonała „Zapomniałam” zdobywając (zaledwie?) wyróżnienie. Zwyciężył wtedy Jerzy Andrzej Marek, a jego piosenka „Kiedyś było wiele drzew” stała się nieformalnym hymnem młodego pokolenia. Swój sukces powtórzył zresztą za rok, wykonując piosenkę „Daj” ze słowami Adama Kreczmarą i własną muzyką. W czasie Zimowych Giełd rodziły się najprawdziwsze hity. V edycja konkursu przyniosła zwycięstwo Wojciechowi Popkiewiczowi i piosence „Romantyczność”, którą potem podkradali mu wielcy polskiego rynku muzycznego, m. in. Joanna Rawik i Jerzy Połomski. A w 1970 r. pojawił się na scenie w naszej auli szczupłutki, by nie powiedzieć – chudziutki, młody człowiek z własną piosenką „Student żebrak, ale pan” (II nagroda). To był Andrzej Rosiewicz – dzisiaj reprezentujący nieco inny nurt w muzyce. Ale gdy spojrzeć – nadal szczupły, roztańczony, radosny, nawet gdy śpiewa songi ku czci określonych polityków. A w 1971 roku sercami opolskiej, i nie tylko, publiczności zawładnął Jan Kaczmarek wykonując z kabaretem „Elita” przesławną „Kurną chatę”.

Skóra Kmicica

Wprowadziliśmy zwyczaj, by goście „Radio-Sygnarów” składali swoje autografy na płytkach dźwiękoszczelnych w spikerce. Kiedy gościł u nas Daniel Olbrychski, nie przegapiliśmy okazji, by przymierzyć



Rajd andrzejkowy, podejście na Baranią Górę

jego skórzaną kurtkę (jakież to był wtedy szpan – skórę nosili tylko najlepsi!) – co zostało uwiecznione na fotografii. Kogóż zresztą u nas nie było: Teresa Tutinas, Urszula Sipińska, Jan Pietrzak, Jerzy Andrzej Marek, Jan Gerhard, Jerzy Ofierski... Ale też ludzie sportu: ówczesny mistrz świata na żużlu, opolanin Jerzy Szczakiel i szczególnie bliski mojemu sercu kibica żużlowego rybniczanin Antoni Woryna.

Bo redakcja sportowa była w naszych „Radio-Sygnalach” bardzo ważnym miejscem. Tu pracowali Andrzej Głowacki i Staszek Mirosławski, a wcześniej Jasiu Gwoździewicz i Andrzej Mach, którzy już jako pracownicy „Trybuny Opolskiej” pisali także audycje dla naszego radiowęzła. Dzięki nim brać studencka orientowała się w arkanach rywalizacji „Odry” Opole (ówczesna I ligowa drużyna futbolowa) czy „Kolejarza” Opole – drużyny Jerzego Szczakiela. Ba, mieliśmy wgląd w różne dziedziny sportu, także na poziomie A, B i jeszcze jakichś tam klas, a Staszek bie-

gał po boiskach A-klasowych jako sędzieja piłkarski i przekazywał wiedzę z pierwszej ręki.

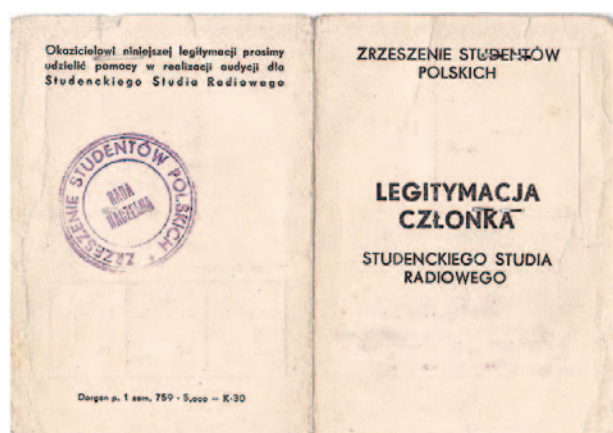
Redakcji historycznej szefował Stasiu Nicieja. Zdziwił nas wówczas powagą i wnikliwością badacza procesów historycznych – my czasami improwizowaliśmy i trochę manipulowaliśmy, on nigdy! Nie mogliśmy wtedy wiedzieć, że po latach przywdzieje togę Jego Magnificencji Rektora Uniwersytetu Opolskiego (dawna WSP). Swoją drogą Staszek był wtedy naprawdę fajnym kumplem, takim samym radosnym młodym człowiekiem, jak my wszyscy, w dodatku zakochanym nie tylko w historii, ale też w bardzo realnej postaci – subtelnej blondynce o ciepłym głosie, noszącej imię Halina, które Staszek zdrabniał jako Hala.

Przebojowi redaktorzy

Niewątpliwymi indywidualnościami byli też pracownicy redakcji muzycznej. Kierownikiem był Zdzichu Twardoch, który wraz z Wirkiem Rudko tworzył audycję dotyczącą muzyki popularnej. Wirek, z którym po wielu latach ciszy spotkaliśmy się w świecie wirtualnym, wspomina, że audycje cieszyły się sporą popularnością i fani, a raczej fanki, często wydzwaniali do nich, co niewątpliwie przekładało się na szczególną popularność niektórych utworów – i rzecz jasna przystojnych panów redaktorów (Wirek mieszka w Niemczech, a pracuje głównie w Chinach). Ale największą indywidualnością redakcji był w moim odczuciu Mietek Pawłów. Jego audycje: „Sopockie festiwale”, „Festiwale Eurowizji” czy „San Remo” to skarbnica wiedzy o trendach muzycznych, wykonawcach, kompozytorach czy tekściarzach tamtych czasów. Mieciu był najprawdziwszym autorytetem! Takiej wiedzy z



Legitymacja członka „Radio-Sygnalów”





Obrady Kolegium Programowego „Radio-Sygnalów”

niełatwych przecież i niekoniecznie najpopularniejszych dziedzin muzyki mogli mu pozazdrościć nie tylko przeciętni zjadacze chleba, ale też niejeden redaktor muzyczny profesjonalnych radiostacji.

Czas wreszcie przypomnieć Sygnałowe Rajdy Andrzejkowe. Dlaczego wszystko wielką literą? Ano bo były to rajdy przez wielkie „R” i mogły zdarzyć się tylko ludziom młodym, nie do końca świadomym zagrożeń, jakie niosą góry, zwłaszcza zimą, no i jeszcze mocno szalonym – z dzisiejszej perspektywy nobliwej emerytki, piszącej te słowa. Hasło naczelne – „rajd bezalkoholowy”. W rozwinięciu: „bez alkoholu wyruszać nie należy”. Nasz cel – Stożek. Nawet latem niekoniecznie łatwy, a przy śniegowej nawale – ho! ho! I jak tu nie skorzystać z zapasów zgromadzonych w plecakach?

Muszę jeszcze napisać o pokoju 134 na I piętrze „Mrowiska”. Tylko z pozoru pokój jak pokój, ale gdyby te ściany mogły mówić... Oj! powstałby niezły thriller. Mieszkali w nim sami sygnałowi wyjadacze, elita elit po prostu! I tak: Edek Turski, a pod nim na piętrusie Olek Wolański; Zygmunt Rudziński (góra), Janusz Kwaśniak (dół), z boku na przeciwległej ścianie Jurek Skuła, Remek Tymanowski – w pawlaczu (na waleta). Druga zmiana: Zygmunt (góra), Staszek Mirosławski (dół); Olek (dół na tej samej ścianie – jeden piętrus zlikwidowany), Heniek Mojek (przeciwległa ściana).

Ten pokój otoczony był przez młodszych mieszkańców akademika szczególną estymą, niemal czcią – zasłużoną zresztą (był sygnałowy z pokolenia na pokolenie). Ileż w nim odbyło się imprez imiennowo-urodzinowych, iluż ważnych, także politycznych dyskusji był świadkiem, iluż uczuciowych

wzlotów i upadków! Trzeba uczciwie przyznać, że czasami służył też mieszkańcom do spania, po prostu mieszkania, nawet nauki i podobnych prozaicznych czynności.

Przyjazne echo

Użyłam w tym wspomnieniu określenia sygnałowa rodzina. Bo tak właśnie było! Więzy zadzierzgnięte w ciągu tych pięciu sygnałowych lat przetrwały w postaci przyjacielskich kontaktów do dziś, choć życie rzuciło nas w różne strony kraju i świata. A ileż gorących uczuć zrodziło się w naszym sygnałowym domu. Przecież byliśmy młodzi,

otwarci, obok solidnej pracy pragnęliśmy ciepła, radości, miłości. Wystarczy wspomnieć, że za mojej kadencji w „Radio-Sygnalach” narodziły się fantastyczne małżeństwa: Janeczka i Olek Wolańscy, Maryla i Zygmunt Rudziński, Bronka i Heniek Mojkowie, Halinka i Stasiu Niciejowie, Irenka i Andrzej Głowaccy. No i my – Jolka i Staszek Mirosławscy.

Ciepłe wspomnienia wiążą się też z obchodami jubileuszy „Radio-Sygnalów”. Piętnastolecie dopadło mnie na drugim roku. Zjechało się sporo gości, także dawnych pracowników radiowęzła, którzy zdążyli już zagnieździć się w zawodowej rzeczywistości. Przez całą niedzielę emitowany był program specjalny, a przed południem odbyły się oficjalne uroczystości: przemówienia, wspomnienia, podsumowania... Wszyscy byli tak uroczyści i dostojni, że i na nas, codziennych wyrobników, spłynęło trochę splendoru. Potem wyruszyliśmy do Radia Opole, pewnie by się dowartościować. A po południu, w „Skrzacie” – tańce, hulanki, swawole. Integrowały się pokolenia sygnałowej braci. Młodzi



Jubileusz 15- lecia „Radio-Sygnalów”



Znaczek „Radio-Sygnalów”

z podziwem spoglądali na weteranów i ani nam przez myśl nie przeszło, że już na następnym zjeździe to my będziemy weteranami.

Odczułam to na własnej skórze, gdy po studiach, już jako goście honorowi przyjechaliśmy na XX-lecie radiowęzła. Organizatorzy (jakże oni wydali mi się młodzi!) przewidzieli w programie obchodów „ku czci”

quiz pół żartem, pół serio z wiedzy o „Radio-Sygnalach”. Zawodnikami byli adepci sztuki radiowej, a my, przybysze z innego już świata, pełniliśmy funkcję szacownego jury. Pada pytanie z tezą i wyraźnym wskazaniem, bo przecież chodziło o dopieszczenie gościa honorowego: „Kogo w latach 1968–1971 uważano za najpopularniejszą spikerkę RS?” I co? I nic – mówiąc najsubtelniej. Prowadzący dwoi się i troi, żeby naprowadzić na mnie, a młódź wszeteczna ani myśli się połapać, że tak przecież wypada. Po karuzeli nazwisk sam prowadzący tryumfalnie rzuca wreszcie moje nazwisko. W tym momencie współczułam prowadzącemu, bo został wpuszczony na potężną minę. Na tym zjeździe byłam już „wapnem” dla młodzieży.

Jolanta Mirosławska

Andrzej Hamada

Dziesięć dni pod zamknięciem

Jest rok 1951. W czerwcu kończę studia na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, już w lipcu zaliczam wszystkie egzaminy i ćwiczenia, dostaję wszystkie wpisy w indeksie i wymarzone dopuszczenie do egzaminu dyplomowego.

Nasz rocznik był ostatnim w strukturze studiów magisterskich czteroletnich, już nasi następcy studiowali architekturę lat sześć i dwustopniowo: pierwszy sto-

pień inżynierski, drugi magisterski. A i sam sposób nauczania i uczenia się był inny. Pierwsze lata powojenne, brak wszystkiego, także podręczników szkolnych. Wykłady trzeba było dokładnie notować i rysować, nieobecność na wykładach powodowała straty nie do odrobienia. Rysunki i projektowanie wykonywało się ołówkiem i tuszem na papierze szkicowym (tzw. szkicówka), na kalce i na białym, specjalnym kartonie *schoellershammer*.

Więc ja – jedyny na roku – nie opuszczałem żadnego wykładu i ćwiczeń (co było powszechnie znane, i na co zwrócił później uwagę pan dziekan podczas wręczania dyplomu), miałem więc wszystkie notatki z wykładów, które stale wypożyczali ode mnie koledzy. Dlatego też mogłem się zgłosić do egzaminu dyplomowego w pierwszym terminie, już w listopadzie 1951. Z naszego roku, który liczył na początku 110 słuchaczy, zgłosiło się do egzaminu dyplomowego w pierwszym terminie tylko dwunastu śmiałków.

A i egzamin dyplomowy był wówczas bardzo specjalny: praca projektowa klauzurowa, dziesięć dni pod zamknięciem. Wcześniej należało wybrać dziedzinę, spe-



Autor (z lewej) podczas obrony pracy dyplomowej



Pierwszy zjazd odbył się w Opolu, a uczestniczyli w nim, oprócz autora (z lewej): Ryszard Chrabąszcz, Edmund Cierniak i Zygmunt Schmidt

cialność, z jakiej się chce robić dyplom, np. architektura utylitarna, przemysłowa, monumentalna, budownictwo wiejskie, architektura okrętu itd. Ja wybrałem architekturę monumentalną (hotele, banki, teatry, mu-

zea itp.), więc moim promotorem był prof. Witold Minkiewicz, kierownik Katedry Architektury Monumentalnej.

Egzamin składał się z dwóch części: pierwsza – wykonanie projektu na zadany temat (w przeciągu dziesięciu dni; w zamkniętej sali kreślarskiej, pod kluczem; tylko przerwy nocne w domu i krótkie przerwy obiadowe). Druga część po kilku dniach odpoczynku, obrona dyplomu. Na tablicach w sali wykładowej rozwieszał absolwent całą swoją pracę projektową, zwykle było to kilkanaście dużych arkuszy, po czym referował projekt siedzącemu w pierwszym rzędzie sali gronu profesorskiemu z dziekanem wydziału na czele. Za nimi zwykle pełna sala ciekawskich stu-

dentów i kolegów. Profesorowie zadawali pytania, także podchwytliwe, komentowali, petent odpowiadał.

Stawiliśmy się oznaczonego dnia i godziny w dużej sali kreślarni; było nas wszystkich razem osiemnastu,



Takim fotomontażem upamiętniono kolejny, czwarty zjazd (Żnin, 26–27 listopada 1955 r.)

bo do naszej dwunastki dołączyli koledzy z wcześniejszych roczników. A była to sobota rano, i tego dnia, po otrzymaniu tematu projektowego (co było dotychczas wielką niewiadomą), należało do wieczora wykonać pełną koncepcję projektu, rzuty, przekroje, elewacje oraz widoki perspektywiczne i zagospodarowanie terenu.

Ja dostałem temat rzeczywiście monumentalny: teatr na 900 widzów. Wraz z jeszcze czterema kolegami mieliśmy wspólnie zagospodarować główny plac miejski, z rozmieszczeniem projektowanych obiektów (hotel, muzeum itp.); oczywiście mój teatr był tam dominantą usytuowaną na głównej, podłużnej osi placu. Adiunkci i asystenci krążyli po sali, odbywali korekty, dyskutowali, pomagali dojść do najlepszego rozwiązania; to bardzo pomagało i podtrzymywało na duchu.

Tego pierwszego dnia wieczorem adiunkci pokrywali wszystkie ołówkowe rysunki utrwalającą fiksatywą i praca miała być w następnych dniach kontynuowana. Wieczorne oddanie koncepcji przyniosło ogromną ulgę; ale też i potrzebę uzupełnienia wiedzy na ten temat. A jutro niedziela, zasłużony wypoczynek, no i możliwość poszukania materiałów i pogłębienia wiedzy na zadany temat.

A potem... już poleciało. Wytężona praca całymi dniami – pod zamknięciem; sterty szkiców, obliczeń. Wreszcie rysowanie na czysto, przygotowanie do prezentacji. Mój projekt, a było tego kilkanaście arkuszy dużego formatu, przedstawiał się teraz dobrze. A w każdym razie tak mnie się wydawało.

Ostatni dzień pracy, zmęczenie fizyczne i zmęczenie tematem sięgają zenitu. Wieczorem oddawanie prac, przyjmuje sam pan dziekan w asyście adiunktów i przy wtórze pozostałych kolegów dyplomantów. Wreszcie odprężenie psychiczne, koniec tej mitręgi! Nawet sypią się żarty. Pamiętam jak dziś, że coś długo się grzebałem przy oddawaniu pracy, aż pan dziekan, ponaglając mnie, z uśmiechem skomentował: „Ten pan Hamada to jakby pierwszy raz w życiu dyplom robił?”.

To było jak uroczysty egzamin, pamiętny dla mnie dzień 30 listopada, bo akurat w dzień moich imienin. Na wielkich tablicach rozwiesiłem projekt, prezentował się imponująco; teraz dopiero zobaczyłem ogrom wykonanej pracy. Trema rośnie, taka ważna chwila zdarza się tylko raz w życiu. Referuję moje rozwiązania projektowe, jak do tego doszedłem, dlaczego tak, a nie inaczej, omawiam walory funkcjonalne i architektoniczne. Wyjaśniam to i owo i, pamiętam, nawiązałem też sprytnie do historii teatru, od greckiego amfiteatru począwszy (ażeby trochę olśnić to surowe grono profesorskie, bo historia architektury już wtedy była moją specjalnością, wykładałem ten przedmiot w gdańskim technikum budowlanym).

Ale profesorowie wiedzą wszystko lepiej i więcej. Zarzucili mnie bardzo dociekliwymi pytaniami z różnych dziedzin, ale teatru dotyczącymi. Akustyka sali, pogłos, rampy, światła, sznurownia, zapadnie, magazyny jakichś praktykabili i butaforii, i jeszcze wiele tym podobnych spraw. Pokazali mi, jak bogata i złożona

jest problematyka takiego przedsięwzięcia, jak teatr¹. Ale najważniejsze: zdałem egzamin. I to na bardzo dobrze, taki wpis mam w indeksie.

Nadeszła pora pożegnania. Z politechniką, z kolegami, i z moim od urodzenia Gdańskiem; wkrótce stanę przed komisją przydziału pracy i dostanę skierowanie do dużego biura projektów w Łodzi, a stamtąd – do Opola.

Ale też będzie piękne pożegnanie z gronem profesorskim. Jako dyplomanci zaprosiliśmy panów profesorów, z dziekanem na czele, na uroczysty bankiet pożegnalny, który zaaranżowaliśmy w reprezentacyjnej sali Grand Hotelu w Sopocie.

Tam też, podczas tego spotkania, umówiliśmy się w gronie czterech najbliższych przyjaciół, że bez względu na okoliczności będziemy się co roku spotykać 30 listopada, w rocznicę naszej obrony dyplomu. Oprócz mnie tę czwórkę tworzyli Ryszard Chrabąszcz z Warszawy, Edmund Cierniak i Zygmunt Schmidt z Gdańska; szliśmy wspólnie przez całe studia, robiliśmy wspólnie projekty i w końcu wspólnie pracę dyplomową.

I tak się działo. Pierwszy nasz historyczny zjazd miał miejsce, no gdzieżby indziej, oczywiście w Opolu; bo ja się pierwszy ożeniłem, ja już miałem nowe własne mieszkanie dwupokojowe. A po roku dokoopowaliśmy do naszej czwórki kolegę Zbigniewa Czekanowskiego², z którym, w pięciu, wykonywaliśmy pracę dyplomową; nie trzeba chyba dodawać, że cała nasza piątka zdała na piątkę egzamin dyplomowy.

Tradycja rocznicowych spotkań była przez wiele lat kontynuowana, zjeżdżaliśmy się wraz z przybywającymi z czasem współmałżonkami kolejno w Opolu, Gdańsku, Warszawie i w Żninie. I miały te nasze spotkania uroczystą oprawę i specyficzny rytuał, na wzór (żartobliwie) wielkich zjazdów partii. Więc poprzedzane zaproszeniami, plany zjazdu i porządek obrad. I wybory przewodniczącego, dyskusje, odbieranie głosu i ad vocem. To wszystko było bardzo sympatyczne i śmieszne.

Z czasem nasze przyjacielskie grono stopniowo się wykruszało, aż w końcu taka tradycja wielkich zjazdów jakby niepostrzeżenie zanikła. Pozostały piękne wspomnienia wspólnych lat studiów i wspólnego dyplomu.

Andrzej Hamada

¹ Bardzo mi się to później przydało, już w Opolu, kiedy to na zlecenie wojewódzkiego wydziału kultury w 1958 roku wykonywałem opracowanie „Założeń projektowych budowy nowego teatru w Opolu” (dzisiejszy Teatr im. Jana Kochanowskiego).

² Zbigniew Czekanowski – później docent, znakomity pedagog i projektant, twórca wielu znaczących i nagradzanych obiektów.

O polonizmach w niemczyźnie

Z zainteresowaniem przeczytałem tryskający erudycją i humorem 32. odcinek cyklu „Za szybkie pisanie” i od tej chwili zaprzęta mój umysł riposta autora, dr. Adama Wiercińskiego, dana prof. Andrzejowi Markowskiemu, który w rozmowie-rzece („Wszystko zależy od przyimka”, Warszawa 2014) przy okazji omawiania wpływów języków na siebie konstatuje, że „Na zachód nie wyeksportowaliśmy żadnego słowa” (INDEKS, nr 5-6, 2014 str. 43). Przyłącza się dr Adam Wierciński do profesora Miodka przytaczającego słowo „quark”, aby dowieść tym, że jednak są jakieś zapożyczenia w niemieckim z języków słowiańskich i przychodzi mu w sukurs, rzucając na szalę garść słów dowodzących przenikania w niemieckojęzyczny obszar słów polskich. Jako polski Niemiec (lub niemiecki Polak) postanowiłem przybyć z odsieczą autorowi cyklu i darzonemu moim szacunkiem śląskiemu poloniście, dokładając się z kilkunastoma przykładami na poparcie tezy, że aż tak tragicznie sprawy się nie mają, chociaż cały czas świadom jestem faktu, że szala ani drgnie, bo przykładów zapożyczeń z języka niemieckiego można by mnożyć w języku polskim tysiącami, a na Uniwersytecie w Oldenburgu powstał już słownik naukowy zapożyczeń z niemieckiego („Wörterbuch der deutschen Lehnwörter in der polnischen Schrift- und Standardsprache”). Dość wspomnieć też, że PWN wydał „Słownik zapożyczeń niemieckich w polszczyźnie”, który ukazał się pod redakcją dra hab. Marka Łazińskiego.

Wracając zaś do słów zapożyczonych z języka polskiego i funkcjonujących do tej pory w języku standardowym niemieckim, to poza wspomnianym już przez najwybitniejszego Ślązaka-poloniście rzeczownikiem Quark, którego polska proweniencja w słowniku DUDENA zostaje wyraźnie podana wraz z odniesieniem do późnośredniowysokoniemieckiego ‘twarc’, ‘quarc’, pozwolę sobie dorzucić kilka innych słów wraz z krótkim opisem ich znaczenia w dzisiejszej niemczyźnie, zaczerpniętych z słowników wydanych w renomowanym wydawnictwie DUDENA:

1) Tschapka, die (już wspomniana przez autora cyklu, to nakrycie głowy ułanów, gdzie na okrągły hełm nakładano czworoboczną nasadę skierowaną szczytem do góry, jak podaje DUDEN).

2) Grenze, die (Wspomniane przez autora słowo to, moim zdaniem, najpowszechniejsze zapożyczenie z języka polskiego. Już w fundamentalnym słowniku języka niemieckiego zapoczątkowanym przez braci Grimm, a dokładnie w tomie 9., wydanym w 1935 r., w szpalcie nr 124 możemy przeczytać, że rzeczownik ten został zapożyczony z języków słowiańskich i

wskazuje się tam bezpośrednio na polskie słowo „granica” oraz czeskie „hranice”. W literaturze można znaleźć liczne odniesienia do tego faktu, które rzucają jaśniejsze światło na odległą genezę zapożyczenia. Do kwestii tej nawiązuje chociażby Klaus Zernack w artykule „Deutschlands Ostgrenze”, który ukazał się w pracy zbiorowej („Deutschlands Grenzen in der Geschichte”, pod redakcją A. Demandta, Monachium 1991). Artykuł ten został wydany również w polskim tłumaczeniu w publikacji „Niemcy–Polska: z dziejów trudnego dialogu historiograficznego”, zbierającej prace Klaus Zernacka, która ukazała się jako 23. tom Poznańskiej biblioteki niemieckiej w 2006 r. Tam też możemy przeczytać przy okazji omawiania okresu X–XII w. oraz polsko-niemieckich prób rechrystianizacji krajów położonych między Łabą a Odrą i niemieckiej kolonizacji: „Jego rezultatem była (do połowy XII w.) nowa epoka w niemieckiej polityce wschodniej; wówczas to powstanie nowych plemion niemieckich w nowych wschodnich Niemczech pociągnęło za sobą głębokie zmiany i spowodowało przesunięcie granic niemiecko-polskich. Wraz z tymi procesami przeniknęło do niemczyzny, najpierw w państwie krzyżackim, słowo *Grenze*, jak wiadomo zapożyczone z języków słowiańskich”, str. 159).

3) Peitsche, die (zapożyczenie z języków słowiańskich, występuje w języku wschodniośrodkowoniemieckim jako ‘pītsche’. W etymologii wskazuje się również na polski rzeczownik ‘bicz’).

4) Gurke, die (w etymologii wskazuje się na języki wschodniosłowiańskie, w tym na polski ‘ogórek’).

5) Säbel, die (długa broń biała sieczna z wygiętą głownią, wskazuje się na prawdopodobne zapożyczenie z polskiego ‘szabla’ i węgierskiego ‘szablya’. W późnośrodkowowysokoniemieckim poświadczono istnienie słowa ‘sabel’).

6) Traft, die (duża tratwa na Wiśle, wskazuje się na regionalny charakter występowania tego określenia).

7) dalli (przysłówek o znaczeniu ‘szybko’, ‘rychle’, na przykład: dalli, dalli! dali machen – spieszyć się, pochodzi z polskiego ‘dalej’).

8) Penunze, die (nie da się ukryć, to po prostu polskie „pieniądze”).

9) Schlachta, die (z języka polskiego, oznacza niższą szlachtę w Polsce).

10) Zimbal, das (instrument wykorzystywany we wschodnioeuropejskiej muzyce ludowej, chociaż gdzieś tam w oddali pobrzmiwa nam łacińskie ‘cymbalum’).

11) Kaleika, das (występuje w języku potocznym, regionalne, odnotowano w słowniku języka ber-

lińskiego „Berlinerische Deutsch Wörterbuch, wyd. 2013, oznacza żart, jakiś bezsens, niepotrzebne utrudnienia, trudności, problemy. Po raz pierwszy poświadczony użycie w Brandenburgii w 1845 r. Wywodzi się z polskiego ‘kolejka’).

12) Graube, die (drobno skruszone ziarna jęczmienia lub pszenicy. W polskim znane jako ‘krupa’. Zresztą moja ‘olma’ robiła mi krupy na maśle. Jako dziecko nie lubiłem tej potrawy, ale dziś z sentymentem poprosiłbym o jej zaserwowanie).

13) Wildschur, die (w XIX w. tak nazywano ciężkie futro. Jak można doczytać się w słowniku, jest to zapożyczenie z polskiego ‘wilczura’, czyli nic innego jak skóra z wilka, używana – jak pisze prof. Doroszewski w swoim 10-tomowym opus magnum – jako nakrycie. W 10. tomie DUDENA czytamy, że etymologicznie można wyróżnić w tym przypadku wpływ dwóch niemieckich słów ‘Wild’ i ‘Schur’ a więc ‘dzikie zwierzę’ i ‘strzyża’. Jest to więc oddziaływanie zwrotne).

14) Rendzina, die (warstwa gleby czarnej, brązowej z dużą domieszką humusu, położona bezpośrednio na warstwie zawierającej odłamki kamienia wapiennego, na skałach wapiennych. Zapożyczono ze słowa ‘rędzina’).

15) Kalesche, die (lekki powóz, bryczka ze składanym dachem, karoca, przyjmuje się, że pochodzi od polskiego słowa ‘kolasa’).

16) Dups, der (taki smaczek na koniec, jako określenie archaiczne, występujące regionalnie, głównie na Śląsku. Oznacza tyle co ‘zadek’, ‘tyłek’, z polskiego – ‘dupa’. Słowo odnotowano w 2. tomie 10-tomowego Wielkiego słownika języka niemieckiego w III wydaniu z 1999 r.).

Jest to taki subiektywny spontanicznie i szybko spisany wybór, który dosyłam z opóźnieniem – biorąc przynajmniej pod uwagę datę ukazania się artykułu w „Indeksie”. Myślę, że to akurat dowód na to, iż teksty z cyklu „Za szybkie pisanie” mają zdecydowanie ponadczasowy charakter i wolno, ale sukcesywnie oddziałują na umysły.

Można by jeszcze znaleźć trochę więcej słów wyeksportowanych z Polski do Niemiec: *Britschka*, *Schlachtschitz*, *Jarmulke* itp., ale pozostawmy coś pracownikom naukowym lub autorom pierwszego słownika zapożyczeń polskich w niemieckim. Wszystkie te słowa są również poświadczony w najnowszym wydaniu słownika poprawnej pisowni języka niemieckiego wydanym przez renomowane wydawnictwo DUDEN, gdzie wskazuje się na związki z językiem polskim i innymi językami słowiańskimi, chociaż w niektórych przypadkach można polemizować, jak w przypadku ‘kolasy’, wszak czytamy już u Owidiusza: *gens inculta nimis vehitur crepitante colossa*.

Mam nadzieję, że coś ruszy się w sprawie w związku z Tygodniem Germanistyki Opolskiej, gdzie 25 marca zaplanowano warsztaty o wzajemnym przenikaniu się języków: „Czy Fenster i Gurke to słowa niemieckie, a chleb, żur i burmistrz słowa polskie?”. Niewykluczone, że przygotowując te warsztaty, inspirowano się poszukiwaniami dr. Adama Wiercińskiego.

Łączę wyrazy szacunku

Waldemar Gielzok

prezes Niemieckiego Towarzystwa Oświatowego

Listy, polemiki

W te zimowe, długie wieczory miło jest poczytać listy od przyjaciół. Właśnie dostałam z Ratzbony garść informacji od Heinza Kneipa (były student WSP, obecnie profesor slawistyki). Zastanawiam się, czy którykolwiek jeszcze z absolwentów naszej uczelni przez ponad 60 lat prowadzi korespondencję? O naszych studenckich listach pisałam już w „Indeksie”, Wojciech Dindorf cytował je w swojej monografii „Na początku był kabaret” – jeden z tekstów dołączony został do książki. Dzisiaj częściej z Heinzem rozmawiamy przez telefon, jednak listy również przekraczają granice.

W ostatnim podzieliłam się moją wielką radością, że otrzymałam w Katedrze Poznańskiej, z rąk ks. arcybiskupa Stanisława Gądeckiego, medal „Optime Merito Archidioecesis Poznaniensis”.

W odpowiedzi Heinz przesłał mi sporo informacji o swych dziejach. Na szczególną uwagę zasługuje jego przyjaźń z Tadeuszem Różewiczem.

Heinz poznał poetę w czasie Dni Kultury Polskiej,

w 1976 r., w Erlangen. Zaprosił go do Ratzbony na spotkania autorskie. Od tej pory wybitny polski poeta i dramaturg niejednokrotnie gościł w domu Heinza Kneipa, o czym wspomina w swojej książce jego syn Matthias: *Zawsze dokładnie wiedzieliśmy o kim mowa, gdy moi rodzice mówili, że przyjeżdża Tadeusz. Cieszyliśmy się z odwiedzin polskiego wujka, który mówił dobrze po niemiecku i od czasu do czasu chodził z nami na boisko, by rozgrywać międzynarodowy mecz piłkarski¹ (M. Kneip „Z sercem w plecaku. Spotkania z Polską”)*.

Na ostatnim Zjeździe Absolwentów WSP i UO w Opolu dużo rozmawialiśmy o tych serdecznych stosunkach z rodziną Różewiczów. Goszcząc u Kneipów, poeta napisał wiele utworów, których jeszcze nie publikowano.

Cecylia Ławniczak-Bohdziewicz

¹ M. Kneip „Z sercem w plecaku. Spotkania z Polską”

Mniejszość niemiecka nie chce znaku rodła na insygniach marszałka

Łańcuch nie połączył

Przez kilka marcowych tygodni opolskie gazety żyły dyskusją, jaka zdominowała obrady radnych naszego sejmiku, a dotyczyła insygniów: łańcucha marszałka woj. opolskiego oraz laski przewodniczącego sejmiku.

Pomysł wykonania tych insygniów wyszedł – na początku kadencji – od przewodniczącego Sejmiku Woj. Opolskiego **Norberta Krajczego**. Wybrany przez radnych (z komisji nauki, edukacji, kultury i sportu oraz komisji współpracy z zagranicą i promocji regionu) projekt łańcucha marszałka woj. opolskiego z wizerunkiem księcia Jana II Dobrego, orła piastowskiego i znakiem rodła, autorstwa opolskiego rzeźbiarza, **prof. dr. hab. Mariana Molendy** (Pracownia Rzeźby Instytutu Sztuki UO) wzbudził duże zastrzeżenia mniejszości niemieckiej. Największe – znak rodła, symbol, który, zdaniem szefa sejmikowego klubu mniejszości niemieckiej i Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim **Norberta Rascha**, „nie przemawia do całej społeczności województwa”, zamiast łączyć – dzieli, nie uwzględnia bowiem wszystkich grup mieszkających na Opolszczyźnie, jak kresowianie czy mniejszość niemiecka.

Do dyskusji nad symboliką insygniów przewodniczącego sejmiku i marszałka województwa przyłączył się także, w liście do przewodniczącego Sejmiku Woj. Opolskiego **Norberta Krajczego**, rektor UO **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**. W liście, którego fragment zamieściła także opolska „Gazeta Wyborcza”, czytamy m.in.:

„Pojawiające się głosy, które kwestionują symbolikę zawartą w projekcie prof. Mariana Molendy, uważam za nieuzasadnione. Cóż to bowiem znaczy, że symbolika tego łańcucha *godzi w wielokulturowość naszego regionu?*”

Na Opolszczyźnie od wieków dominowały wyraziście dwie kultury: polska oraz niemiecka. Był czas, że wyrazista była tu również kultura żydowska, unicestwiona brutalnie i skutecznie przez niemiecki nazizm. Po wojnie wielokulturowość Śląska Opolskiego w zasadzie zamyka się w dwóch kulturach: polskiej i niemieckiej – z różnymi odcieniami śląskości i tradycjami przesiedlonych tu kresowian. Wyraża się to głównie w języku i obyczajach.

Jeśli chodzi o wprowadzenie do łańcucha znaku rodła uważam, że w państwie polskim, którego integralną częścią od 70 lat jest Śląsk Opolski, symbolika ta jest w pełni zrozumiała, logiczna i uzasadniona. Należy bowiem pamiętać, iż Śląsk jako region znajdował się na przestrzeni swoich tysiącletnich dziejów w strukturach różnych państw. Początkowo w czasach piastowskich należał do państwa polskiego, następnie

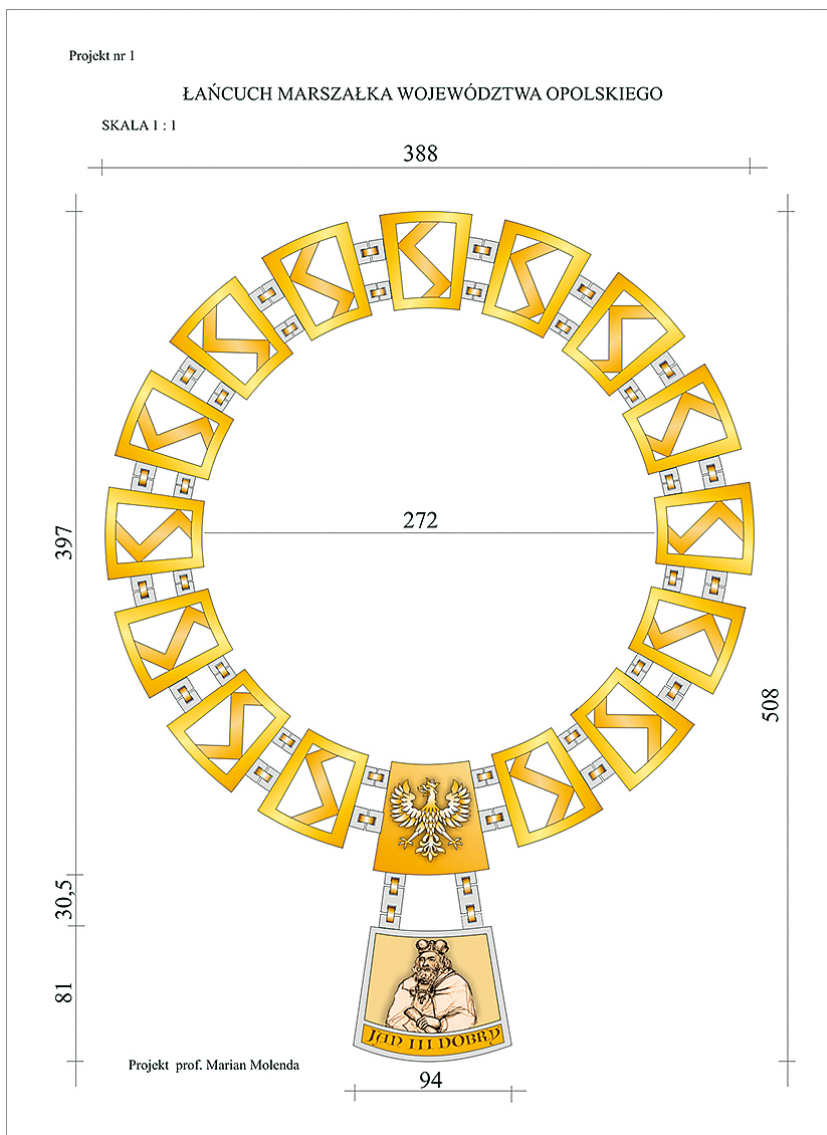
przez kilka wieków należał do państwa austriackiego (a konkretnie monarchii habsburskiej). Po wojnach śląskich, czyli zbrojnym konflikcie między Marią Teresą (cesarzową Austrii) a Fryderykiem Wielkim (królem Prus), stał się na około sto lat częścią państwowości pruskiej, a od 1871 roku (po zjednoczeniu Niemiec) znalazł się w cesarstwie niemieckim. W 1945 roku Armia Czerwona usunęła stąd Niemców i na podstawie decyzji przywódców zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej (ZSRR, Stanów Zjednoczonych i Anglii) Śląsk Opolski stał się znów – po wiekach – częścią państwa polskiego.

W czasach, gdy było tu państwo niemieckie, mieszkający tutaj Polacy i Ślązacy walczyli o swoje prawa oraz o przynależność do państwa polskiego. O tę ziemię toczyła się ostra walka między Polakami i Niemcami. I kiedy Niemcy tworzyli tu swoją państwowość i swoją administrację, posługiwali się własną symboliką i odpowiadającą im interpretacją historii. Z polskiego punktu widzenia ta interpretacja była odrzucana.

Nawet w okresie najbardziej brutalnych antypolskich rządów na Śląsku Opolskim, czyli w okresie hitlerowskim (III Rzesza), Polacy upominali się tu o swoje prawa. Jedną z organizacji, która wysoko niosła polski sztandar narodowy był Związek Polaków w Niemczech, a jednym z jego licznych przywódców był wybitny polski publicysta Edmund Jan Osmańczyk. Trzeba było wówczas mieć wielką odwagę cywilną, aby w warunkach brunatnego faszyzmu mówić głośno na Śląsku Opolskim, że jest się Polakiem. Dla przykładu: Edmund Osmańczyk był poszukiwany przez gestapo, a walcząc z Niemcami w powstaniu warszawskim, stracił syna.

Ci, którzy na Śląsku Opolskim mieli odwagę nie podpisać volkslisty, trafiali do niemieckich obozów koncentracyjnych. Taki los spotkał prof. Teodora Musioła – przyszłego twórcę pierwszej wyższej uczelni w Opolu (WSP), który za odmowę podpisania volkslisty przesiedział 5 lat w kaciecie w Dachau i wyzwolony przez Amerykanów ważył w 1945 roku 40 kilogramów, a więc cudem przeżył. O tych sprawach obszernie pisze wybitny przedwojenny polski pisarz Stanisław Wasylewski w głośnej przed wojną książce „Na Śląsku Opolskim”, za którą też znalazł się na liście poszukiwanych przez gestapo, i aby ochronić życie żył w głębokiej konspiracji.

To właśnie w czasie III Rzeszy Polacy walczący o swoje prawa na Śląsku wprowadzili znak rodła. Cóż on znaczy? Przedstawia kształt głównej polskiej rzeki – Wisły, z zaznaczeniem miejsca, w którym leży Kraków jako dawna stolica Rzeczypospolitej. Jest to piękna symbolika, w polskiej kulturze i historii bardzo znacząca.



Projekt łańcucha marszałka woj. opolskiego autorstwa prof. Mariana Molendy

Obecnie Śląsk Opolski jest w granicach państwa polskiego i obowiązuje tu polska symbolika: białoczerwona flaga narodowa, biały orzeł w koronie na czerwonym tle, hymn narodowy ze słowami „Jeszcze Polska nie zginęła”. I do tej symboliki należy również rodło – czyli symboliczny znak Wisły – królowej polskich rzek, ze staropolską stolicą – Krakowem.

Czym ta symbolika godzi w wielokulturowość? Państwo polskie ma prawo do swojej symboliki, tak jak państwo niemieckie na swoim terytorium ma prawo do swojej symboliki: swojej flagi, kształtu i koloru orła, słów hymnu narodowego. Znak rodła nie godzi

w żadną inną narodowość, nie wiąże się z żadnymi polskimi prześladowaniami w stosunku do mieszkańców tej ziemi, nie nawołuje do czegoś niegodnego bądź źle się kojarzącego.

Znak i symbolika rodła jest bardzo oryginalnym pomysłem artystycznym mocno zakorzenionym w polskiej kulturze politycznej. I artysta Marian Molenda, sięgając po tę symbolikę i wykorzystując ją w projekcie łańcucha, dał wyraz, iż głęboko rozumie tradycję polskości i podkreśla znaczenie „ludzi rodła” w dziele odzyskania Śląska Opolskiego przez państwo polskie. To jest jedna z polskich legitymacji do tej ziemi. I w państwie polskim, które szanuje obywateli czujących się nie-Polakami, nie godzi w ich interesy, nie dyskryminuje ich i pozwala im współzrządzić tym regionem, jedynie wskazuje, że dzięki m.in. świadomości i pracy rodłaków Śląsk Opolski jest dziś integralną częścią niepodległego, suwerennego państwa polskiego.

Pogląd ten w pełni akceptuje obecne kierownictwo Uniwersytetu Opolskiego, gdyż mamy świadomość, że gdyby nie było działania rodłaków i gdyby nie wróciła tu polska państwowość, to w Opolu nie byłoby polskiego uniwersytetu, polskich muzeów, polskich teatrów, polskiej filharmonii i polskich wydawnictw.

Mając powyższe na względzie, Kolegium Rektorów Uniwersytetu Opolskiego w pełni akceptuje pomysł prof. dra hab. Mariana Molendy, aby w łańcuchu marszałka województwa opolskiego był znak rodła, który – co pragniemy podkreślić – w żadnym wypadku nie godzi w wielokulturowość tego regionu, bo jest znakiem odważnej walki w ciężkich czasach brutalnego faszystowskiego prawa bycia Polakiem na ziemi, która dzisiaj jest integralną częścią państwa polskiego.

(b)

Symbol Związku Polaków w Niemczech – rodło, powstał w 1933 r., z inspiracji dr. Jana Kaczmarka. Znak, który zaprojektowała Janina Kłopocka, symbolizuje bieg Wisły, jest na nim zaznaczony Kraków jako kolebka polskiej kultury. Zadanie nazwania znaku powierzono Edmundowi Janowi Osmańczykowi. Tak powstał neologizm „rodło”, który jest zbitką pierwszych dwóch liter nazwy staropolskiego herbu rodowego „rodnicy” oraz ostatnich trzech liter wyrazu „godło”.

Ewa Szkic-Czech

Dokąd zmierzamy?

Strategia rozwoju Uniwersytetu Opolskiego w latach 2015–2020

29 stycznia br. senat naszej uczelni zatwierdził „Strategię rozwoju Uniwersytetu Opolskiego na lata 2015–2020”, która określa jego politykę oraz wyznacza kluczowe cele, priorytetowe kierunki działania i finansowania na najbliższych pięć lat. Według przyjętej strategii Uniwersytet Opolski ma być ważnym ogniwem krajowej i międzynarodowej sieci rozwoju, przekazu wiedzy, kultury i mądrej debaty. Celem głównym strategii jest rozwój potencjału Uniwersytetu Opolskiego w skali krajowej i międzynarodowej.

Uwzględniając realia, w których działają i funkcjonować będą w przyszłości jednostki szkolnictwa wyższego, cel główny strategii naszego uniwersytetu, będący jednocześnie sentencją wizji uczelni, spaja wszystkie aspekty aktywności Uniwersytetu Opolskiego, tj. obszar badawczy, dydaktyczny, relacje uczelni z otoczeniem, rozwój kadr oraz system zarządzania uczelnią. Cel główny przyjętej strategii będzie można osiągnąć poprzez realizację przyjętych pięciu celów strategicznych oraz właściwych dla każdego z nich celów operacyjnych i zadań.

Cele strategiczne i adekwatne dla nich cele operacyjne prezentuję poniżej, natomiast zadania dla poszczególnych celów operacyjnych są dostępne w pełnym tekście dokumentu pn. „Strategia rozwoju Uniwersytetu Opolskiego w latach 2015–2020”, prezentowanym na stronie internetowej: <http://www.uni.opole.pl/list/aktyprawne/1/>

Pierwszym celem strategicznym jest *Poprawa pozycji naukowej Uniwersytetu Opolskiego w krajowej i międzynarodowej sieci ośrodków badawczych*, a cele operacyjne określone dla tego celu strategicznego, to przede wszystkim:

- 1.1. Wzmocnienie podstawowych jednostek Uniwersytetu Opolskiego oraz ich wsparcie w procesie.
- 1.2. Zwiększenie rangi i zasięgu prac naukowo-badawczych prowadzonych w Uniwersytecie Opolskim.
- 1.3. Zwiększenie aktywności uczelni w skutecznym pozyskiwaniu grantów i projektów badawczych.
- 1.4. Utrzymanie wysokich standardów etycznych w obszarze badań naukowych i w procesie awansów naukowych.
- 1.5. Opracowanie i wdrożenie systemu ochrony własności intelektualnej, zarządzania prawami autorскими oraz komercjalizacji i transferu wiedzy.
- 1.6. Ugruntowanie oraz promowanie statusu Uniwer-

sytytu Opolskiego jako naukowo-badawczego zaplecza dla miasta i regionu.

Drugim celem strategicznym jest *Poprawa pozycji Uniwersytetu Opolskiego w krajowej i międzynarodowej sieci ośrodków kształcenia*, a cele operacyjne to:

- 2.1. Utrzymanie ogólnoakademickiego charakteru kształcenia na wszystkich poziomach.
- 2.2. Włączenie pracodawców w procesy przygotowania, realizacji i rozwoju oferty kształcenia UO.
- 2.3. Wzbogacenie dydaktyki o innowacyjne formy nawiązujące do wyzwań globalizacji.
- 2.4. Rozwój oferty kształcenia ustawicznego.
- 2.5. Dalszy rozwój uczelnianego systemu doskonalenia jakości kształcenia na wszystkich jego poziomach i stopniach.
- 2.6. Upodmiotowienie studentów (w tym rozwijanie relacji mistrz–uczeń), kreowanie aktywnych i przedsiębiorczych postaw.

Trzeci cel strategiczny: *Zwiększenie skuteczności działań Uniwersytetu Opolskiego w regionalnym, krajowym i międzynarodowym otoczeniu społeczno-gospodarczym*. Jego priorytetowe cele operacyjne:

- 3.1. Rozwój międzynarodowej współpracy Uniwersytetu Opolskiego.
- 3.2. Wzmocnienie współpracy badawczej i dydaktycznej w regionie – utworzenie federacji opolskich uczelni wyższych.
- 3.3. Rozwój współpracy Uniwersytetu Opolskiego z jednostkami samorządu terytorialnego.
- 3.4. Aktywizacja współpracy Uniwersytetu Opolskiego z otoczeniem gospodarczym.
- 3.5. Doskonalenie systemu promocji Uniwersytetu Opolskiego.
- 3.6. Przekształcenie Biblioteki Głównej UO w innowacyjną usieciowaną jednostkę środowiskową o charakterze naukowym, dydaktycznym i usługowym.

Czwartym wytyczonym celem strategicznym jest *Zwiększenie zdolności pracowników Uniwersytetu Opolskiego do współdziałania w środowisku międzynarodowym*, a jego cele operacyjne to:

- 4.1. Doskonalenie warsztatu dydaktycznego pracowników.
- 4.2. Wdrożenie systemu zarządzania pracownikami uniwersytetu.
- 4.3. Szkolenia i pobudzanie wzro-

stu kompetencji kadry i efektywności wykonywanej pracy

4.4. Rozwój kultury partycypacji i pracy zespołowej.

Piąty cel strategiczny to *Przekształcenie systemu zarządzania uniwersytetem w system zorientowany na cele i rezultaty*, a jego cele operacyjne sformułowano jako:

- 5.1. Opracowanie i wdrożenie modelu organizacji zaadaptowanego do obsługi zmian strategicznych.
- 5.2. Wdrożenie zintegrowanego systemu informacyjnego (ZSI).
- 5.3. Wdrożenie systemu zarządzania zasobami materialnymi Uniwersytetu Opolskiego.
- 5.4. Zwiększenie racjonalności struktury i poziomu kosztów Uniwersytetu Opolskiego.

Strategia rozwoju Uniwersytetu Opolskiego określona została w oparciu o kluczowe materiały źródłowe, do których należały m.in.: Strategia Europa 2020, długoterminowa Strategia rozwoju kraju, Strategia województwa opolskiego, programy operacyjne krajowe i województwa opolskiego, ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym, Karta bolońska, program Horyzont 2020, a także materiały wypracowane podczas warsztatów strategicznych przez kadre najwyższego szczebla zarządzania Uniwersytetem Opolskim. Istotny wkład wniosły również opracowania Senackiej Komisji ds. Organizacji Rozwoju UO, do których należały m.in. materiały pt. „Kształcimy liderów”, „Być uniwersytetem nowego wzoru”, „Dokąd zmierzamy – rozpoczęcie debaty nad strategicznymi kierunkami rozwoju UO do 2020”.

Proces kształtowania strategii rozwoju naszego uniwersytetu przechodził różne etapy. Każdemu z nich towarzyszyła wieloaspektowa dyskusja i twórcze spory, a jej ostateczne brzmienie jest wynikiem konsensusu, uwzględniającego zewnętrzne i wewnętrzne uwarunkowania, ograniczenia, możliwości oraz potrzeby naszej uczelni, a nade wszystko jest świadectwem troski o konkurencyjność, pozycję, markę oraz bez-

pieczną i dobrą przyszłość Uniwersytetu Opolskiego. Szczególnie ważną rolę w ukształtowaniu ostatecznego kierunku strategicznego odegrały cenne inicjatywy, uwagi, przemyślenia i wnioski samorządu studenckiego, opracowanie pn. „Wizja rozwoju Wydziału Prawa i Administracji”. Ważną rolę odegrały stanowiska uczestników debat strategicznych, w tym Kolegiów Rektorskich i rozszerzonego Kolegium Rektorskiego, Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju Uniwersytetu Opolskiego.

Nakreślone cele i wyzwania strategiczne są na miarę nie tylko ambicji, ale przede wszystkim możliwości społeczności akademickiej Uniwersytetu Opolskiego. Wynika z nich, że najbliższe pięć lat będzie okresem wyjątkowej pracy, skupionej na realizacji nowatorskich działań, czasem projektowania i wdrażania rozwiązań pionierskich, złożonych i trudnych. Okresem skutecznego, dynamicznego współdziałania twórczych, interdyscyplinarnych zespołów, ich aktywności, funkcjonowania ponad granicami kompetencyjnie wyznaczonych podziałów organizacyjnych.

Strategiczne cele i kierunki działania Uniwersytetu Opolskiego w perspektywie 2015–2020 okazały się zbieżne z zamierzeniami Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. 25 lutego br., a więc miesiąc po zatwierdzeniu „Strategii rozwoju Uniwersytetu Opolskiego” przez senat naszej uczelni, z inicjatywy minister prof. dr hab. Leny Kolarskiej-Bobińskiej odbyło się w Warszawie spotkanie rektorów publicznych uczelni wyższych, na którym minister uznała umiędzynarodowienie tych uczelni za strategiczny cel MNiSzW. Podczas spotkania omawiano warunki niezbędne do realizacji tego planu, m.in. możliwości finansowej partycypacji ministerstwa w procesie umiędzynarodawiania się publicznych uczelni wyższych.

dr Ewa Szkic-Czech

Biuro Organizacyjno-Prawne UO

Kieszeń uczelni

4 mln złotych – tyle wynosi zysk netto Uniwersytetu Opolskiego za ubiegły rok. To efekt działalności dydaktycznej, a także działalności badawczej pracowników naszej uczelni, głównie z Wydziału Chemii. Jak ocenia kwestor Uniwersytetu Opolskiego Konstanty Gajda – płynność finansowa uniwersytetu jest wysoka, co pozwala na rozpoczęcie wielu inwestycji, w tym – remontów i modernizacji obiektów istniejących.

W planach na lata 2015–2020 wpisane jest m.in. utworzenie międzynarodowego centrum szkoleniowo-badawczego w zakresie nauk przyrodniczych i rolniczych w Prószkowie. W prószkowskiej dzielnicy Pomologia od XIX w. istniały wyższe i średnie szkoły

rolnicze i ogrodnicze (Królewska Akademia Rolnicza, potem Królewski Instytut Pomologiczny, po wojnie liceum, potem technikum ogrodnicze, a od 1969 r. – Zespół Szkół Ogrodniczych, popularnie zwany właśnie Pomologią). Przejęcie tych obiektów – podkreśla kanc-

lerz UO **Ewa Rurynkiewicz** – będzie nieodpłatne, na zasadzie darowizny, natomiast koszty ich przygotowania do nowej funkcji (m.in. budowa laboratoriów, centrum transferu wiedzy, pozyskanie kadry, także z uniwersytetów europejskich), szacowane na ok. 100 mln złotych, w 85 proc. będą pokryte ze środków europejskich. Co do pozostałych 15 procent tej sumy – jest duża szansa na pozyskanie tych pieniędzy z budżetu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a wtedy ogromna inwestycja w Prószkowie w najmniejszym stopniu nie uszczupli finansów uczelni.

Kolejny punkt w planach rozwoju uniwersytetu dotyczy wzgórza uniwersyteckiego. W 2020 r. Uniwersytet Opolski ma być właścicielem obiektów sąsiadującego z uczelnią Technikum Mechanicznego – tu będzie mieścić się uniwersyteckie liceum, kształcące przyszłych studentów naszej uczelni. Zmieni się także wygląd samego wzgórza – i to niewykluczone, że już wkrótce, bo rozmowy z władzami miasta są już bardzo zaawansowane: do Małego Rynku prowadzić bę-

dą schody, pojawi się i kawiarnia... Uporządkowany zostanie teren od strony „Solarisa” – w kierunku przyszłego liceum ogólnokształcącego.

Kanclerz Ewa Rurynkiewicz: - Naturalne jest pytanie o wysokość kosztów i sposób finansowania. Otóż, obiekty dzisiejszego technikum będą nam przekazane nieodpłatnie, natomiast remont i rewitalizacja będą sfinansowane ze środków europejskich.

Planowana jest także kontynuacja rozpoczętej już modernizacji sieci energetycznej, elektrycznej, kanalizacyjnej i wentylacyjnej w obiektach uniwersytetu, zwłaszcza w starszych budynkach przy ul. Oleskiej 48 – co pozwoli obniżyć koszty eksploatacyjne nawet o 30 procent. Inwestycja – w 85 proc. – jest finansowana ze środków zewnętrznych, pozostałych 15 proc., jeśli nie uda się ich pozyskać z budżetu ministerstwa, stanowić będzie tzw. wkład własny. Wkład – wart tego wydatku, bo dzięki obniżeniu kosztów eksploatacji, inwestycja zwróci się w ciągu kilku lat.

(b)

Magdalena Szyszka

Małgorzata Adams-Tukiendorf

Znajomość języka za przewodnika

Opolska anglistyka otwarta dla uczniów i nauczycieli

Potrzeba znajomości języka angielskiego jest w dzisiejszych czasach oczywista. Z tej umiejętności korzystamy, podróżując po różnych zakątkach świata, ubiegając się o pracę nie tylko za granicą, czy komunikując poprzez sieć internetową. Warto podkreślić, jak niezbędny staje się ten język w niemalże każdej dziedzinie życia, szczególnie tam, gdzie wymagane jest zdobywanie wiedzy czy wyszukiwanie informacji. Uczniowie coraz częściej spoglądają na język angielski jak na coś więcej niż tylko kolejny obowiązkowy przedmiot. Przyczyniają się do tego międzynarodowe wymiany i projekty szkolne, w czasie których młodzi ludzie używają angielskiego do komunikacji z przyjaciółmi i znajomymi z innych krajów. Szkolni doradcy zawodowi często podkreślają, że większość firm oferujących pracę wymaga od kandydatów co najmniej komunikatywnej znajomości języka obcego.

Przyswajanie języka obcego jest procesem niezwykle skomplikowanym i czasochłonnym. Nawet cały rok intensywnej nauki nie gwarantuje dobrego opanowania języka. Trudno więc dziwić się młodym ludziom, że ich zapał do pracy po powrocie z międzynarodowej wymiany szkolnej znika dość szybko, jeśli zdobyte umiejętności nie są pielęgnowane. Motywa-

cja do nauki języka obcego jest czynnikiem niezwykle istotnym. Można ją wzmocnić wieloma działaniami. Najczęściej z dobrym skutkiem robią to nauczyciele w czasie lekcji, ale równie dobrze motywację można wzmacniać poprzez dawanie uczniom możliwości zastosowania języka poza klasą: na ulicy, w komunikacji z rówieśnikami, w wirtualnej wymianie informacji, ale także w innych instytucjach, np. podczas uniwersyteckich wykładów czy warsztatów.

Mając świadomość, jak dużą rolę może odgrywać motywacja do nauki języka angielskiego, studenci i wykładowcy Instytutu Filologii Angielskiej Uniwersytetu Opolskiego angażują się w organizację i prowadzenie warsztatów i zajęć otwartych dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, a w przyszłości być może także szkół podstawowych. Ostatnie lata obfitowały w takie wydarzenia. W murach uniwersyteckich przeprowadzono warsztaty dla młodzieży z Opola (np. z I LO, II LO, III LO, V LO) i regionu (np. z Zespołu Szkół Rolniczych w Namysłowie, Liceum Ogólnokształcącego w Grodkowie, Zespołu Szkół w Gogolinie, Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Dobrodzieniu). Tematyka tych spotkań była konsultowana wcześniej z nauczycielami, którzy najlepiej orien-

tują się, co interesuje grupę i jak ją zmotywować. Treści warsztatów obejmowały zagadnienia z kultury i literatury Wielkiej Brytanii, Irlandii, Australii i Stanów Zjednoczonych. Uczniowie mieli okazję skorzystać z warsztatów wymowy języka angielskiego, dowiedzieć się, jakie strategie stosować w czasie zdawania egzaminów ustnych, jak poprawnie zaplanować i napisać wypracowanie maturalne. Szkoły zapraszały również studentów i wykładowców anglistyki na dni otwarte, np. w Zespole Szkół w Gogolinie czy Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Dobrodziniu. Wykładowcy odwiedzili z warsztatami także młodzież gimnazjalną przebywającą na tzw. zielonej szkole w Kamieniu Śląskim. Dużym zainteresowaniem cieszyły się cykliczne, bezpłatne spotkania dla maturzystów *Matura Refresher*, których pierwsza edycja miała miejsce w kwietniu 2013 roku. Młodzież z całego regionu chętnie spędzała piątkowe popołudnia w salach Collegium Maius, by porozmawiać w języku angielskim i powtórzyć zagadnienia przed ustnym i pisemnym egzaminem w ramach przygotowań do matury na poziomie rozszerzonym.

Współpraca i wspieranie edukacji na każdym poziomie to ważna misja Uniwersytetu Opolskiego. Instytut Filologii Angielskiej spełnia ją, motywując nie tylko młodzież szkolną, ale także kadre nauczycielską. Dobry nauczyciel to nauczyciel pełen pomysłów i zapału. Niezwykle istotne jest więc wspieranie anglistów, których codziennym zadaniem jest motywowanie i kształcenie młodego pokolenia. Dlatego też w 2013 roku opolska anglistyka podjęła współpracę z Miejskim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli w Opolu (MODN) oraz Konsulatem Generalnym Stanów Zjednoczonych w Krakowie i wspólnie zorganizowała już dwie Opolskie Konferencje Nauczycieli Języka Angielskiego o tematyce związanej z kulturą i realiami krajów anglojęzycznych. W każdej z nich przeszło 60 nauczycieli anglistów z całego regionu czerpało inspiracje, m.in. z wykładów stypendystów Fulbrighta: **dr. Stana Breckenridge'a** z California State University i **Johna Hussa** z University of Akron oraz warsztatów prowadzonych przez pracowników Konsulatu Generalnego USA w Krakowie, MODN w Opolu i IFA Uniwersytetu Opolskiego.

Nauczycielom, poza inspiracjami, staraliśmy się także dostarczyć narzędzia do pracy z uczniem, także uczniem z dysfunkcją. W tym celu w ramach projektu DysTEFL zostały zorganizowane warsztaty dla nauczycieli języka angielskiego z regionu opolskiego, którzy byli zainteresowani problemem dysleksji w naucza-



Dr Katarzyna Molek-Kozakowska prowadzi warsztat dla nauczycieli języka angielskiego *US National Parks – a theme for task-based activities*

niu języka angielskiego. Wykładowcy naszego Instytutu pokazali, jakie techniki stosować i jak zachęcać do nauki języka angielskiego uczniów, którzy borykają się z dysleksją rozwojową, dyspraksją i ADHD.

Plany Instytutu Filologii Angielskiej UO na najbliższy rok zmierzają do zacieśnienia nawiązanych już kontaktów ze szkołami w Opolu i regionie oraz poszerzenia tych kontaktów o nowe ośrodki. W okresie wiosennym zapraszamy kolejne grupy licealistów i gimnazjalistów na warsztaty językowe, wykłady z tematów kulturowych i literackich oraz na spotkania z naszymi pracownikami w ramach Opolskiego Festiwalu Nauki, a samych maturzystów – na drugą edycję *Matura Refresher*. Nauczycieli zapraszamy na kolejną Opolską Konferencję Nauczycieli Języka Angielskiego.

Nauka jest w obecnych czasach nieodłącznym elementem codziennego życia. Kształcimy się już nie tylko w szkole; zdobywamy nową wiedzę i umiejętności właściwie przez całe życie, aby nadążyć za zmianami w różnych sferach życia społecznego, które obserwujemy i których doświadczamy. Zapewnienie młodemu pokoleniu warunków do poszerzania wiedzy i umiejętności wymagających dobrej, jeśli nie bardzo dobrej, znajomości języka angielskiego oraz orientacji w niuansach kontekstu kulturowego krajów anglojęzycznych jest jednym z przewodnich celów naszego Instytutu. Jak mówił starożytny mędrzec Witruwiusz: „ani talent bez wiedzy, ani wiedza bez talentu nie mogą stworzyć doskonałego mistrza”.

Odkrywanie własnych talentów i zdobywanie wiedzy to przygoda, do której wszystkich zapraszamy.

Magdalena Szyszka
Małgorzata Adams-Tukiendorf

60 lat opolskiej akademickiej matematyki

Matematyka jako kierunek kształcenia w Opolu pojawiła się, cytując prof. dra hab. Tadeusza Gospodarka¹, kiedy „władze Uniwersytetu Wrocławskiego wypożyczyły czasowo skromne dwa budynki i oddelegowały kilku pracowników, którzy mieli właściwie spełnić rolę grupy inicjatywnej. Byli wśród nich uczeni tej miary, co prof. Stanisław Rospond, prof. Stanisław Kolbuszewski, prof. Jerzy Słupecki, doc. Jan Wesołowski [...]. Zajęcia dla pierwszych 150 studentów, zgrupowanych na trzech kierunkach: filologia polska, matematyka, fizyka rozpoczęły się w pierwszych dniach października 1950 roku”.

Trzy lata później na uczelni, jeszcze nie opolskiej, powstały dwa wydziały: Filologiczny i Matematyczno-Fizyczny, a w 1954 roku decyzją władz centralnych utworzono Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Opolu, co dało początek opolskiej akademickiej matematyce. Szczególną rolę w tym okresie odgrywali profesoro- wie: Jan Wesołowski, Antoni Opolski i Jerzy Słupecki.

Początkowo matematycy byli zgrupowani w katedrach i zakładach wydziałowych, natomiast Instytut Matematyki jako część wydziału powołany został 1 października 1976 roku.

W tym roku akademickim minęło 60 lat istnienia akademickiej matematyki w Opolu. Z tej okazji Insty-

¹ Z przemówienia rektora WSP w Opolu Tadeusza Gospodarka, podczas uroczystej inauguracji roku akademickiego 1980/1981



Prof. Tadeusz Nadziejka w trakcie wykładu

tut Matematyki i Informatyki UO zorganizował konferencję pt. „60 lat opolskiej akademickiej matematyki”.

Uczestniczyło w niej ponad 100 osób, w tym wielu zasłużonych dawnych pracowników: pierwszy profesor honorowy naszego uniwersytetu **Bolesław Gleichgewicht**, pierwszy dyrektor Instytutu Matematyki **prof. Krystyna Piróg-Rzepecka** oraz m.in.: **prof. Katarzyna Halkowska**, **prof. Urszula Wybraniec-Skardowska**, **prof. Jerzy Płonka**, **prof. Rościsław Rabczuk**.

Słowo wstępne wygłosił rektor naszej uczelni **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**, o historii matematyki w Opolu odczyt przedstawił **prof. dr hab. Janusz Czelakowski**, a o historii informatyki – **dr hab. Lidia Tendera**, **prof. UO**.

Ciekawy wykład o współczesnej tendencji oceny pracownika układem parametrów liczbowych przedstawił **prof. dr hab. Tadeusz Nadziejka**.

Konferencję zakończyła część artystyczna w wykonaniu studentów i pracowników naszego Instytutu. Koncert prowadzili studenci III roku informatyki (studia pierwszego stopnia): **Wiktorija Mandok** oraz **Konrad Bronisz**, a wykonawcami byli: **Wioleta Dregan**



W pierwszym rzędzie (od lewej): mgr Halina Nicieja, prorektor prof. Marek Maśnyk, prof. Paweł Wieczorek, profesor honorowy UO Bolesław Gleichgewicht, prof. Krystyna Piróg-Rzepecka, prof. Jerzy Płonka, dr Alina Wojtunik, prof. Wiesław Szwał



W pierwszym rzędzie: prof. Urszula Wybraniec-Skardowska, dr Zofia Majcher, prof. Jerzy Bryll i prof. Andrzej Gawdzik. W drugim rzędzie: dr Wiesław Szwiec, dr Jerzy Krawczyk, dr Andrzej Spakowski, dr Dymitr Slezion, mgr Krzysztof Woźniak, dr Tadeusz Sawicki, prof. Marian Duczmal. Na zdjęciu także: prof. Viktor Vlasenko, dr Jan Kowolik i mgr Tomasz Janoszka, prof. Józef Musielok, dr inż. Grażyna Suchacka, dr Bartosz Chorkowy, mgr Małgorzata Bolek-Hulacka

(III rok informatyki, st. licencjackie), **Tomasz Kazuch** (I rok informatyki, st. magisterskie), **Patrycja Mikulska** (III rok informatyki, st. licencjackie), wspomagani przez **Klaudię Dragan**, **Wojciecha Hybela** i **Romana Rozenbergera**. W koncercie tym wystąpili również pracownicy Instytutu Matematyki i Informatyki: **dr Jolanta Tańcula**, **dr Andrzej Jasiński**, **dr Grażyna Suchacka** oraz **dr Jerzy Michael**.

Jubileuszowemu spotkaniu towarzyszyła wystawa plakatów przygotowana przez **dra Edwarda Bryniarskiego**, którą można obejrzeć w gmachu przy ul. Oleskiej 48 (II piętro, przy Bibliotece Międzyinstytutowej).

Jerzy Michael
Kamila Kowalska

Trudna pamięć

Konferencją w Instytucie Historii upamiętniono ofiary Holokaustu

22 stycznia br. w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego odbyła się konferencja pt. *Trudne życie z pamięcią, czyli stacje odzyskanej obecności*.

Głównymi organizatorami przedsięwzięcia były Archiwum Państwowe w Opolu oraz Instytut Historii, patronat nad wydarzeniem objął zaś opolski oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Temat spotkania zainicjowała opiekunka sekcji dydaktycznej **dr hab. Barbara Kubis**, **prof. UO**, która już po raz dziesiąty zadbała o to, aby Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu znalazł się w programie działalności naukowej Uniwersytetu Opolskiego. Podczas wprowadzenia do tematyki konferencji jej inicjatorka przedstawiła bogatą już tradycję uniwersyteckich spotkań naukowych poruszających tematykę Holokaustu. Jako pierwsze z wielu odbyły się przed laty konferencje: w 2005 roku – pod nazwą „Auschwitz-Birkenau – miejsce pamięci ofiar zagłady”, w 2006 roku – „Pomniki w słowach i obrazach”, w 2007 roku – „Gdzie jest miejsce walizki z Auschwitz”.

Następnie głos zabrała prezes opolskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, **prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz**, akcentując rolę Uniwersytetu Opolskiego jako ośrodka tworzącego świadomość historyczną Holokaustu. Dyrektor Archiwum Państwo-

wego w Opolu, **dr hab. Mirosław Lenart**, **prof. UO**, zaznaczył, jak ważne jest pogłębianie współpracy pomiędzy Uniwersytetem Opolskim a Archiwum Państwowym, umożliwiającej powstawanie wartościowych opracowań naukowych bazujących na źródłach archiwalnych.

W programie konferencji wyodrębniono dwa bloki tematyczne. W pierwszej części spotkania opolscy archiwiści zaprezentowali przechowywaną w archiwum bogatą dokumentację obecności wspólnoty żydowskiej na terenie Opolszczyzny oraz źródła dotyczące eksterminacji Żydów na terenie Rzeszy. **Barbara Sypko** przedstawiła judaica występujące w zasobie Archiwum Państwowego w Opolu, zwracając szczególną uwagę na źródła niewykorzystane dotąd przez badaczy. Podsumowano także miniony rok, przedstawiając zrealizowane w 2014 roku projekty edukacyjne, wystawiennicze i wydawnicze finansowane przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych, dotyczące omawianej tematyki. **Aleksandra Starczewska-Wojnar** zreferowała projekt „Lista żydowska”, w ramach którego powstały zarówno baza internetowa, jak i książka pt.: *Lista żydowska – jeszcze jedno świadectwo Holokaustu. Wypisy źródłowe z akt zespołu Urzędu Statystycznego Rzeszy przechowywanych w zasobie*

Archiwum Państwowego w Opolu. Lata 1940-1944, opr. M. Osika, A. Starczewska-Wojnar, Opole 2014. Natomiast **Maria Osika** i **Dorota Kruba-Raczek** zaprezentowały wyniki programu edukacji historycznej realizowanego w opolskim archiwum w ubiegłym roku pod tytułem „Porozmawiajmy jak ... byśmy byli umarli”, a którego efektem końcowym była wystawa dla mieszkańców Opola w październiku i listopadzie 2014 roku. Interesującą propozycją badawczą okazało się wystąpienie **Sławomira Marchela** i **Justyny Sowińskiej** pt. *Materiały do badań nad powojennymi losami społeczności żydowskiej na Opolszczyźnie w zasobie Archiwum Państwowego w Opolu*, w którym przedstawiono powojenne materiały opolskiego archiwum.

Drugą część konferencji wypełniły referaty naukowe poświęcone Holokaustowi w literaturze oraz komiksie historycznym, ze szczególnym uwzględnieniem kontekstu śląskiego w historii Żydów. Bogate zbiory literatury Biblioteki Uniwersyteckiej, dotyczącej Holokaustu, zaprezentowała **Beata Śliwińska**. O tragedii osób niepełnosprawnych z zakładu w Lublińcu, podlegających eksterminacji w hitlerowskim programie T4, traktował referat **Olgierda Kniejskiego**. **Marek Paniuś** przypomniał żydowskie dziedzictwo Tarnowskich



W trakcie konferencji

Gór – miasta trzech religii Obrady zamknęło wystąpienie **Danuty Ożarowskiej** na temat komiksu historycznego dotyczącego Holokaustu pt. *Art Spiegelman, Maus. Opowieść ocalałego. Cz. 1, Mój ojciec krwawi historią... Komiks o zagładzie oczami historyka*.

Konferencji towarzyszyły: wystawa czasowa Archiwum Państwowego w Opolu „Porozmawiajmy jak ... byśmy byli umarli”, wystawa zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Opolu oraz ekspozycja serii wydawniczej „Opera Extraordinaria”. Relacje z wydarzenia przygotowały stacje radiowe: Radio Opole oraz Radio Doxa.

Aleksandra Starczewska-Wojnar

Piekło i raj w literaturze francuskiej XX stulecia

Profesor Krystyna Modrzejewska znana jest Opolanom (i nie tylko) przede wszystkim jako niezmqordowana propagatorka języka i kultury francuskiej, kierownik Alliance Française, założycielka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej, twórczyni opolskiej romanistyki oraz wybitna specjalistka w dziedzinie teatru francuskiego XX wieku. Zwłaszcza dramat – rozpatrywany w perspektywie tożsamości kulturowej płci – stanowi źródło inspiracji oraz temat badań prof. Modrzejewskiej. Tej właśnie tematyce poświęcona jest jej najnowsza książka zatytułowana „L'enfer et le paradis terrestres dans la littérature française du XX^e siècle” (*Piekło i raj ziemski w literaturze francuskiej XX wieku*), wydana przez francuskie wydawnictwo L'Harmattan. 26 marca br. w Collegium Maius odbyło się poświęcone tej publikacji spotkanie z jej autorką, które

w formie literackiego dialogu-wywiadu prowadził – z dużą swadą i znawstwem tematu – znany opolski poeta i romanista **Tomasz Różycki**. O książce rozmawiali z prof. Modrzejewską również zaproszeni goście.

Książka będąca osią dyskursu udowadnia, że literatura francuska XX stulecia wymyka się wszelkim klasyfikacjom oraz próbom tradycyjnego zaszufładowania. Odrzucając obyczajową cenzurę, głośno i bez pruderii mówi o sprawach ciała (twórczość Michela Houillebecq), a jednocześnie wiele spraw ukrywa pod jakże wymownym milczeniem. Jedną z nich są z pewnością relacje rodzinne, o których traktują sztuki wybitnego znawcy kobiet – Jeana Giraudoux czy Yasminy Rezy, a zwłaszcza toksyczne związki łączące dziecko z matką. Owa więź analizowana w aspekcie habitusu ujawnia – istniejącą w każdej konfiguracji – chęć do-



Prof. Krystyna Modrzejewska i Tomasz Różycki

minacji jednego członka rodziny nad drugim. Podobnie ważną rolę odgrywają tzw. korzenie horyzontalne, czyli stosunki z rodzeństwem, które postrzegane bywają jako destrukcyjne lub modelowe. Ta swoista opozycja piekło – raj znajduje się w centrum zainteresowania badaczki starającej się zaprezentować różne aspekty osamotnienia, izolacji, obojętności, niezrozumienia człowieka przez Innych. Taki cierpiący samotnik, pragnąc akceptacji lub choćby litości, budzi ambiwalentne uczucia. Ma wprawdzie prawo do sądenia innych, a jednocześnie podlega osądowi otoczenia („Upadek” Alberta Camusa). Głównym problemem wydaje się kontakt „ja” ze sobą, ze światem i z Innym, skazanie niejako na jego obecność, innym razem na brak tej

obecności. Bowiem – jak powiedział Jean-Paul Sartre w dramacie *Przy drzwiach zamkniętych* – „Piekło to inni”. Francuski egzystencjalista rzuca wyzwanie do wyzwolenia, zwłaszcza w kontekście relacji kobieta-mężczyzna, a tym samym do przezwyciężenia własnych słabości i ograniczeń, dowodząc, że istota ludzka „skazana jest na wolność”. Szczególnie interesujące jest ukazanie piekła i raju w konfrontacji z rzeczywistością projektowaną przez świadomość postaci. Piekło interpretowane bywa często jako brak komunikacji, a w szerszym spektrum – jako problem dotyczący języka,

który wyznacza granice świata. Charakterystyczna cisza, niemożność wyrażenia słowami głęboko skrywanych emocji wyraża wyrzuty sumienia, wzajemne animozje i napięcia międzyludzkie. Doskonałym przykładem takich sytuacji są utwory Nathalie Sarraute („Cisza”) czy Samuela Becketa („Szczęśliwe dni”). Podobnie, choć nieco inaczej, ilustrują ten problem teksty Eugène Ionesco i Marguerite Yourcenar, uzmysławiające dramat artysty – osoby o specyficznej świadomości, erudycji – i konieczność publicznego obnażania się, uprawiania swoistej spowiedzi z własnych przeżyć połączonych z autorefleksją, czy to pod wpływem społecznej presji, czy wewnętrznego obsesyjnego przymusu.



Prof. Modrzejewska sugeruje, że mimo iż większość analizowanych postaci literackich jawi się jako skrajnie udręczona, bez wizji na najmniejszą zmianę, warto przekuć to piekło w raj, pojmowany obecnie raczej nie tyle jako stan permanentnej szczęśliwości, a jako udane życie osobiste. Prawda ta jest tym bardziej przekonująca, że cytując Sartre'a: „Wspomnienie jest jedynym rajem, z którego nikt nas nie może wypędzić”.

Konkludując, trzeba stwierdzić, że omawiane przez autorkę teksty nie należą do łatwych ani w lekturze, ani w odbiorze. Jedni uważają je za wysublimowane, inni za przeintelektualizowane. Łamanie schematów, przekraczanie barier powoduje, że czytelnik nierzadko czuje się z jednej strony zagubiony w gąszczu niedopowiedzeń, z drugiej zaś zaszokowany silnie zaakcentowaną zmysłowością lub stale obecnym poczuciem zagrożenia, absurdu czy bezsensu ludzkiej egzystencji, wywołującym nawet „stany młodości” czy odrazę.

Literatura francuska – poprzez żywotność swoich postaci – nieustannie wywołuje wśród czytelników żywe reakcje, dowodząc tym swego wigoru i swojej aktualności. Potwierdzeniem tej tezy może być – we-

dług badaczki – obecność Polaków na targach książki w Paryżu. Książka prof. Modrzejewskiej, niebędąca typowym opracowaniem teoretycznoliterackim, lecz refleksją pogłębianą o elementy socjologii (w ujęciu Pierre'a Bourdieu), filozofii (Zygmunt Bauman), a także współczesnej antropologii kulturowej, zachęca do sięgnięcia po mniej znane – lub zupełnie nieznanne – pozycje z dorobku omawianych pisarzy. Publikacja doskonale wpisuje się w bogaty dorobek naukowy autorki w dziedzinie literatury francuskiej XX stulecia, stanowiąc następny etap – po książce *La condition humaine dans la littérature française et francophone (Kondycja ludzka w literaturze francuskiej i frankofońskiej, 2011)* – oraz wielu artykułach poświęconych tej tematyce. Pozostaje życzyć jej, by wszelkie plany, związane z dalszą pracą i karierą naukową realizowały się w klimacie równie przyjaznym i na równie wysokim poziomie, jak to ostatnie spotkanie.

Anna Ledwina

Goście z Archiwum w Muzeum UO

3 marca br. w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego odbyło się spotkanie, na którym promowano książki wydane pod redakcją naukową **dr. hab. Mirosława Lenarta, prof. UO**, dyrektora Archiwum Państwowego w Opolu. Książki ukazały się kolejno jako tomy II, III, IV w ramach serii Opera Extraordinaria: Po-

chód pierwszomajowej poprawności. Święto Pracy na Opolszczyźnie w latach 1945–1989 w świetle materiałów archiwalnych wybranych z zasobu Archiwum Państwowego w Opolu. Autorzy: Sławomir Marchel i Justyna Sowińska, Opole 2014, *Lista żydowska – jeszcze jedno świadectwo Holokaustu. Wypisy źródłowe z akt zespołu Urzędu Statystycznego Rzeszy przechowywanych w zasobie Archiwum Państwowego w Opolu. Lata 1940–1944*. Wstęp i opracowanie Maria Osika i Aleksandra Starczewska-Wojnar, Opole 2014 oraz *Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy. Pamiątka obchodów czterechsetlecia śmierci Piotra Skargi*. Red. Mirosław Lenart, Opole 2014.

W spotkaniu wzięli udział pracownicy Państwowego Archiwum w Opolu, Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, pracownicy naukowcy, studenci oraz mieszkańcy Opola – gości przywitała kierownik Muzeum UO **dr Wanda Matwiejczuk**. Rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr. hab. Stanisław Sławomir Nicieja** podkreślił znaczenie funkcjonowania Archi-



Na zdjęciu (od lewej): dr Wanda Matwiejczuk, prof. Tomasz Ciesielski, prof. Barbara Kubis, dr Adriana Dawid, dyrektor Archiwum Państwowego w Opolu prof. Mirosław Lenart i rektor UO prof. Stanisław. S. Nicieja



wum Państwowego w Opolu dla środowiska naukowego Opolszczyzny – możliwość dostępu do przechowywanej w nim dokumentacji, która jest cennym źródłem dla badaczy historii. Dyrektor archiwum, dr hab. Mirosław Lenart, prof. UO, przedstawił dotychczasowe formy działalności Państwowego Archiwum w Opolu i zakresy prac badawczych, których pokłosiem są m.in. publikacje naukowe promowane w Muzeum UO.

Tematykę promowanych książek przedstawił dyrektor i pracownicy Instytutu Historii UO: **dr hab. To-**

masz Ciesielski, prof. UO, dr hab. Barbara Kubis, prof. UO oraz dr Adriana Dawid. W zaprezentowanych pozycjach znajdują się m.in. wypisy źródłowe, wybrane dokumenty świadczące o epoce, w której miały miejsce opisywane zdarzenia, wspomnienia oraz barwne fotografie, wzbogacające ich wyjątkową szatą graficzną. Tym samym podczas lektury książek czytelnik ma szansę poczuć klimat ówczesnej epoki, poznać sylwetki osób, które ją kształtowały.

Na zakończenie autorzy książek oraz zaproszeni goście wzięli udział w dyskusji, po czym wśród uczestników spotkania rozlosowano nagrody w postaci promowanych książek, co stanowiło dodatkową atrakcję, a jednocześnie zachęciło do ich lektury. Promocję wzbogaciły projekcje filmowe wprowadzające w klimat minionych lat i zdarzeń, a także wystawa wiążąca się z treścią przedstawianych książek, przygotowana przez zespół pracowników Muzeum UO.

Katarzyna Mazur-Kulesza



Uczelnia kołem się toczy (2)

Tegoroczna Gala Młodego Naukowca odbyła się 3 marca w Studenckim Centrum Kultury. Było to ważne spotkanie aktywnych studentów, władz uczelni, miasta i regionu, przedstawicieli oświaty, instytucji kultury i pożytku publicznego, a także przedsiębiorców. Naszym celem była integracja różnych środowisk w regionie i promocja innowacyjnych rozwiązań młodych naukowców w naszym województwie.

Podczas gali wręczono nagrody dla najlepszych kół naukowych, które działają na Uniwersytecie Opolskim. Wybór był bardzo trudny, o czym przekonała się specjalnie do tego celu powołana Komisja ds. Przyznawania Nagrody dla Najlepszych Kół Naukowych na Uniwersytecie Opolskim. Po weryfikacji sprawozdań

rocznych wybrano osiem najlepszych kół naukowych na każdym z wydziałów, jak również dwa koła naukowe, najlepsze w dwóch kategoriach: o charakterze ścisłym i humanistycznym (nagrody wysokości 1000 zł).

Najlepsze koła naukowe o charakterze ścisłym:

1. Studenckie Koło Naukowe Zrównoważonego Rozwoju oikos Opole (Wydział Ekonomiczny),
2. Koło Naukowe Biotechnologów (Wydział Przyrodniczo-Techniczny),
3. Koło Naukowe Fizyków (Wydział Matematyki, Fizyki i Informatyki),
4. Koło Naukowe Chemików „Koronan” (Wydział Chemii).

Najlepsze koła naukowe o charakterze humanistycznym:

1. Koło Naukowe Kultury Rosyjskiej (Wydział Filologiczny),
2. Koło Naukowe Studentów Nauk o Rodzinie (Wydział Teologiczny),
3. Studenckie Archeologiczne Koło Naukowe (Wydział Historyczno-Pedagogiczny),
4. Koło Naukowe Medycyny Sądowej (Wydział Prawa i Administracji).

Wszystkim kołom naukowym serdecznie gratuluję i życzę dalszych sukcesów w świecie nauki!



Członkowie Koła Naukowego Ekonomistów

Regina Brzózka
przewodnicząca FSRN

Koło Naukowe Kultury Rosyjskiej Uniwersytetu Opolskiego zostało założone w listopadzie 2012 roku przy Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej UO (obecnie Instytut Sławistyki). Od samego początku członkowie Koła działają bardzo aktywnie, a wiele spośród ich inicjatyw zostało zrealizowanych przy wsparciu Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

Koło Naukowe Kultury Rosyjskiej wspólnie ze Studenckim Naukowym Kołem Sławistów UO zorganizowało dwie edycje Dni Kultur Słowiańskich i Wigilie Słowiańskie. W roku 2013 członkowie Koła, w ramach programu „Młódzież w działaniu”, realizowali projekt „Slavic Inspirations, czyli Lech, Czech i Rus”, który został dofinansowany z funduszy Unii Europejskiej. Projekt obejmował między innymi Dni Ukraińskie, recital poświęcony pamięci Anny German, warsztaty językowo-kulturowe, kulinarne i artystyczne (malowania matryoszek, wykonywania tradycyjnych białoruskich lalek – żadnic). Przedstawiciele Koła przeprowadzili cykl dziesięciu spotkań w Domu Dziecka w Opolu oraz zajęcia poświęcone tematyce Unii Europejskiej w Publicznym Gimnazjum w Izbicku. Aktualnie Koło Naukowe Kultury Rosyjskiej, we współpracy z Wolontariatem Centrum Partnerstwa Wschodniego Uniwersytetu Opolskiego, prowadzi projekt „Barter polsko-ukraiński”, który skupia około 100 studentów z Polski i Ukrainy.

W Kole działają dwie sekcje: turystyczna i translatorska. Sekcja turystyczna zorganizowała kilka wyjazdów naukowych, między innymi do Berlina oraz Lwowa (projekt *Keep in touch with Ukraine*). Poza tym, w ramach Opolskiego Festiwalu Nauki, członkowie sekcji wspólnie ze Studenckim Archeologicznym Kołem Naukowym UO przygotowali wydarzenie *Opole by night*, czyli nocny spacer po Opolu.

Damian Fercho przewodniczący KNKR **Daria Ogon**

Koło Naukowe Ekonomistów (KNE) zrzesza studentów kierunków ekonomicznych Uniwersytetu Opolskiego. Obecnie liczy 30 członków, którzy realizują swoją misję poprzez aktywny udział w życiu naukowym Wydziału Ekonomicznego. Koło działa przy Polskim Towarzystwie Ekonomicznym Oddział w Opolu. Ideą KNE jest dostarczanie studentom wiedzy i umiejętności, które stanowią uzupełnienie tradycyjnego toku nauczania, aby lepiej przygotować ich do życia zawodowego. Działalność Koła koncentruje się przede wszystkim na organizacji szkoleń, warsztatów, wykładów otwartych, konkursów sprawdzających wiedzę praktyczną, udział w konferencjach i projektach badawczych, organizowaniu wyjazdów studyjnych oraz reprezentowaniu Wydziału Ekonomicznego podczas ogólnouczelnianych imprez.

Od sześciu lat Koło współpracuje ze Stowarzyszeniem Studenckim WIGGOR z Wrocławia, czego rezultatem jest coroczna współorganizacja konkursu „Karierosfera” w Opolu, w którym KNE trzykrotnie zostało nagradzane nagrodami dla najlepszych koordynatorów lokalnych konkursu. Koło Naukowe Ekonomistów dba również o pogłębianie wiedzy z zakresu dziedziny ekonomii oraz promowanie przedsiębiorczości wśród uczniów szkół ponadgimnazjalnych z województwa opolskiego – od 2014 roku organizuje konkurs Igrzyska Ekonomiczne, który cieszy się ogromnym powodzeniem wśród uczniów.

Bernadetta Nowak, sekretarz KN Ekonomistów

Jednym z głównych zajęć **Koła Naukowego Fizyków UO** jest popularyzacja nauki. W ramach różnych projektów studenci prezentują doświadczenia i pomagają młodzieży szkolnej oraz innym zainteresowanym w zrozumieniu i zaobserwowaniu ciekawych zjawisk fizycznych. Studenci koła naukowego są także wolontariuszami Wirtualnej Akademii Astronomii działającej przy Instytucie Fizyki oraz Opolskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk.



Koło Naukowe Fizyków podczas obserwacji częściowego zaćmienia Słońca

20 marca br. mieliśmy okazję obserwować częściowe zaćmienie Słońca. Tarcza słoneczna oglądana w Opolu została przysłonięta przez Księżyc w ok. 66 proc. Zjawisko rozpoczęło się o godzinie 9:42, jego maksimum przypadło na godzinę 10:51, a koniec nastąpił o 12:02. Studenci wraz z pracownikami Instytutu Fizyki przygotowali wspólne obserwacje zaćmienia w trzech miejscach: w Obserwatorium Astronomicznym znajdującym się na dachu DS „Niechcic”, na terenie kampusu UO przy ul. Oleskiej oraz na placu Kopernika. W każdym z tych miejsc można było obserwować zaćmienie przez teleskop wyposażony w specjalny filtr do obserwacji Słońca. Ponadto wolontariusze WAA wyprodukowali ponad 300 okienek do bezpiecznej obserwacji Słońca, które były udostępniane wszystkim chętnym. Obraz z teleskopu w Obserwatorium Astronomicznym był transmitowany w Internecie. Stronę z tą transmisją odwiedziło ponad 20 tys. internautów z różnych zakątków świata. Dzięki rewelacyjnej pogodzie, której zazdrościli nam mieszkańcy Europy Zachodniej, mogliśmy cieszyć się tym niezwykłym widokiem. Razem z nami to zjawisko oglądało ponad

dzięki czemu możemy realizować się w dwóch sekcjach naukowych: biomonitoringu i mikrobiologii.

Nasza działalność szeroko wykracza poza ramy typowej działalności naukowej, przygotowujemy pokazy biotechnologiczno-chemiczne dla szkół oraz Urzędu Miasta Opola, w trakcie spotkań wspólnie poruszamy aktualne i kontrowersyjne tematy dotyczące świata nauki. W naszym Kole stawiamy na rozwój i poszerzanie wiedzy, aktywnie uczestniczymy w wielu konferencjach naukowych, publikujemy artykuły, uczestniczymy w grantach badawczych oraz współpracujemy z przedsiębiorstwami zajmującymi się produkcją artykułów spożywczych i ochroną środowiska.

Członkowie Koła, po uzyskaniu tytułu magistra, dzięki swojej pracy i zaangażowaniu są doceniani w branży biotechnologicznej, podejmują pracę w lokalnych przedsiębiorstwach, biorą udział w programach stażowych, mając szansę realizacji własnych badań naukowych w ośrodkach naukowych na terenie całego kraju, jedna z naszych koleżanek odbywa staż w Warszawie, kontynuując badania, które rozpoczęła podczas studiów jako członek sekcji mikrobiologicznej pod opieką **dr hab. inż. Teresy Krzyśko-Łupickiej**. Członkowie sekcji biomonitoringu mają okazję wykazać się we współpracy z Norwegami, realizując grant badawczy pod opieką **dr. hab. Andrzeja Kłosa** i **dr Małgorzaty Rajfur**.

Biotechnologia to nauka o szerokim horyzoncie. Nie zamyka się w ściśle określonych normach prawnych czy historycznych, wybiega w przyszłość, polepszając jakość życia, bo któż mógłby sobie wyobrazić życie bez sera, piwa czy kefiru, a tym właśnie zajmuje się biotechnologia.

Magdalena Mysiek, przewodnicząca KN Biotechnologów



Podczas ostatniej Gali Młodego Naukowca za najlepsze koło naukowe o charakterze ścisłym uznano Koło Naukowe Biotechnologów, a Studenckie Archeologiczne Koło Naukowe – za najlepsze koło o charakterze humanistycznym

1000 mieszkańców Opolszczyzny. Następne tak efektowne zaćmienie Słońca będzie można obejrzeć w Opolu za 11 lat. W tym roku czeka nas jeszcze zaćmienie Księżycy (28 września).

Kinga Grzesik, przewodnicząca KNF



KOŁO NAUKOWE
STUDENTÓW PSYCHOLOGII

Koło Naukowe Studentów Psychologii jest najstarszym kołem naukowym działającym w Instytucie Psychologii UO (zostało założone w roku akademickim 1998/1999). Koło tworzą sekcje tematyczne, które pozwalają konkretyzować działalność jego członków, dzięki czemu koło jest otwarte na nowe propozycje. Jego siła tkwi właśnie w różnorodności, istniejące sekcje zmieniały się, powstawały nowe, zastępując poprzednie, w zależności od potrzeb i zainteresowań kolejnych roczników. Reaktywacja działalności KNSP nastąpiła w 2014 roku – oprócz wydarzeń związanych z działalnością wolontaryjną odbyły się warsztaty dla członków Koła.

Najważniejszym przedsięwzięciem Koła Naukowego Studentów Psychologii jest rozpoczęcie cyklu spotkań „Psychologia w praktyce”. Projekt realizowany jest we współpracy z Miejską Biblioteką Publiczną w



Koło Naukowe Studentów Psychologii

Opolu. Łączy on teorię, wiedzę naukową z praktycznymi ćwiczeniami, które wprowadzają w świat psychologii. Korzystając z wiedzy i doświadczenia wykładowców praktyków, organizujemy otwarte spotkania dla mieszkańców Opola w bibliotece, promując tym samym psychologię i Instytut Psychologii UO. Jest to ściśle związane z naszą misją, która mówi o realizacji celów poprzez popularyzację psychologii wśród studentów i organizacji zainteresowanych tym tematem.

Aleksandra Różańska, przewodnicząca KNSP

Front u obozowych bram

W 70. rocznicę wyzwolenia przez Armię Czerwoną Stalagu 344 Lamsdorf

17 marca 1945 r. oddziały Armii Czerwonej wkroczyły na teren Stalagu 344 Lamsdorf (Łambinowice), do jego części nazywanej radziecką (Russenlager). W barakach zastały zmarłych oraz chorych i konających jeńców radzieckich, których nie objęła piesza ewakuacja, przeprowadzona w końcu stycznia 1945 r. Do drugiej części stalagu nazywanej brytyjską (Brittenlager), która znajdowała się 2,5 km na południowy wschód, żołnierze Armii Czerwonej dotarli dzień później – 18 marca. Wydarzenia te zakończyły funkcjonowanie jednego z największych w Europie kompleksów obozów jenieckich Wehrmachtu.

Jeńcy byli w Lamsdorf przetrzymywani przez całą II wojnę światową. Pierwsi z nich – żołnierze Wojska Polskiego – trafili tu na początku września 1939 r.

W toku kolejnych kampanii prowadzonych przez Wehrmacht do Lamsdorf przywożono jeńców brytyjskich, francuskich, belgijskich, jugosłowiańskich, greckich, radzieckich (najliczniejszej grupy i najgorzej przez Niemców traktowanej), amerykańskich, włoskich, a w 1944 r. powstańców warszawskich i słowackich. Łącznie przez obozy Lamsdorf w czasie II wojny światowej przeszło ponad 300 tys. żołnierzy koalicji antyhitlerowskiej z całego świata. Niewoli w Lamsdorf nie przeżyło ok. 40 tys. z nich.

W uroczystych obchodach 70. rocznicy wyzwolenia przez Armię Czerwoną Stalagu 344 Lamsdorf wziął udział konsul generalny Federacji Rosyjskiej **Andriej Jakowlew**, a patronat honorowy objęli: sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej **Krzysz-**

tof Kunert, wojewoda opolski **Ryszard Wilczyński** i marszałek województwa opolskiego **Andrzej Buła**. Główne uroczystości odbyły się pod pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych na Cmentarzu Jeńców Radzieckich z udziałem kombatanatów, młodzieży, duchownych czterech wyznań, Kompanii Honorowej Wojska Polskiego, orkiestry wojskowej, pocztów sztandarowych oraz władz wojewódzkich i władz sąsiednich rejonów.

Organizatorem uroczystości było Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach/Opolu oraz wójt gminy Łambinowice, natomiast organizatorem dwudniowego programu pobytu na Opolszczyźnie konsula generalnego Federacji Rosyjskiej – Opolski Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

Uroczystość rozpoczęto hymnem państwowym w wykonaniu orkiestry wojskowej, a następnie głos zabrał **Wiktor Natanson**, były więzień Stalagu 344 Lamsdorf, żołnierz powstania warszawskiego, przedstawiając tragiczne warunki pobytu w tym obozie jeńców różnych narodowości, w tym szczególnie jeńców radzieckich. **Przemysław Czernik** – aktor opolskiego Teatru Eko Studio odczytał fragment dziennika Siergieja Woropajewa, młodego radzieckiego jeńca Stalagu 344 Lamsdorf, który zmarł kilka dni po wyzwoleniu obozu przez Armię Czerwoną.

Ku czci wszystkich ofiar stalagów Lamsdorf odmówiona została modlitwa, którą poprowadzili przedstawiciele czterech wyznań: **ks. Adam Ciosmak** – proboszcz rzymskokatolickiej parafii św. Marii

Magdaleny w Łambinowicach, **ks. pplk Sławomir Fonfara** – dziekan Wojsk Lądowych, kapelan parafii Ewangelicko-Augsburskiej św. Łukasza w Brzegu, **Aleksander Gleichgewicht** – przewodniczący Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu oraz **ks. Stanisław Strach** z prawosławnej parafii Ikony Bogurodzicy „Wszystkich Strapionych Radości” w Kędzierzynie-Koźlu.

Zwieńczeniem uroczystości był apel pamięci odczytany przez **kpt. Mirosława Masłowskiego** oraz salwa honorowa, którą oddali żołnierze 91. Batalionu Logistycznego w Komprachcicach. Ceremonia zakończyła się złożeniem kwiatów i zapaleniem zniczy, po czym goście zwiedzili muzeum.

W przeddzień uroczystości w Łambinowicach konsul generalny Federacji Rosyjskiej złożył oficjalną wizytę władzom województwa opolskiego, spotykając się kolejno z marszałkiem województwa opolskiego **Andrzejem Bułą**, wicewojewodą opolskim **Antonim Jastrzembskim**, rektorem Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją**, dyrektorem Instytutu Sławistyki Uniwersytetu Opolskiego, Zarządem Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód – w czasie spotkania zaprezentowano współpracę województwa opolskiego z partnerami rosyjskimi na przykładzie działalności Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód. Rozmowy dotyczyły m.in. stosunków polsko-rosyjskich, a także publikacji Uniwersytetu Opolskiego (słowniki, podręczniki, monografie naukowe oraz publikacje pokonferencyj-



Uroczystość pod pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych na Cmentarzu Jeńców Radzieckich w Łambinowicach

ne) dotyczących historii, kultury, literatury, języka rosyjskiego i innych języków słowiańskich oraz osobistego wkładu naukowego prof. dr. hab. Sławomira S. Nicieji w opracowania i popularyzację problematyki Kresów Wschodnich.

Konsul generalny Federacji Rosyjskiej i delegacja Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód złożyli wiązanki kwiatów pod pomnikiem na Cmentarzu Wojennym Żołnierzy Armii Czerwonej w Opolu, gdzie ostatnio udało się zidentyfikować poległego pod Osowcem żołnierza Armii Czerwonej Michała Grigorjewicza Vajsmana, którego nazwisko ustalono niedawno dzięki zaangażowaniu Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód

i krewnego zamieszkałego obecnie w Australii (poszukiwania miejsc pochówku poległych żołnierzy radzieckich wciąż trwają – w marcu br. mieszkaniec Kazachstanu odnalazł grób swojego ojca w mogile nr 22 na Cmentarzu Żołnierzy Armii Czerwonej w Kluczborku; również niedawno w Kędzierzynie-Koźlu mieszkanka Czelabińska odnalazła grób swojego ojca).

W walkach o wyzwolenie Śląska Opolskiego poległo około 30 tys. żołnierzy radzieckich. W Stalagu 344 Lamsdorf straciło życie około 40 tys. jeńców radzieckich.

Agata Malec, Elżbieta Roehr
Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód

Jerzy Duda

Między wrzątkiem a rozsądkiem

Kancelaria Prezydenta RP wydała, przygotowaną przez Jana Skrzyńskiego, publikację „Na przekór geopolityce. Europa Środkowo-Wschodnia w myśli politycznej polskiej opozycji demokratycznej 1976–1989”, zawierającą 33 artykuły autorstwa działaczy opozycyjnych. Ukazały się one kiedyś w prasie lub wydawnictwach zwartych drugiego obiegu, podpisane były pseudonimami. Ich tematyka dotyczyła przyszłej polskiej polityki wschodniej, która miała być realizowana po uzyskaniu przez nasz kraj pełnej suwerenności.

Dzisiaj, kiedy dynamiczny rozwój wydarzeń politycznych w Europie Wschodniej wymusza konieczność wypracowywania nowych zasad polityki, pozwalających na podtrzymanie i kontynuowanie dobrosąsiedzkich, opartych na wzajemnym szacunku, relacji pomiędzy poszczególnymi krajami, ta książka nabiera znaczenia szczególnego.

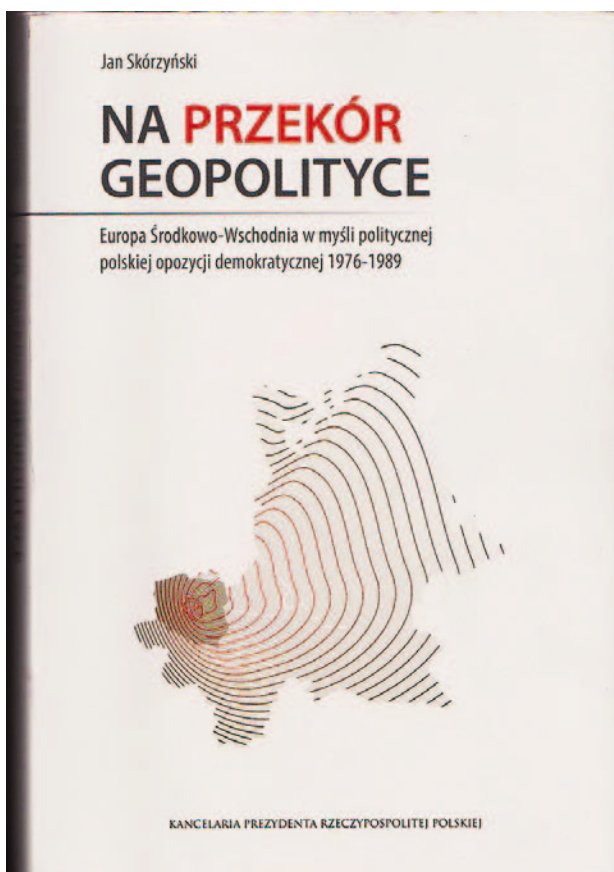
Podzielona została na cztery części: Europa Środkowa i Wschodnia z polskiej perspektywy; Polska – Ukraina; Polska – Litwa; Polska – Rosja. Teksty w całej książce rozmieszczone są chronologicznie, pozwala to na prześledzenie ewolucji myśli politycznej, myśli zmieniającej się w ślad za burzliwymi wydarzeniami tamtych lat. W artykule „Alternatywa” z 1978 roku Roman Zimand (pseudonim „Leopolita”) pisze, że wszystkie dające się przewidzieć warianty przyszłej suwerenności polityki na obszarze od Zatoki Botnickiej po Bałkany, i od Ługańska po Zgorzelec w zakresie granic dają się sprowadzić do alternatywy: stabilność lub rewindykacja. Zdaniem autora powinno się wybrać stabilność, bez porównania pełniej zapewni ona złamanie jarzma Moskwy, bardziej także zabezpieczy przed zakusami ewentualnych pretendentów do

hegemonii. Przestrzega przy tym, że jeżeli koncepcja stabilności okaże się nierealna, wówczas zdani będziemy na wieczną powtórkę naszych dziejów, od czasów saskich poczynając: hańbiącą zawisłość, chybione próby naprawy i krótkie chwile wolności zagrożonej przez permanentne skłócenie z wszystkimi sąsiadami.

Ciekawa jest dyskusja prowadzona w 1980 roku na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego” przez Jana Waszkiewicza (pseudonim „W.J”) i Romana Dudę (pseudonim „Światowid”). Zdaniem Waszkiewicza państw Europy Środkowej, w tym i Polski, wciśniętych między ciągle groźną Rosję i mocno zintegrowaną Europę Zachodnią, nie stać będzie na luksus pełnej suwerenności. Wyborem Polski powinno być przyjęcie roli architekta – konstruktora Unii Środkoeuropejskiej, bo wchodząc w skład Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, skazani zostaniemy na rolę gospodarczego i politycznego kopcieszka. Drogą do stworzenia Unii jest pełne zbliżenie polsko-ukraińskie. Ukraina jest bowiem jedynym naszym sąsiadem, który może nie obawiać się polskiej dominacji.

Roman Duda zwraca uwagę, że droga do wzajemnego polsko-ukraińskiego porozumienia, niejako warunkującego zbudowanie Unii Środkoeuropejskiej będzie bardzo trudna, bo Polska jest odrębnym państwem, za nami stoi wielka historyczna tradycja. Ukraina natomiast jest wasalnym krajem, bez żadnej tradycji państwowej. W tym układzie wielce nieprawdopodobnym wydaje się, by naród, który własnego bytu państwowego nigdy nie miał, z chwilą uzyskania prawa do samostanowienia, własnymi rękami byt ten ograniczał i wchodził w organizm federacyjny z krajem, do którego dotychczas nastawiony był wrogo.

Łukasz Plesnar (pseudonim „Michał Spis”) w ar-



Okładka książki pt. „Na przekór geopolityce. Europa Środkowo-Wschodnia w myśli politycznej polskiej opozycji demokratycznej 1976–1989”

tykule „Jaka Europa?” opublikowanym w 1987 roku w „Arce” przestrzega przed konsekwencjami rozpadu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Demokratyczna Rosja, uznająca prawo wszystkich narodów byłego ZSRR do samostanowienia miała by wszelkie dane, by stać się pełnoprawnym ogniwem wspólnoty europejskiej. Ale do tego z pewnością nie dojdzie z kilku powodów. Pierwszym z nich jest brak w społeczeństwie rosyjskim tradycji demokratycznych, rządzona od stuleci w sposób despotyczny – ugruntowała w świadomości indywidualnej i zbiorowej nawyki myślowe trudne do usunięcia. Kolejny powód, to bardzo wysoki stopień sowietyzacji narodu, przez siedemdziesiąt lat poddanego ideologicznej i paraideologicznej presji. Żywe są również w wielu kręgach sentymenty mocarstwowe. Wszystko to sprawia, iż likwidacja komunizmu nie musi być równoważna z wprowadzeniem demokracji, a Rosja niedemokratyczna stanowić będzie stałe zagrożenie dla sąsiadów i pokojowego ładu na naszym kontynencie, będzie musiała pozostać poza europejską wspólnotą.

W drugiej części książki, poświęconej związkowi Polski i Ukrainy, Zbigniew Wójcik w artykule z 1981 roku pisze, że naszym celem po odzyskaniu niepodległości winno być zorganizowanie takiego państwa, w którym starano by się uniknąć najważniejszych błędów z przeszłości, a jednym z nich był nasz stosunek do

Ukraińców i sprawy ukraińskiej. Troska o przyszłość Polski nakazuje nam kierować się poczuciem sprawiedliwości i rozsądkiem politycznym lub bardziej dostojnie: polską racją stanu. Wymaga ta racja od nas bezwzględnie trzeźwego spojrzenia na kwestię ukraińską i znalezienia nie tylko *modus vivendi* z Ukraińcami, ale i przyjaznych z nimi stosunków. Warunkiem koniecznym niezawisłości i bezpieczeństwa obu krajów jest położenie raz na zawsze kresu hegemonii rosyjskiej nad całą Europą Środkowo-Wschodnią. Odzyskanie niepodległości należałoby poprzedzić bezwzględnym pojednaniem między Ukraińcami i Polakami. Niezawisłe państwa polskie i ukraińskie powinny nawiązać ze sobą ścisłą współpracę polityczną, gospodarczą i kulturalną. Bez ścisłej współpracy obu państw na arenie międzynarodowej zaistniałaby znowu możliwość zagrożenia ich niepodległego bytu. Ścisła współpraca nie oznaczałaby żadnego nawrotu do idei federacji, która rozumna i słuszna jeszcze przed wiekiem, obecnie straciła rację bytu. Zmiana mentalności i świadomości politycznej obu narodów jest w dzisiejszej sytuacji jednym z najważniejszych i najpilniejszych problemów do załatwienia.

Kolejną część tomu, dotyczącą relacji polsko-litewskich, otwiera pochodząca z 1985 roku praca Witolda Gadomskiego (pseudonim „Janusz Nowicki”) „Szaleństwo nacjonalizmu”. Autor zwraca uwagę, że nowożytna historia narodu litewskiego jest historią nacjonalizmu. Nacjonałści litewscy odrzucili kilkaset lat historii Litwy. Dla nich historia skończyła się na wielkim księciu Witoldzie, a ponownie zaczęła pod koniec XIX wieku, z chwilą powstania ruchu narodowego. Szaleństwo nacjonalizmu swoje apogeum osiągnęło w latach II wojny światowej, równocześnie skompromitowało ono w dużej mierze nacjonalizm jako ideę. W Europie, zwłaszcza w Europie Środkowej, nie ma miejsca na nacjonalizm. Odegrały one rolę destrukcyjną, okazując się narzędziem manipulacji narodów wielkich, najpierw Niemców, później Rosjan. Trzeba pamiętać, że w tej części Europy nie ma granic sprawiedliwych, każde granice międzypaństwowe mogą być zakwestionowane. W takim układzie znacznie rozsądniejszym i atrakcyjniejszym rozwiązaniem jest idea społeczeństwa światowego, indywidualistycznego. Wartości duchowe spajające takie społeczeństwo można znaleźć nie w szaleństwach nacjonalistycznych, a w religii.

W ostatniej części publikacji („Polska – Rosja”) Aleksander Hall w artykułach z 1979 i z 1983 roku przypomina, że stosunek Polski do Rosji i do Niemiec to problem rudymenarny, który stale musi być podejmowany przez polską myśl polityczną. W naszym interesie leży normalizacja stosunków z Rosjanami. Nie może to być jednak normalizacja za wszelką cenę. Niezbędną jej podstawą musi być odzyskanie niepodległości, warunku koniecznego, by naród mógł się swobodnie rozwijać, a także wywiązywać się ze swych obowiązków wobec ludzkości. Polska polityka musi w każdym warunkach dążyć do spełnienia swego pod-

stawowego celu, także i w tych, kiedy się okaże, że państwo radzieckie jest trwałym elementem porządku światowego. Nie można budować porozumienia z narodem rosyjskim i z Rosją przyszłości, a jednocześnie myśleć o Rzeczypospolitej jako antyrosyjskim Piemencie, oparciu dla ruchów narodowyzwolenczych. Dylemat, który należy rozstrzygnąć, wygląda następująco: albo będziemy próbować osiągnąć ugodę polsko – rosyjską, zakładającą trwałość naszej dawnej, wschodniej granicy i mocarstwowość Rosji, albo z góry zrezygnujemy z działań w kierunku ugody, uzależniając sprawę polskiej niepodległości od upadku Rosji, a w każdym razie głębokiego załamania jej pozycji!

Adam Chajewski (pseudonim „Artur Wiczysty”) w swoim opracowaniu „W imię naszego jutra” z 1987 roku przytacza słowa Jana Pawła II wypowiedziane do przedstawicieli polskiej nauki na spotkaniu w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie 9 czerwca 1987 roku: „Nikt już nie zdejmie z ludzi tu żyjących odpowiedzialności za ostateczny wynik tego dziejowego procesu w tym miejscu Europy! I świata! Powiedziałbym: w miejscu trudnego wyzwania”.

Próba określenia miejsca i roli Polski w przyszłej Europie od początku istnienia ruchu opozycyjnego była w centrum uwagi, zdawano sobie sprawę z doniosłości problemu, stąd tak wiele na ten temat wypowiedzi, tak często ze sobą niezbornych. Wydaje się jednak, że udało się ustalić główne założenia przyszłej polskiej polityki w stosunku do naszych wschodnich sąsiadów.

DIALOG pomiędzy sąsiadami wymaga zaakceptowania przez układające się strony wzajemnego traktowania się w kategorii równoprawnych podmiotów

politycznych, a także przyjęcia zasady niestosowania siły, niegrożenia jej użyciem oraz powstrzymania się od działań jednostronnych, godzących w jednego z uczestników dialogu. Niezwykle ważna jest również zgoda na nieograniczenie dialogu poprzez wysuwanie tematów tabu – np. dotyczących zmiany granic – z góry wykluczających dialog. Dopiero zgoda na te założenia zapewni spokojne i uczciwe przedstawienie swoich racji i doprowadzenie do konsensusu.

Trzeba zwrócić uwagę na datę publikacji pomieszczonych w tym tomie prac, powstały one w większości wiele lat temu, kiedy sprawa wybicia się Polski na niepodległość miała charakter czysto teoretyczny. Trwał ZSRR, mur berliński strzeżony przez sowieckie i niemieckie patrole nadal dzielił stolicę Niemiec, gdzie tylko z daleka dobiegał pomruk zapowiadający jugosłowiańską apokalipsę; wydawało się, że wszystko jest zgodne z raz ustalonymi przez wschodniego hegemonna zasadami.

Podziwiać należy dalekowzroczność i mądrość polskich opozycjonistów, których prace w autorskim wyborze zaprezentował Jan Skórzyński. Wiele śmiałych myśli tam przedstawionych zmaterializowało się, skrytalizowało. Jest wielką zasługą polskich intelektualistów wytyczenie generalnych kierunków polskiej polityki wschodniej. Szkoda tylko, że to nie im powierzono ich przeprowadzenie.

Do naszych rąk trafia książka, którą każdy, kto interesuje się historią najnowszą, powinien przeczytać. Jest to świetny komentarz do bieżących wydarzeń.

Jerzy Duda

Półka Sułka

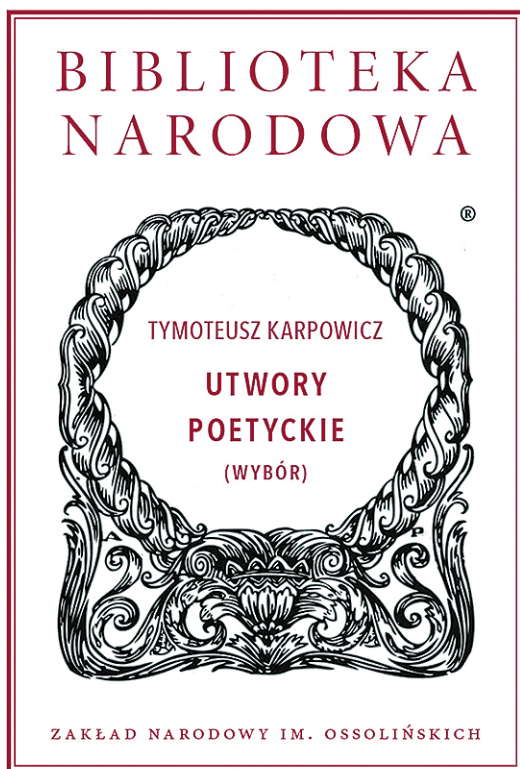
Z klasyką do łóżka

Kilka lat temu niewiele brakowało, by najstarsza w Polsce seria wydawnicza Biblioteki Narodowej wraz z całym wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich przestała istnieć. Na szczęście znalazła się grupa ludzi, której bez konieczności palenia opon i stukania butelkami z plastiku udało się przekonać Ministerstwo Kultury, że należy pospieszyć z pomocą, że o dobro narodowe idzie, o korzenie, tradycję, ducha. I to nie tylko o podtrzymanie, ale i zapewnienie wzrostu i rozwoju.

Udało się. Z impetem i animuszem poczęto nie tylko wznawiać, ale i wydawać zupełnie nowe opracowania (*sic!*) tekstów dla kultury polskiej po prostu niezbędnych. Możliwe jednak, że przesadzam, skoro trudno im sprzedać chociaż tysiąc egzemplarzy w kraju liczącym kilkaset tysięcy studentów, pracowników naukowych,

że o inteligencji lub intelektualistach, jak kto woli, maści wszelakiej nie wspomnę? Unikam zazwyczaj w tej rubryce krytyki społecznej, gdyż nie taka jej rola, jednak trudno mi nie napisać o tym, kiedy wspomnę niedawną akcję, między innymi naszych studentów, pod – jak mniemam – z zamierzenia prowokującym, a poprzez ową prowokację zmuszającym do refleksji, hasłem „Nie czytasz, nie idę z Tobą do łóżka”, gdzie eksponowana była na pierwszym planie przez jedną z pań pozycja pt. „Pięćdziesiąt twarzy Greya”. A ja tu z BN-ką! Kiedy jednak pomyślę, że „Indeks” jest pismem, które powinno poprzez swych autorów nie schlebiać gustom, ale je kształtować, a zatem, narażając się niechybnie wielu czytelnikom i czytelniczkom E. L. James, o BN – ce będę właśnie dzisiaj pisał.

A powód jest podwójny, ponieważ nie tylko jej waż-



Tymoteusz Karpowicz, „Utwory poetyckie (wybór)”, Biblioteka Narodowa, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

kość dla intelektualnej i duchowej kondycji mnie sprovokowała, ale i autor jednego z najnowszych opracowań, którym jest opolski naukowiec, pracownik Uniwersytetu Opolskiego, dr Bartosz Małczyński. To właśnie w jego opracowaniu ukazał się wybór wierszy Tymoteusza Karpowicza. Tu ważne jest – dla młodszych zwłaszcza czytelników – słów kilka powiedzieć o charakterze opracowań tekstów Biblioteki Narodowej. Nie są to bowiem streszczenia ani krótkie notki o autorze, do jakich bryki i ściągki współczesne zdążyły już zapewne większość przyzwyczaić, ale głęboko analityczne i krytyczne teksty, oparte najczęściej na wielu latach badań, lekturze opracowań i tekstów in-

nych badaczy, analizie (przy czym autor zdaje się pamiętać, co wiersz o zdaniu analitycznym potwierdza: *zagrząźnięcie w niestałym/ sprawia sześć butów/ na jedną nogę którą /jak się dobrze wyciągnie/ nie za bardzo jest na czym oprzeć*) zarówno autora, jak i dzieła samych w sobie, jak i ich recepcji (od łacińskiego *recepto*), co oznacza przyjmować (nie chodzi jednak o recepcję hotelową, chociaż recepcjonistka w recepcji jak najbardziej recepcji może dokonać) na tle szerokim. I obszernym, bo całość tekstu Bartosza Małczyńskiego wraz z przypisami to 160 stron, co dzisiaj stanowi bez mała zawartość samoistnej książki, i tak mogłoby być wydane. Nie jest to też bynajmniej wyjaśnianie „co poeta miał na myśli”. Nie skupia się autor na informacjach, czy poeta pił i ile, czy bił żonę i dzieci, czy odwrotnie. Można natomiast wyczytać o analogiach do muzyki Gustawa Mahlera (której niekoniecznie z tego powodu trzeba słuchać z płyty analogowej).

Ale znowu staję się złośliwy i sarkastyczny. Może niepotrzebnie. Wszak temat poważny. Przecież poza Karpowiczem ukazały się poezje Broniewskiego w opracowaniu Tadeusza Bujnickiego, a „Ziemie obiecane” Magdalena Popiel opisała. W zapowiedziach Różewicz i Morsztyn, a nawet Thomas Mann (to „nawet” nie oznacza, abym go ponad naszych autorów wynosił, ale podkreśla powagę powagi, o jaką mi chodzi). Nie wspominałem jeszcze, że równoległe – poza literaturą polską – ukazują się arcydzieła literatury światowej, osobno numerowane jako seria. A skoro już o numeracji, to wstęp i opracowania mają cyfry rzymskie dla łatwiejszego odróżnienia od właściwego tekstu. W każdym razie nieco do porządku zostałem przywołany, a na usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że to dlatego być może taki jestem, że zdarza mi się chodzić z BN-ką do łóżka.

Dodałbym jeszcze, że nowym redaktorem naczelnym BN został prof. Stanisław Bereś z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Witold Sulek

Biblioteka Narodowa jest najstarszą serią wydawniczą w Polsce. Zapoczątkowana w 1919 roku przez krakowskich profesorów Stanisława Estreichera, Tadeusza Sinkę oraz Stanisława Kota wydawana była najpierw przez Krakowską Spółkę Wydawniczą, a później – od 1933 r. – przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich. W roku 2013 seria ukazuje się pod patronatem ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

Ideą Biblioteki Narodowej jest – jak wyrazili to pomysłodawcy serii – „przyniesienie zarówno każdemu inteligentnemu Polakowi, jak i kształcącej się młodzieży, wzorowych wydań najcenniejszych utworów literatury polskiej i obcej w opracowaniu podającym wyniki najnowszej o nich wiedzy”. W myśl tej idei ukazało się dotąd wiele cennych dla kultury polskiej i obcej dzieł literackich, których opracowania podejmowali się wybitni znawcy twórczości prezentowanych w serii autorów. Idea ta realizowana jest do dzisiaj.

W. S.

Noty o autorach:

Dr Małgorzata Adams-Tukiendorf – zastępca dyrektora ds. studentów Instytutu Filologii Angielskiej UO.

Regina Brzózka – przewodnicząca Forum Studenckiego Ruchu Naukowego UO.

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957). Nauczyciel matematyki i fizyki w liceach (kolejno): w Legnicy, Nowym Jorku, Opolu, Wiedniu; wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP w Opolu (1956–1966, 1972–1975), WSI w Opolu (1975–1980), Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984-); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków; redaktor „Mojej Fizyki” – internetowego magazynu dla nauczycieli; autor publikacji, podręczników i zbiorów zadań z fizyki oraz wierszy o tematyce fizycznej i nie tylko.

Harry Duda – poeta, pisarz, publicysta. Absolwent polonistyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Od 1977 r. członek Związku Literatów Polskich (przez dwie kadencje prezes opolskiego oddziału). Opublikował 26 zbiorów poezji, uprawiał prozę dokumentalną, jego pasją są tematy biblijne.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczących historii oświaty w woj. opolskim.

Jan Goczoł – poeta, publicysta, absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor książek poetyckich: *Małgorzata* (1961), *Topografia intymna* (1961), *Sprzed drzwi* (1969), *Manuskrypt* (1974), *Poezje wybrane* (1985), *Znad Odry* (1996), *Zapisy śladowe* (1999), *Z pogorzelska* (2011) i felietonów literackich *Na brzoźowej korze* (2000).

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Monika Kalla – studentka II roku studiów magisterskich na kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych w Instytucie Sztuki UO. Pracuje w Dąbrowie Górniczej w firmie Engraver. Autorka artykułów w czasopiśmie myśliwskich, prowadzi cykl warsztatów artystycznych w gimnazjum w Zdzieszowicach.

Joanna Kern – absolwentka filologii polskiej w opolskiej WSP. Pracowała jako nauczycielka języka polskiego. Od roku 1983 przebywa w Niemczech. Po ukończeniu gerontopsychiatrii pracowała jako terapeutka osób w podeszłym wieku. Publikowała w czasopiśmie: „Śląsk”, „Strony” i „Indeks”. Organizuje wystawy malarskie i reżyseruje przedstawienia teatralne. Mieszka w Krefeld (Niemcy).

Włodzimierz Kolman – pierwszy szef działającej od 1964 r. w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu studenckiej rozgłośni radiowej „Radio-Sygnali” (w latach 1964–1967).

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Dr hab. Maria K. Lasatowicz, prof. UO – kieruje Instytutem Filologii Germańskiej od roku 1994. Jej zainteresowania naukowe znalazły odbicie w najważniejszych badaniach z zakresu językoznawstwa niemieckiego, jak np. opracowanie niemieczyny górnośląskiej, co w połączeniu ze zgromadzonymi biografiami językowymi mieszkańców Opolszczyzny pozwoliło na przekrojowe zbadanie stanu faktycznego i kondycji języka niemieckiego w regionie.

Dr hab. Anna Ledwina – romanistka, adiunkt w Katedrze Kultury i Języka Francuskiego Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Opolskiego. Zainteresowania naukowe: nowe tendencje w prozie francuskiej XX wieku (autofikcja), literatura kobieca („écriture féminine”), problematyka tożsamości kulturowej płci, transgresja.

Cecylia Ławniczak-Bohdziewicz – absolwentka opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej z 1959 r. (filologia polska).

Agata Malec – pracownik Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

Joanna Matlachowska-Pala – opolska lekarka i poetka, członek Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Wielokrotnie nagradzana w konkursach poetyckich. Autorka tomików wierszy „Most dla motyla” (1995), „Białobłękitne” (2000) i „Telegram eklezjasty” (2011).

Katarzyna Mazur-Kulesza – starszy dokumentalista w Muzeum UO, absolwentka historii i studiów podyplomowych z informacji naukowej i biblio-

tekoznawstwa oraz zarządzania zasobami ludzkimi na UO, studentka studiów podyplomowych z muzeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Dr Jerzy Michael – pracownik uczelni od 1976 roku. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół matematyki dyskretnej ze szczególnym uwzględnieniem teorii grafów. Obecnie jest prodziekanem ds. studentów Wydziału Matematyki, Fizyki i Informatyki. Jest znanym popularyzatorem matematyki, lubi turystykę, grę na gitarze i śpiewa teksty poetyckie.

Prof. dr hab. Józef Musielok – kierownik Katedry Spektroskopii Plazmy Instytutu Fizyki UO, fizyk atomowy, w latach 2002–2005 rektor Uniwersytetu Opolskiego, absolwent poprzedniczki uniwersytetu – Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

Prof. dr hab. Stanisław Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego (wybrany na to stanowisko po raz trzeci), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986*; *Cmentarz Obrońców Lwowa*; *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego – Gwasza*; *Łyczaków – dzielnica za Styksem*; *Tam gdzie lwowskie śpią Orleża*; *Cmentarz Łyczakowski w fotografii*; *Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*; *Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław*; *Lwowskie Orleża. Czyn i legenda*; *Kresowa Atlantyda*.

Leszek Ołdak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

Tadeusz Parcej – polski fotografik. Zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościół drewniany Opolszczyzny* (2007), *Album rodzinny* (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Elżbieta Roehr – pracownik Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

Joanna Silska – studentka III roku (licencjat) filologii polskiej w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Stanisław Skakuj – przewodniczący Rady Miasta Opola w I kadencji (1990–1994). Przewodniczący Komisji Budżetu RM Opola II kadencji (1994–1998). Przewodniczący Zarządu Dzielnicy Zakrzów od 2009 – do dziś.

Dr Krzysztof Spalek – adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

Aleksandra Starczewska-Wojnar – w Archiwum Państwowym w Opolu jest kierowniczką Oddziału I Materiałów Archiwalnych powstałych do dnia zakończenia działań wojennych w 1945 roku.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy *Plantacja* oraz książki dla dzieci *Bajka o małym łośiu*. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

Marcin Szpanko – astronom, pracownik inżynierijno-techniczny Instytutu Fizyki, opiekun Obserwatorium Astronomicznego IF UO.

Magdalena Szyszka – pracownik naukowy Zakładu Językoznawstwa Stosowanego Instytutu Filologii Angielskiej UO.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracanie pamięci*, 1993, 1997; *Głowy opolskie*, 1999, 2008; *O nijaczeniu języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Irena Wyczółkowska – poetka, eseistka, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Kilkanaście lat współpracowała z Radiem Opole, omawiając nowości książkowe. Była także członkiem redakcji kwartalnika „Strony”. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Po wczesnym debiucie zrezygnowała z pisania na całe ćwierć wieku. Opublikowała tomiki poetyckie: *Skóra węża*, *Gdzie piołun rośnie*, *Ptaszysko*, *Balkon bez poręczy*, *Gwar utajony*, *Smocza samotność*, *Wstęp do teorii jawy*, *Ulica Równoległa*, *Bilet na wodolot*, *Portret z duszą na ramieniu*, zbioru krótkich opowiadań *Mitoplotki*. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Zbigniew Zagórowski – starszy wykładowca, kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu UO.

Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

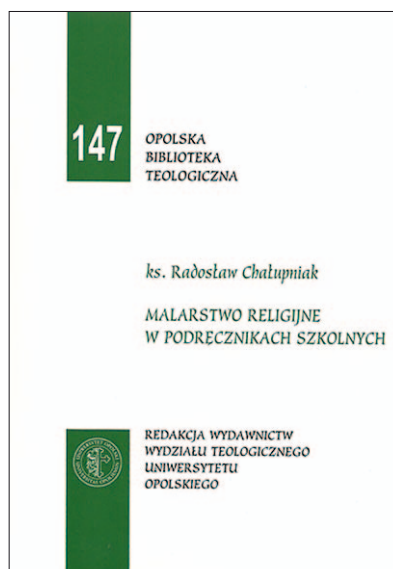
Lis Marek, Krzysztof Zanussi, „Przewodnik teologiczny” (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 85), Opole 2015, 125 s., cena 16,00 zł



Książka jest notatnikiem z lektury dwunastu filmów, stanowiących zaledwie część olbrzymiego dorobku Krzysztofa Zanussiego. Może stać się ona przewodnikiem pomocnym w rozpoznaniu wątków teologicznych i biblijnych, obecnych w kolejnych filmach, od dyplomowej etudy „Śmierć prowincjała” (1965) aż po najnowszy – „Obce ciało” (2014). Są w nich dostrzegalne ważne tematy, istotne dla chrześcijan kwestie: refleksja o ludzkiej naturze i wolności jednostki, dążenie do moralnego ideału, zagadnienia ostateczne (śmierć, sens życia, Bóg). Przez filmową wypowiedź reżyser staje się przewodnikiem po uprawianej przez siebie teologii, dzieli się swoim spojrzeniem na Biblię. Krzysztof Zanussi od pół wieku – gdy w Polsce tematyka religijna rzadko bywała obecna na ekranach – niejako w imieniu teologów (kaznodziejów, katechetów, spowiedników), w ciemnych salach kin przypomina widzom, że – jak w „Iluminacji” – trzeba spojrzeć w górę, że życie człowieka nie spełnia się w pogoni za sukcesem. W zastępstwie teologów (i Kościoła), w świecie kinematografii wskazywał ryzyko życia przyzwoitego, wewnątrz ucziwego oraz cenę,

jaką za taki wybór płacili bohaterowie jego filmów. Reżyser pokazał również drogę do świętości Karola Wojtyły, Adama Chmielowskiego i Maksymiliana Kolbego – oraz bliskie doświadczeniu wielu ludzi zmagania i wątpliwości Franciszka Retmana, Augustina i doktora Berga, ich poszukiwanie prawdy, u której kresu jest Bóg, ale czy zawsze odnajdujemy?

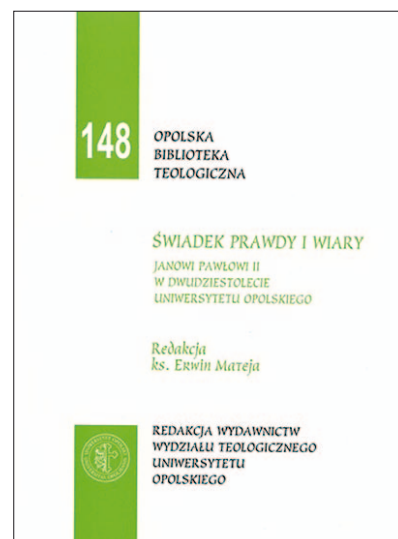
Chałupniak Radosław, „Malarstwo religijne w podręcznikach szkolnych” (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 147), Opole 2014, 192 s., cena 15,00 zł



Publikacja jest kontynuacją książki „Arcydzieła malarstwa w katechezie” i w zamyśle autora powinna wpisać się w szerszy projekt badawczy, którego celem jest odkrywanie, określanie i eksponowanie znaczenia, jakie w przekazie wiary posiadają obrazy malarskie.

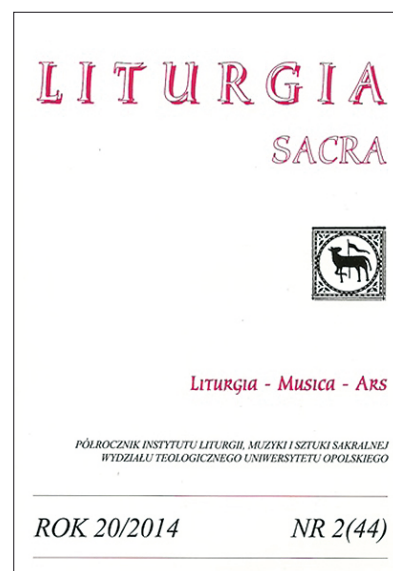
Mateja Erwin (red.), „Świadek prawdy i wiary. Janowi Pawłowi II w dwudziestolecie Uniwersytetu Opolskiego” (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 148), Opole 2014, 204 s., cena 16,00 zł

Publikacja zawiera referaty, które wygłaszane były 27 maja 2014 roku w Bibliotece Wydziału Teolo-



gicznego Uniwersytetu Opolskiego na spotkaniu poświęconym uczczeniu pamięci św. Jana Pawła II.

Sobeczko Helmut Jan (red.), „Liturgia Sacra” (czasopismo nr 2(44)), Opole 2014, 309 s., cena 17,50 zł



Półrocznik Instytutu Liturgii, Muzyki i Sztuki Sakralnej Wydziału Teologicznego UO.

Dola Tadeusz (red.), „Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego” (czasopismo Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego nr 34), Opole, 2014, 398 s., cena 25,00 zł

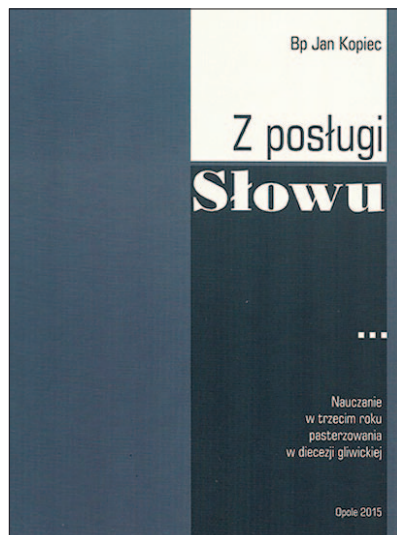
Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO



Prezentowane czasopismo zawiera artykuły z różnych dziedzin teologii oraz z historii Kościoła dotyczące Śląska Opolskiego.

Kopiec Jan, „Z posługi Słowa” (seria: Pomoce Duszpasterckie nr 29), Opole 2015, 139 s., cena 12,50 zł

W publikacji zostały zawarte kazania i homilie bp. Jana Kopca, wygłoszone w trzecim roku pasterzowania w diecezji gliwickiej.



Morciniak Piotr (red.), „Family Forum. Rodzina – ujęcie interdyscyplinarne” (czasopismo „Family Forum” nr 4), Opole 2014, 333 s., cena 25,00 zł



Prezentowana książka jest czasopismem Instytutu Nauk o Rodzinie Wydziału Teologicznego UO. Tematyka „Family Forum” dotyczy szeroko pojętej problematyki rodziny.

Przygotował:
Piotr Juszczyński

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

Bucka M., Mikołajewicz Z. (red. nauk.), *Procesy gospodarczego i społecznego rozwoju wobec wyzwań współczesnego świata*, ISBN 978-83-7395-610-0, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 478 s. oprawa miękka, cena 40,95 zł

Książka jest ósmym z kolei temem w cyklu prac zbiorowych opublikowanych przez Opolski Oddział PTE we współpracy z Uniwersytetem Opolskim, dotyczącym przemian strukturalnych oraz rozwoju społeczno-gospodarczego i przestrzennego w Polsce w powiązaniu z procesami integracji europejskiej. W 33 artykułach podejmowane są ważne i aktualne problemy współczesnej teorii ekonomii i praktyki gospodarczej, przedstawiane w trzech częściach



książki: I – Wyzwania, uwarunkowania i instrumenty współczesnej polityki ekonomicznej; II – Regio-

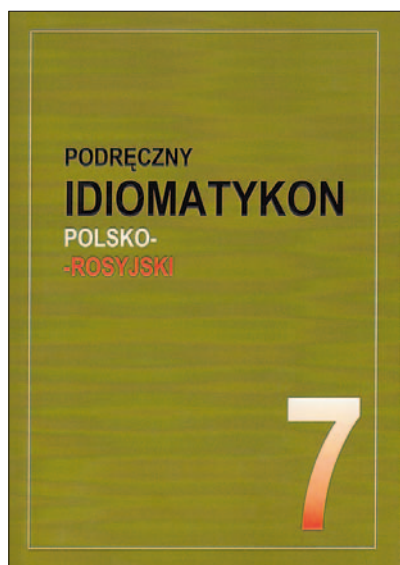
nalne, lokalne i sektorowe aspekty polityki rozwoju gospodarczego Polski; III – Społeczne i demograficzne dylematy rozwoju kraju i regionów.

Praca jest adresowana do osób prowadzących zajęcia z zakresu nauk ekonomicznych, pracujących w sferze realnej działalności gospodarczej oraz studentów kierunków ekonomicznych.

Chlebda W. (red. nauk.), *Podręczny idiomatykon polsko-rosyjski*, t. 7, ISBN 978-83-7395-630-8, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 174 s., oprawa miękka, cena 14,00 zł

Tematyka 7. już zeszytu Podręcznego idiomatikonu polsko-rosyjskiego została zaplanowana tak,

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

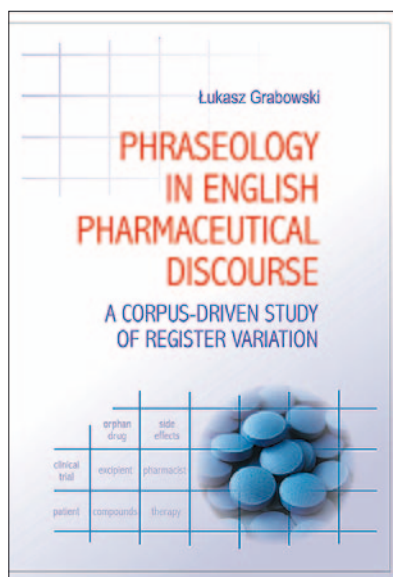


by nieść praktyczną pomoc studentom filologom starszych roczników studiów I i II stopnia w pisaniu po rosyjsku prac semestralnych i dyplomowych. Około 4 tysięcy par przekładowych tego słownika obejmuje podstawowe działy wiedzy o języku i jego gramatyce, jego strukturze i funkcjach, o jego związkach z kulturą, o słownikach i przekładaniu tekstów, o literaturze i o nauczaniu języka obcego. Uzupełnieniem słownika jest dział ustalający rosyjskie ekwiwalenty dla ponad 300 tytułów dzieł naukowych różnych epok.

Adresatem słownika są przede wszystkim studenci slawistycznych kierunków filologicznych, słownik zainteresuje jednak także tłumaczy, teoretyków i praktyków leksykografii przekładowej, językoznawców.

Grabowski Ł., *Phraseology in English Pharmaceutical Discourse: A Corpus-Driven Study of Register Variation*, Stud. i Mon. nr 516, ISBN 978-83-7395-643-8, Opole: Wyd. UO, 2015, format B5, 312 s., oprawa miękka, cena 30,45 zł

Niniejsza monografia przedstawia wyniki badania empirycznego polegającego na opisanie językowego zróżnicowania wybranych typów angielskich tekstów farma-



ceutycznych, takich jak ulotki dla pacjentów, skrócone charakterystyki produktów leczniczych, protokoły z badań klinicznych leków oraz rozdziały z podręczników akademickich z dziedziny farmakologii. U podstaw badania leży synteza wybranych koncepcji zaczerpniętych z analizy rejestrów języka oraz frazeologii z metodologią językoznawstwa korpusowego. Wyniki badania dostarczają możliwości pełnego opisu podobieństw i różnic co do wyboru i funkcji dyskursywnych słów kluczowych, zbitek wielowyrazowych i ram frazowych w obrębie angielskiego dyskursu farmaceutycznego. Ponadto rezultaty badania wykazały istotny związek pomiędzy funkcjami komunikacyjnymi i kontekstem użycia poszczególnych typów tekstów farmaceutycznych a dystrybucją, frekwencją i funkcjami dyskursywnymi najczęściej używanej leksyki i frazeologii. Przeprowadzone badanie dostarczyło nowych i aktualnych danych niezbędnych

do opisu języka angielskiego używanego w celach specjalistycznych w sektorze farmaceutycznym.

Książka adresowana jest do badaczy i specjalistów w dziedzinie językoznawstwa, studentów wyższych lat kierunków filologicznych zainteresowanych frazeologią i językiem angielskim używanym dla celów specjalistycznych (farmaceutycznych), a także do nauczycieli specjalistycznego języka angielskiego i tych pracowników sektora farmaceutycznego, dla których język angielski nie jest językiem ojczystym.

Przygotowała: **Lidia Działowska**

Ponadto ukazały się:

„**Germanistische Werkstatt**” 6, (red. nauk.) M. Jokiel, D. Pelka, ISSN 1509-2178, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 332 s., oprawa miękka, cena 21,00 zł

„**Literaport. Revue annuelle de la littérature francophone**” No 1: *La révolte dans la littérature française*, (red. nauk.) K. Modrzejewska, ISSN 2392-0637, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 170 s., oprawa miękka, cena 14,70 zł

„**Studia Miejskie**” 2014, t. 14, (red. nauk.) J. Słodczyk, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 120 s., oprawa miękka, cena 10,50 zł

„**Studia Miejskie**” 2014, t. 15, (red. nauk.) J. Słodczyk, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 134 s., oprawa miękka, cena 10,50 zł



23 kwietnia obchodzimy Światowy Dzień Książki. Z tej okazji w dniach 20–24 kwietnia 2015 r. zapraszamy do siedziby Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Sienkiewicza 33 w Opolu na zakupy z 15% rabatem.

Zaćmienie Słońca

20 marca 2015 r. był szczególnym dniem dla amatorów obserwacji ciekawych zjawisk astronomicznych. Od 9:47 do 12:07 można było obserwować częściowe zaćmienie Słońca.

Instytut Fizyki UO, przy wsparciu wolontariuszy Wirtualnej Akademii Astronomii, przygotował z tej okazji miejsca do wspólnej obserwacji.



Przed siedzibą Instytutu Fizyki UO



Plac Kopernika



Obserwatorium Instytutu Fizyki UO

